

TYGODNIK LITERACKI

Nr 14-15 • Rok I • 23-30 GRUDNIA 1990
ISSN 0867-1257 • Nr indeksu 379689 • Cena 2500 zł

GEREMEK, HERLING-GRUDZIŃSKI, JELEŃSKI, ŁUKASIEWICZ, POMORSKI,
RYMKIEWICZ, SIEDLECKA, SKIBIŃSKI, ŚPIEWAK, ZALESKI, ŻAKOWSKI

Josif Brodski

Gwiazda betlejemska

W porze chłodów, w miejscowości przywykłej raczej do skwaru niż do zimna, bardziej do powierzchni płaskiej niż pnącej się wzwyż, dzieciątko się urodziło w jaskini, by zbawić świat; wiało, jak tylko w pustyni może zimą zawiewać wiatr.

Wszystko mu się zdawało ogromne: pierś matki, żółty kłęb pary z wołowych nozdrzy; magowie – Kacper i Melchior się zwa, i Baltazar; prezenty, które każdy tutaj wniósł. On zaś był ledwie kropką. I blask gwiazdy jak kropka rósł.

Uważnie, nie migając, przez rzadką oponę chmur na leżące w kolebce dziecko z daleka, sponad gór, z głębi Wszechświata, z jego krańca – pokonując mrok – gwiazda patrzyła w jaskinię. I to był ojca wzrok.

24 grudnia 1987

przeł. Eugeniusz Biedka



Fra Filippo Lippi, *Madonna z Dzieciątkiem*. (fragment)

Czarna, tekturowa okładka rozpadła się.

Na wyklejce wpisana ołówkiem dedykacja: „Książka ś.p. Babci Teofili z S*** Ł*** zmarłej 27 IV 1874 (urodzona 28 XII 1823 r.) Dla Anny Ł*** – (15-III-29 r.)”.

Ten modlitewnik znalazł się – z niewiadomych rąk – w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie. Kiedy go wpisywano do ksiąg inwentarzowych – był rok 1956 – wyceniono jego wartość na 50 złotych, czyli tyle, ile wówczas kosztowała nowa książka. Wśród takich ksiąg ustawiono go w korytarzu magazynowym.

Jest to egzemplarz drugiego wydania (1844 r.) powszechnie w swoim czasie znanego „Dunina”: „Książka do nabożeństwa dla wszystkich katolików szczególnie zaś dla wygody katolików archidiecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej z polecenia najprzewielebniejszego arcybiskupa Dunin ułożona”.

Arcybiskup Marcin Dunin (1774–1842) za opór przeciw pruskiej władzy skazany został w 1839 roku na 6 miesięcy twierdzy. Wywołało to odruch patriotycznego oporu, w którym, jak pisze encyklopedia, „zespółiły się sprawy kościelne z narodowymi”. Kiedy Dunina uwolnio-

no, powitany był w Poznaniu tryumfalnie. W czasie uwięzienia księża zbierali składkę pieniężną na zapomogę dla arcybiskupa, a on po powrocie przeznaczył ją na druk modlitewnika, który do 1900 roku miał 46 wydań i w wielkim stopniu uformował religijność Polaków.

Piotr Matywiecki

Nabożeństwo

Chcę opisać modlitewnik. Myśl mam taką: modlitwa jest sprawą tak osobistą, że po śmierci modlącego się, który był przed Bogiem i sobą samym jej jedynym świadkiem, już nigdzie tutaj nie ma jego modlitwy, jest tylko w Bogu. Ale to, co modlitwie służyło i towarzyszyło – książeczka do nabożeństwa, okoliczności modlitwy, intencje – to pozostało. To jest świat. Wiele w świecie rzeczy przypadkowych, nic nie znaczących, wiele też znaków.

Znak patriotyzmu: we wstępie od arcybiskupa, w zdaniu „dla wywdzięczenia się za te modły, które za mnie przed Tron Boga w czasie mojego wydalenia przesyłali słowo „wydalenia” podkreślono.

W tablicy świąt ruchomych (wydawca sięgnął w przyszłość do roku 1900) dwa

razy niebieską kredką zaznaczono datę świąt Wielkiej Nocy – w roku 1844, 20 kwietnia i w roku 1862, 20 kwietnia. Kogoś zainteresowała taka zbieżność, może ta data coś znaczyła w rodzinie.

Dwa strzępki brązowej tasiemki znalazły się między stronicami psalmu sto dziewiątego:

Rzekł Pan do Pana mego łaskawym Swym głosem: Siądź mi przy boku prawym,

Aż twoje wszystkie zuchwale wrogi
Dam za podnózek pod twoje nogi.

Między wersety Różańca o najśłodszym Imieniu Jezus włożono niemiecką reklamę wody mineralnej doktora Struvego z Drezna. Różaniec rozpoczyna się hymnem:

Jezusowa miłość słodka,
Wdzięczna, trwała, a nie krótka,
Jest wdzięczniejsza tysiąc razy,
Niżli język czyj wyrazi.

Zakładka spleciona z zielonych, czerwonych i fioletowych nici zaznacza Pobudkę do rozmyślenia męki Pańskiej:

Gorzkie żale, przybywajcie!
Serca nasze przenikajcie!

– zielen skłania nas ku tajemnicy miłosierdzia Bożego, fiolet jest barwą pokuty, czerwień wskazuje zbawczą Krew.

Przy modlitwie o wzbudzenie wiary brunatny, zasuszony kwiat.

Przy modlitwie o stałą wytrwałość w pobożności łódzka słomkowego koloru.

Kłębek ciemnych włosów strzępiętych z grzebienia. Chciałoby się zdmuchnąć go z książki! Leży na karcie modlitwy: „Uproszenie sobie u Boga roztrópnosci i rzetelności w przestawianiu ze złymi ludźmi”.

Między modlitwę matki o pomyślność dzieci a modlitwę dziecka o dobro rodziców włożono druk dewocyjny z 1872 roku, „Pieśń na Processyę Bożego Ciała”. Zaczyna się słowami „Zróbcie mi miejsce Pan idzie Nieba” i opatrzona jest dodatkiem: dozwoleno cenzuroju, Warszawa.

Oderwał się róg stronicy z Pieśnią o opatrności Bożej. Nie zagubiono go – znalazł swoje miejsce między następnymi stronicami.

Na końcu modlitewnika, na wolnych kartach, wpisano ręcznie kilka modlitw, różnymi atramentami, pięcioma różnymi charakterami pisma: Koronka do Śtej Anny, Błogosławieństwo Macierzyste, Polecenie dzieci Bogu, Ofiarowanie, Modlitwa do Matki Boskiej.

Ostatni zapis:

O! Królowo Serca Jezusowego módl się
za Matusieczką moją!
O! Królowo Serca Jezusowego módl się
za Matunią moją!
O! Królowo Serca Jezusowego módl się
za Matusieczką moją!

twarz tygodnia

była sina. Normalny to objaw przy gwałtownym spadku temperatury. Zarówno tej za oknem, mierzonej w stopniach Celsjusza, jak i tej wyborczej, mierzonej skokami ciśnienia tętniczego.

Habemus Lecham. W dodatku w glorii zwycięży. Udało mu się wygrać wojnę na górze. Może tylko nie z tymi co chciał, nie wtedy kiedy chciał i nie tak jak chciał. Victoria jest jednak niewątpliwa. Ciekawe, czy uda się również wygrać wojnę na dole, gdyż ta, jak się wydaje, nieuchronnie nadciągnie. Dziś jednak ważne, że kampania stoczona i skończona, że można podsumować jej wyniki.

Sprawa dostępu do środków masowego przekazu: równo i nieodpłatnie. Równością gwarantowana miała być sprawiedliwość, nieodpłatność zaś, czystością i bezinteresownością uczuć. Jak Temida lub Miłość – ślepe. Przypuścimy, że producent mydła „Lady Macbeth” zbierze wymaganą liczbę podpisów. Podpisów, które są tylko liczone i nikt nie sprawdza czy kryją się za nimi żywi i prawdziwi ludzie. Opłacałoby mu się nawet przepłacać swoich, przepraszając za słowo, żyrantów. W rezultacie uzyskuje bezpłatnie i w najlepszych okolicznościach oglądalności tyle czasu antenowego, że gdyby przyszło mu za to zapłacić, poszedłby z torbami. Nigdy nie takiego jak bezpłatny dostęp do środków masowego przekazu w celach reklamowanych nie istnieje. Wiadomo przecież, że jeśli za kimś stoją ludzie – stoją i pieniądze. Jest to i prostszy i skuteczniejszy sposób „sprawdzania” kandydatów. Dlatego też najracjonalniej zachował się kandydat Leszek Moczulski. Stawał przed kamerami (jak ów hipotetyczny „drogista”) i bez nadziei zostania prezydentem wcisnął nam swój produkt. Ze należał on do sfery wytworów ideologicznych, nie kosmetycznych – to mała różnica. Istoty rzeczy nie zmienia, obrazu nie zaciemnia. Śmiem twierdzić, choć może się mylę, że gdyby wypadło bulić za TV, kandydat Stan Tymiński nie odniósłby takich sukcesów.

Na pewno by ich nie odniósł, gdyby elekcja była pośrednia. Głosowanie przez elektorów ma tę zaletę, że są to ludzie wyselekcjonowani, więc per se ipso poważni, na których ktoś już oddał swe głosy. Byłby wtedy szczęśliwy kandydat peruwiańsko-kanadyjski, gdyby dostał 5 głosów – a tak, dostał 1/5.

Zapewne zaraz po powrocie (a wydaje się, że wróci) zacznie montować swą partię. Ma ona szansę stać się najpotężniejszą siłą pozaparlamentarnej opozycji. Skupi bowiem wszystkich niezadowolonych, a tych w naszym kraju nigdy nie brakowało, nie brakuje, a spodziewać się można, że ilość ich będzie wzrastała. Partia taka będzie kontrować każde posunięcie rządu bez względu na jego sensowność i celowość. Opozycja pozaparlamentarna nie jest zobowiązana bowiem ani do lojalności ani nawet do przyzwoitości. Będzie więc rosła w siłę im ludzie będą żyli mniej dostatnio.

Niech nikt się nie łudzi, że Stan Tymiński wystraszy się prokuratora i odsiadki. Tak się dziwnie i nietypowo składa, że w naszym kraju proces polityczny i pobyt w więzieniu są dla polityka najlepszą rekomendacją, wręcz gwarancją uczciwości. Rywal Lecha (obecnie Prezydenta Elekta) powinien przeznaczyć całość swojej kaucej na przekupienie organów ścigania, aby jednak do procesu doszło. Władze natomiast muszą zrobić wszystko, żeby do niego nie dopuścić.

Przed dziewięć laty przyszło mi zwiedzać Zakład Karny w Białoleczu z polecenia gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego. Pobyt w takich appartements meublés nie przysparza sympatii temu, kto nam taki wypoczynek załatwił. Nie żywiłem sympatii i ja. Muszę jednak przyznać, że poźegnalne przemówienie prezydenta Jaruzelskiego coś w moim stosunku do niego zmieniło, zaczęło taką sympatię budować. Jako człowiek ma pewną klasę, a jako wojskowy wie jak przeprowadzić odwrót.

Zbliżają się Święta. Ufajmy, że z Bożym Narodzeniem wykluje się coś nowego, dobrego, że w nowym roku będzie lepiej. Przyjdą chwile świątecznego obżarstwa, sylwestrowego szaleństwa. Pamiętajmy: życie nad Stan to minimum naszej egzystencji.

FIZJONOMISTA

Nigdy tu już nie powrócę...

Najnowsze przedstawienie Tadeusza Kantora miało się nazywać *Dzisiaj są moje urodziny*. Próby trwały w Krakowie. Na sobotę, 8. grudnia planowano zakończenie pierwszego etapu pracy. Dalszy ciąg przewidziany był w Tuluzie, gdzie zespół Teatru „Cricot 2” wkrótce się wybierał. Jeszcze w piątek, w rozgłośni krakowskiej Polskiego Radia pojawił się przysłany przez Kantora akustyk, prosząc o wyszukanie i nagranie efektów specjalnych. Chodziło o odgłosy wyjącego tłumu. W ten sam piątek po południu Tadeusz Kantor został odwieziony do szpitala. Zawał. W sobotę o piątej nad ranem zmarł.

Być może to przypadek, być może zrzędzenie losu, być może szczególny i nieprzenikniony zbieg okoliczności, jakich historia ludzkiego ducha zna niemało; dość, że ostatnie, zrealizowane w pełni przedstawienie Kantora nosiło tytuł *Nigdy tu już nie powrócę*. Jest w tym jakaś wyjątkowo tragiczna ironia. Teatr z natury swojej należy do zjawisk ulotnych, umiera łatwiej i szybciej niż inne wytwory sztuki, wykonane w materiale trwałym niż ciało aktora. Nic tu nie pomaga nowoczesne formy zapisu, nic tu nie pomoże film, nic tu nie pomoże wideo. Owe techniki mają się do teatru tak jak cienie w platońskiej pieczarze do rzeczywistości. Wszelako zdarza się, że po śmierci reżysera aktorzy mogą grać jego przedstawienie przez kilka nawet lat. Tak grano *Dziady* i *Wyzwolenie* po śmierci Konrada Swinarskiego.

Ale w wypadku Tadeusza Kantora jest inaczej: jego teatr umarł razem z nim. Tu już się nie da ani zakończyć tego, co było zaczęte, ani kontynuować tego, co było gotowe. Po prostu – ten teatr jest nie do pomyślenia, nie istnieje bez żywej obecności Kantora. Tadeusz Kantor nie był bowiem reżyserem w zwykłym sensie tego słowa. Tworzył dzieła najbardziej osobiste – a to znaczy także, że osobiście brał w nich udział. Występował jako sprawca, kreator, demiurg. Rzecz by można, że własnoręcznie uruchamiać świat swoich przedstawień. Był na scenie wśród postaci i przedmiotów, wśród aktorów i manekinów, dyrygował nimi na naszych oczach. Na dobrą sprawę, był w swoim świecie sce-

niczny osobą główną. I tego świata nie można od niego oddzielić. Ten świat, tak jak jego twórca, już nigdy tu nie powróci.

Ktoś powiedział, że Kantor w swojej sztuce nie kłamał, bo mówił zawsze o sobie. To prawda; jak każdy wielki artysta, a należał do największych artystów tego wieku, był egotykiem. Ale – to przywił wielkiego artysty – jego egotyzm miał szczególną moc kumulowania i wyrażania doświadczeń wspólnych – egzystencjalnych i historycznych. W przedstawieniu *Wielopole, Wielopole*, nikomu przedtem nie znana galicyjska miejscowość stała się nagłe centrum świata czy też modelem świata, w którym doświadcza się w pełni ludzkiego losu. Osoba Kantora posłużyła tu za medium, przez które to, co lokalne – by nie rzec: prowincjonalne – urosło do wymiaru uniwersalnego. Podobna zasada rządziła innymi spektaklami.

Pokój dziecienny, klasa szkolna, miejscy najbardziej prywatne w osobistej biografii i osoby najbliższe, rodzina; także przedmioty – podręczne, ubogie, tandetne – to wszystko u Kantora urastało do wymiaru wielkiej metafory. Działal tu imperatyw artystyczny, który polegał na tym, by – wedle słów Kantora – „uczynić publicznym, co w życiu indywidualnym było najskrytsze, co zawiera w sobie wartość najwyższą, co dla »świata« wydaje się śmiesznością, czymś małym, »biedą«. Sztuka tę »biedę« wydobywa na światło dzienne”.

Gdy idzie o tak pojmowaną sztukę Kantor był artystą niemal obsesyjnie wiernym samemu sobie, niepodatnym na żadne koniunktury. I przez długi czas płacił za to odosobnieniem, niezrozumieniem. Ale miał też tę niezwykłą siłę trwania i kontynuowania raz obranej drogi; miał – jak to określił Peter Brook – moc twórcy. „Naturalnym ludzkim stanem – mówił Kantor – jest kontakt ze światem, wola kontaktu. Jest wszelką cenę. W latach 50. malowałem bardzo wiele obrazów będąc świadomym, że nie będę mógł ich wystawić. I pomimo że malowałem je »dla siebie« bo musiałem malować, bo musiałem malować tak, a nie inaczej. Nie uważałem tego za »podziemie«. Poprzez to malarstwo

»kontaktowałem się« z całym światem. Wolnym”.

Właśnie, pojęcie wolności zajmowało w słowniku Tadeusza Kantora miejsce uprzywilejowane, choć niekoniecznie zgodne z potocznymi mniemaniami na ten temat. Kantor szukał wolności autentycznej i wierzył, że taką wolność może dać tylko sztuka. „Wolność sztuki – pisał – nie jest darem ani polityki, ani władzy. To nie z rąk władzy sztuka otrzymuje wolność. Wolność istnieje w nas, o wolność musimy walczyć sami ze sobą, w naszym najintymniejszym wnętrzu, w samotności i w cierpieniu”.

W tym sensie był Kantor artystą najgłębiej niezależnym, ale też, paradoksalnie, zaangażowanym w rzeczywistość. W jego postawie nie było ani śladu eskapizmu, ani śladu pięknouchostwa. Wolność Kantora odrzucała frazesy, odrzucała zbiorowe gesty, zaklinające akty narodowej liturgii, które składają się w gruncie rzeczy na nierzeczywistość. Dopiero odrzucając tę nierzeczywistość można dojść do wolności duchowej, indywidualnej, „wolności, która nie jest ograniczona prawami jakiegokolwiek systemu”. Wiązała się z tym także niezgoda na kojarzenie walki o wolność „programową”: polityczną, religijną czy patriotyczną z rozmaitymi pretensjami awangardowymi. I znowu, jakże paradoksalnie, ten radykalnie awangardowy artysta demistyfikował nieautentyczność bardzo wielu dwudziestowiecznych ruchów awangardowych. A wszystko to w imię rzeczywistości niesklamanej.

Jeszcze niedawno Tadeusz Kantor powiedział, że pojęcie sztuki jest sprzeczne z pojęciem wszelkiej władzy. „Nie politycy poprowadzą ten naród. Ten naród zawsze prowadzili artyści. Wyspiański, Mickiewicz... Ten naród prowadzili geniusze. Politycy polscy, także ci obecni, ani razu nie wypowiedzieli słowa »sztuka« i dlatego przegrają. Państwo bez sztuki nie ma żadnych szans rozwoju”.

Jeśli prawdą jest, że ten naród prowadzili geniusze, to śmierć Tadeusza Kantora sprawiła, że naród został opuszczony przez jednego z największych. I jednego z ostatnich.

Janusz Majcherek

8.XII zmarł w Krakowie Tadeusz Kantor.

■ 13.XII Stowarzyszenie Pisarzy Polskich zaprasza do Domu Literatury (Krakowskie Przedmieście 87/89) na wieczór poezji stanu wojennego z udziałem Przemysława Gintrowskiego. ■ SPP pomyślało także o dzieciach. 15.XII w Muzeum Literatury dzieci mogły oglądać gwiazdkowe przedstawienie *Spotkanie z Panem Tuwimem* w wykonaniu Anny Seniuk i Teresy Jarnuszkiewicz, a 17.XII spektakl *Pan Tadeusz* w wykonaniu Ireny Jun. ■ Cykl wykładów o literaturze Artur Międzyrzecki poeta, prozaik i tłumacz rozpoczął odczytem *Być poetą*. Spotkania zorganizowane przez towarzystwo „Ogród ksiąg” będą odbywać się w gmachu polonistyki UW. ■ Instytut Polski w Wiedniu zorganizował wystawę książek najstarszej polskiej oficyny wydawniczej Ossolineum. Wystawa cieszy się ogromnym powodzeniem.

■ Niezwykła wystawa – po niemal stu latach – monograficzna wystawa Władysława Podkowińskiego, ukazująca wszystko, co najistotniejsze w twórczości artysty. Od 10.XII do końca lutego 1991 oglądać można w Muzeum Narodowym 80 rysunków i akwarel oraz 61 obrazów. Nie dotykać eksponatów... ■ Międzynarodowa Wystawa Satyryków odbywająca się co roku w Legnicy została włączona przez redakcję magazynu „Witty World” do światowego konkursu Grand Prix Rysunku Satyrycznego. ■ Jacek Sroka, Tomasz Melak, Tomasz Dominik i Anna Maria Bauer oraz pięciu Niemców wzięli udział w wystawie *Wolność*. Prace wystawiane są w galerii Uniwersytetu Hawajskiego w Honolulu. Tam nas jeszcze nie było... ■ 6.XII w warszawskiej siedzibie dawnego teatru „Guliver” rozpoczął dzia-

przegląd kulturalny

łano „Teatr Świętego Mikołaja”, którym kieruje Marcin Jarnuszkiewicz. Pierwsza premiera *Dziadek do orzechów* Piotra Czajkowskiego bardzo udana. Życzmy powodzenia. ■ Polska prapremiera *Kolacji* Jean Claude'a Brishville'a odbyła się 15.XII na małej scenie teatru „Powszechnego”. Janusz Gajos jako Fouché i Władysław Kowalski jako Talleyrand; dania funduje „Zajazd Napoleoński”. ■ *Spotkania z filmem włoskim* – przegląd, który odbędzie się w dniach 15–21.XII zorganizowany został przez Filmotekę Narodową przy współpracy włoskich instytucji kulturalnych. Zobaczymy: *Przed sklepem jubileja* (na podstawie sztuki Karola Wojtyły), *Otwarte drzwi*, *W podróży z ojcem*, *Mignon wyjechała*, *Ostatnia minuta*, *Skapiec*. Trochę aktualności włoskiego kina. ■ *Europa*, *Europa* Agnieszki Holland weszła na ekrany kilku paryskich kin. A kiedy u nas? ■ 11 i 14.XII w Instytucie Francuskim w Warszawie odbyły się projekcje najnowszych filmów

Andrzeja Żuławskiego *Mes mits sont plus belles que vos jours* (w dosłownym tłumaczeniu – *Moje noce są piękniejsze niż wasze dni*). Gra w tym filmie oczywiście Sophie Marceau. ■ W dniach 27–29.XII trwać będzie I. Mały Festiwal Koncertów Autorskich *Wieczory na Okólniku*. Inauguracją Festiwalu będzie mini wernisaż wystawy malarstwa Włodzimierza Szymańskiego, która ma towarzyszyć koncertom. W programie Festiwalu znajdują się sześć koncertów autorskich sześciu kompozytorów: Jerzego Kornowicza, Jacka Grudnia, Krzysztofa Okczaka, Wojciecha Nowaka, Zbigniewa Kozuba i Kazimierza Pyzika. Kierownikiem artystycznym Festiwalu jest Tadeusz Wielecki; koncerty odbywać się będą o godzinie 18.00 i 19.30 w Akademii Muzycznej, Okólnik 2. Gwarantujemy znakomitą muzykę i ciekawych wykonawców. ■ W Przegorzałach koło Krakowa uroczystie otwarto 6.XII Kolegium Polonijne im. Kazimierza Pułaskiego. Gospodarzem budynków jest Instytut Badań Polonijnych UJ, który w dniach 6–9.XII zorganizował konferencję *Mniejszości Polski. Polonia w ZSRR*. ■ Oglądane kiedyś na nieoficjalnych pokazach i wielokrotnie nagradzane filmy Marty Meszaros nie zgromadziły tłumów w sali krakowskiego kina „Apollo”. Szkoda, bowiem po projekcji, reżyserka i Jan Nowicki a także inni aktorzy grający w jej filmach rozmawiali z widzami o sztuce i życiu. ■ W galerii Sceny Plastycznej KULu oglądać można do końca grudnia wystawę *Bruno Schulz – 40 rysunków*. ■ Jedyną naprawdę dobrze się sprzedającą książką w tym tygodniu była *Mozajka Parstfala* Roberta Ludluma.

M.M.

Żółte spodnie strzecha i kod genetyczny...

rozmowa z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem

Iwona Smolka: Proszę Pana, jest Pan autorem wielu książek, wśród których jest *Baket* i *Żmut*. Dwie książki, będące dla mnie odkryciem Mickiewicza, młodego, zupełnie innego Mickiewicza. Czy możemy sobie wyobrazić, że stoi tutaj *baket*, owa ogromna kadź mesmeryczna i że Pana wyobraźnia niczym magnes ściąga do siebie postaci sprzed przeszło stu lat, ściąga ich losy, a one zasypują się tak, że tworzy się właśnie ów *żmut*, kołtun, splot, którego nie można rozwiązać. Można wyciągać tylko poszczególne niteczki, aby zobaczyć fragmenty, kawałki czyjegoś życia, fragmenty czyjejś biografii, dociekać dlaczego było tak, a nie inaczej. A Pan gromadzi owe okruchy losów, dokumenty...

Jarosław Marek Rymkiewicz: Proszę spojrzeć: to jest plan mieszkania państwa Kowalskich w Kownie. Dostałem go niedawno od pana Andrzeja Szperla. Tak się zdarzyło, że w listopadzie 1939 roku pan Andrzej zamieszkał w domu, w którym mieściło się mieszkanie państwa Kowalskich. A w sierpniu 1941 roku zamieszkał w sypialni Karoliny Kowalskiej. Teraz opisał mi to wszystko i zrobił plany. Niech pani zobaczy. To jest rynek kowieński, kościół Jezuitów, to jest Daugirdo gatvė, uliczka Dowgirda, która schodzi do Niemna. Tu gdzieś powinien płynąć Niemen w dół. Bardzo piękny. Byłem tylko pół dnia w Kownie. Mickiewicz mieszkał gdzieś tutaj, w byłym Kolegium Jezuitów koło kościoła. Tu mieściła się szkoła, a jego mieszkanie było na piętrze. Natomiast tutaj był – i jest – dom, w którym zamieszkał pan Andrzej Szperl. W tym domu mieściła się bursa akademicka, tutaj od ulicy Dowgirda, natomiast w drugiej części było mieszkanie państwa Kowalskich. Tutaj, od strony rynku, jak twierdzi pan Andrzej, znajdowała się sypialnia Karoliny Kowalskiej. Okna wychodziły na rynek. To był stary XVIII-wieczny piętrowy dom, przebudowywany wielokrotnie potem w XIX i w XX wieku. Natomiast, jak twierdzi pan Andrzej, sypialnia Karoliny zachowała się w takim stanie, w jakim była w XIX wieku. Podobno były tam jeszcze – może i są nadal? – łukowe sklepienia i głęboka nisza okienna. Ale jest w tym jednak coś, co się nie zgadza. I to jest, oczywiście, najbardziej pasjonujące w tej historii. Popatrzmy na plan tego domu: okna wychodzą na kowieński plac Ratuszowy. Tu powinno być mieszkanie Mickiewicza. Otóż Mickiewicz, bodajże we wrześniu 1821 roku, pisze do Pietraszkiewicza do Wilna, że stojąc w oknie widzi światło w oknach pokoju Karoliny. Ale jeśli przyjrzymy się, że sypialnia Karoliny znajdowała się tam, gdzie umiejscawia ją pan Szperl, to Mickiewicz nie mógł widzieć światła, przynajmniej z sypialni. Mógł widzieć – na skos – światło z kuchni, albo z sypialni pana doktora Kowalskiego. No, ale w każdym razie jest to niebywale, że nagle zjawił się ktoś, kto opowiedział mi, jak to wyglądało.

– Myślę, że ludzie po prostu lubią przeszłość i dlatego, gdy o niej czytają, to ich bardzo

podnieca i przypominają sobie to co wiedzą, wnikają w swoją przeszłość.

– Po wydaniu *Żmutu* dostałem wiele listów uzupełniających lub prostujących te informacje, którymi dysponowałem. Relacja pana Szperla jest najciekawsza i jej efekt jest dla mnie najważniejszy, bo wynika z niej coś istotnego dla naszej wiedzy o młodym Mickiewiczu. Wileńszczyzna i Wilno to jest sentymentalne terytorium polskie. Terytorium mityczne powiedzmy, żeby lepiej to zabrzmiało. I oczywiście ten mit nie jest prywatnym mitem jednego człowieka, czy kilku ludzi, to jest mit całej warstwy społecznej, przez tę

warstwę stworzony, i w którym ta warstwa społeczna artykułuje swoją potrzebę przeżywania przeszłości polskiej. Tak, że ci ludzie chcą jakby dodawać coś z siebie do tego mitu i – jak to z mitami bywa – wciąż w nim żyją.

– Mam wrażenie, że przede wszystkim oni pomagają Panu w zagęszczaniu czasu, bo przecież w *Żmutu* pisze Pan, iż najważniejsze jest, żeby ta przeszłość, która jest taka rozrzedzona, taka nie istniejąca właściwie, stała się terazniejszością. Czy to nie jest Pana zadanie?

– Zastanawiam się, czy w ogóle pisanie o historii i wracanie do przeszłości nie służy w gruncie rzeczy temu, żebyśmy my sami siebie, pisząc i czytając, umiejscowili w naszym własnym świecie, żeby nasze istnienie zakorzeniło się przez ten powrót w naszej tutejszości, żeby się skonkretyzowało w terażniejszości.

Mam takie poczucie, że wyprawa do miasta, podróż do miasta, którego nie znam, o którego przeszłości nic nie wiem, o którego domach, ludziach nikt mi nic nie opowiedział, jest dla mnie przedsięwzięciem całkowicie jałowym, bo to jest tak, jakbym pojechał donikąd. Nie mam tam nikogo, nie mam tam nic, nie mnie nie wiąże z tym miejscem, wobec tego nie ma tam też mojego miejsca. Natomiast kiedy jadę do Wilna – to można powiedzieć o dziesiątkach miast, prawda? – kiedy jadę do Paryża czy Krakowa, kiedy wychodzę na ulice Warszawy, to jestem w tych miastach przez to, że ktoś w nich był przede mną i że ja o tym wiem. Przez to, że te domy, miejsca coś dla mnie znaczą. Jeśli one nic nie znaczą, to jestem w pustce, i jestem pusty, czyli mnie też nie ma.

– Czy dlatego tak ważny jest dla Pana wszelki opis, miejsce, topografia?

– Można by to nazwać próbą oswojenia świata, czy próbą oswojenia historii. Historia, którą poznajemy w szkole czy w jakiś szkolny sposób – jako ciąg faktów, ciąg wydarzeń związanych z jakimiś ludźmi – jeszcze nie właściwie dla nas nie znaczy, jeszcze w niej nie uczestniczymy. Historia żywa – czyli taka, w której można żyć – jest szczegółową topografią czasu.

– Pan jej w ogóle nie lubi?

– Historii? A, to różnie z tym bywa. *Baket* jest książką którą, jak się zdaje, pisałem w stanie ostrej niechęci do historii widząc ją, jako siłę niszczącą. Ale oczywiście mówiąc o tej sile niszczącej, myślę o tym, co się potocznie nazywa historią polityczną, historią składającą się z wydarzeń politycznych. Istnieje jednak inna historia, która i w *Żmutu* i w *Bakecie* jest obecna. To historia naszych istnień, naszych losów, prywatna historia ludzi, która w *Bakecie* jest przeciwstawiona tej wielkiej historii niszczącej ludzi, komplikującej ich losy, gnatawającej ich istnienia. Inaczej być nie może, historia polityczna zawsze wplata się w historię istnień. Ale wtedy akurat tego splotu nie lubiłem. Może nie zawsze tak bywa. To jest sprawa czasu, w którym się pisze.

– Proszę Pana, mimo, że Pan bardzo nie lubi historii, czasami wydaje mi się, że Pan przede wszystkim kpi sobie zarówno z bardzo poważnych historyków literatury, jak i ze świadków epoki. Nie lubi Pan Odyńca, prawda? Nakłamał okropnie. Nie lubi Pan jeszcze paru współczesnych Mickiewiczowi...

– Ale byłbym bez nich bezradny. I nawet jeśli ich nie lubię, czy nawet jeśli wydają mi się trochę śmieszni, to są dla mnie bezcenni. Czym więcej świadków, czym więcej świadectw, czym więcej dokumentów, tym większa szansa na zakorzenienie się w historii. Ten okres, którym się zajmowałem i zajmuję, to znaczy pierwsze ćwierćwiecze, pierwszych dwadzieścia

każdy rodzaj świadectwa, także te świadectwa, które są jawnie skłamane – tym więcej możliwości wypełnienia tej lamigłówki, zapelnienia pustych miejsc, o których nic nie wiemy.

Oczywiście bez szansy, że wypełni się wszystko, cała topograficzna przestrzeń czasu. Pisząc *Baket* bardzo długo nie miałem tytułu. Pojawiał się dopiero wtedy, kiedy wyłoniła się sfera mówiąca o magnetyzerach i kiedy pojawił się Towiański. Początkowo Towiańskiego w tej książce nie było. To miała być książka ograniczona właściwie tylko do Wilna i sprawy procesu filaretów i filomatów oraz ówczesnej nomenklatury, czyli Nowosilcowa i jego urzędników. Nie miałem tytułu i pierwszy, jaki mi przyszedł do głowy – zresztą okazał się nie do użycia – oddaje może lepiej to, co chciałem powiedzieć w tej książce, niż słowo „baket”. Myślałem, żeby nazwać tę książkę „Puzzle”. Chodzi o taką układankę amerykańską, krajobraz w niej układa się z takich małych kawałeczków, których są setki, czy tysiące. No, oczywiście, to był tytuł, który do *Baketa* nie pasował, gdyż mówił tylko o zamiarze autorskim, natomiast nic nie mówił o duchu książki i przeniesiony był z zupełnie innej epoki. Z tym, że te moje puzzle, którymi są niewątpliwie *Baket* a także *Żmut*, różnią się niewątpliwie od tej dziecięcej zabawy tym, że zabawa w pewnej chwili się kończy. To znaczy producent zabawki zakłada, że wszystkie puste miejsca dadzą się wypełnić i że ktoś bardzo cierpliwy i dość biegły w tej grze może wreszcie ułożyć z tych kawałeczków cały krajobraz, nie zostawiając żadnego pustego miejsca. Oczywiście moje puzzle polegają na tym, że one nie mają końca, i w krajobrazie czasu zawsze zostają puste miejsca, ponieważ odtwarzanie historii nie ma końca, ponieważ historia nie da się odtworzyć. Ale może lepiej byłoby powiedzieć, że odtwarzanie losu ludzkiego, czy odtwarzanie naszego istnienia nie ma końca, ponieważ to istnienie jest terenem tak rozległym, że żadne pisarstwo nie może mu sprostać.

Nie da się opisać wystarczająco nie tylko czyjegoś życia, ale nawet jednego dnia czyjegoś życia. Zawsze będzie jeszcze coś do dopisania.

– Ale da się opisać na przykład suknie Maryli, albo to, jak wyglądała. Czy też nie do końca? Bo, na przykład, nie może Pan napisać ile było lip. Tego Pan nie wie.

– Czy też ile Maryla miała sukienek? I teraz, kiedy pani mi postawiła to pytanie, natychmiast zacząłem się zastanawiać, bo to są takie pytania, które coś we mnie poruszają. Ile w tamtych czasach szlachcianeczka z takiej rodziny jak Wereszczakowie, dość bogatej rodziny, miała sukien w szafie? Nic na ten temat nie wiemy. Ja przynajmniej nie spotkałem żadnego zapisu, który by mówił, że panna z dworku miała wtedy piętnaście sukien idąc za męża, czy że miała ich sto pięćdziesiąt, czy że miała trzy suknie, tylko. Być może, dałoby się znaleźć w dokumentach jakąś informację na ten temat. Kilka sukien Maryli zostało



RYMKIEWICZ

JAŁEK GAWŁOWSKI

pięć lat XIX wieku na Wileńszczyźnie i dalsze ciągi tych historii, które wtedy tam się zaczęły – dalsze ciągi w Warszawie, w Paryżu, w Petersburgu, za Uralem – ten okres jest wyjątkowo dobrze opisany dzięki złośliwości historii, czy nawet dzięki szalowi, w jaki wpadła wtedy historia. Historia rozrzuciła wtedy tych ludzi po całym świecie, a oni musieli ze sobą korespondować. Poza tym mieli dość niezwykle losy, toteż czuli się przymuszeni do pisania dzienników, wspomnień, pamiętników. Dzięki temu zostawili nam ogromną ilość świadectw. Czym więcej tych świadectw – wszystko jedno na ile prawdziwych, mnie interesuje bowiem

opisanych lub namalowanych przez malarzy, którzy ją portretowali. Jak ta ilość sukien miała się do jej wszystkich sukien? Takie pytania wyglądają na pytania maniaka. Człowiek, który zbyt szczegółowo wnika w tak drobne, nie znaczące sprawy może wyglądać na kogoś, kto dał się ponieść pasji całkowicie jałowej. Otóż ja bym się chciał w sposób zasadniczo wytłumaczyć z tego, dlaczego zajmuję się takimi dziwnymi sprawami jak, na przykład, to, ile było okien w pokoju w którym mieszkał Mickiewicz, ile było drzew w tuhanowickim parku, ile sukien mogła mieć Maryla Wereszczakówna w szafie, czy też jakie miała pantofelki, czy te pantofelki były ciasne, ciąg dalszy na s. 6

Rymkiewicz podejrzliwie traktuje życie literatury z literatury, powtarzanie przez nią mitów, ponawianie archetypów. Lekceważy przez to neoklasyka czyli swoją autokreację z lat sześćdziesiątych.

Jacek Łukasiewicz

Rymkiewicz dokonał wyłomu w historiografii literatury polskiej. Rozprawę naukową, esej, poezję połączył w całość o narracyjnym ciągu, stworzył nowy gatunek literacki, który nie posiada jeszcze imienia...

Ziemowit Skibiński

Jacek Łukasiewicz

Wskrzeszanie

Zmut i Baket Rymkiewicza – pierwsza i druga część zapowiedzianej trylogii – napisane są znakomicie. Wzorem dla *Zmutu* jest romans sentymentalny, dla *Baketu* – panoramyczna powieść historyczna. Ale autor stosuje też jawnie proceder historyka, krytycznego wobec źródeł, rekonstruującego drobniawo wydarzenia, ostrożnie wysuwającego hipotezy przyczyn. A że przywoływany jest nadto duch gawędy, więc te hipotezy bywają korygowane przez dokumenty nowe, znajdowane niby w trakcie pisania.

Wzorce romansu i wielowątkowej powieści zostały jakby dobrane do podjętego tematu. Romansują Adam i Maryla. Panorama historyczna, obfitująca w postaci i wątki, przedstawia losy filomatów. Poza romansem mamy jednak w pamięci *Dziadów* część IV, a także społecznie zakorzoną legendę o miłości Gustawa. Czytając zaś powieść obyczajowo-polityczną przypominamy sobie (autor zadbał o to) *Dziadów* część III i inną legendę – heroiczne męczeństwo dzieci wileńskich.

Jarosław Marek Rymkiewicz obie legendy ostentacyjnie chce podważyć. To nie z Marylą-Dziewicą romansował Mickiewicz, ale z mężatką Puttkamerową i z mężatką miał dziecko. Nie dzieci prześladowano w Wilnie, lecz dorosłą młodzież, nie mordowano jej i nie bito tak okrutnie, jak to przedstawione jest w *Dziadach*. Na wypadki wileńskie Mickiewicz nałożył świadomość powstaniową. Pozornie idzie mu o cesarza Aleksandra, naprawdę – o Mikołaja.

Ale Rymkiewicz podważa legendy za pomocą utworu literackiego; mówi o nich w książkach niby-powieściach, które celowo zawierają mnóstwo fragmentów metatekstowych objaśniających sam proces pisania. *Zmut* – to tyle, co płatanina. *Baket* – to używany przez mesmerystów przyrząd do magnetyzowania. „*Zmut*, z którym miałem do czynienia – pisze autor – został przeze mnie przedstawiony jako *zmut* i nawet jeśli wynikało to z nieładu panującego w mojej głowie lub z tego, że nie dość się starałem, jest w tym coś, co mi odpowiada” (Z, 3)*. I później: „Przeszłość to jest *Zmut*: wszystko splecione i jakby wcale nie zależało mi na tym, żeby to, co splecione, rozplątać. Nawet przeciwnie. Moje odczucie czasu mówi mi, że jego sekretna istota, do której powinienem starać się dotrzeć, jest w centrum *Zmutu*, tam gdzie znajdowała się jeszcze odrobina ciepła, życia(...)” (Z, 182).

Historia to płatanina, której nadajemy dość arbitralny i najczęściej konwencjonalny porządek. Posłużenie się konwencjami powieściowymi aż nadto dobrze obnaża ową względność nadawania porządku (... „Ład historii czyli ład tej książki, którą piszę” – Z, 108), zaś płatanina przenika i ogarnia porządkujące konwencje romansu i powieści historycz-

nej. W gruncie rzeczy mamy do czynienia jedynie z urywkami, fragmentami, dygresjami. Odpowiada to nie tyle romantycznej świadomości (choć lubiono wtedy fragmenty i dygresje), ile naszej współczesnej kondycji duchowej, naszemu poczuciu egzystencji. „Nasza egzystencja jest taka jakaś, i znów brak mi tu słowa, ale właśnie taka jakaś: nieporządnie uszyta, nie obrębiona, nie dopięta, tu się drze, tu pęka (...)” (Z, 119).

Z urywków, nieobrębionych i niedokończonych wykluwa się konstrukcja. Jest ona wytworem umysłu indywidualnego opowiadacza i zarazem ponadindywidualną konwencją. Co tedy jest niezależne od nas, co jest obiektywne, co rzeczywiste? – rzeczywistości naszych marzeń, fantazji i pomysłów, wiarygodności naszych idei nie jesteśmy przecież pewni.

Im mocniej to sobie uświadamiamy i na to się godzimy, tym ważniejsze stają się pojedyncze rzeczy i pojedynczy ludzie wobec których łatwiej jest stosować klasyczne kryterium prawdy, łatwiej zbliżyć się do ich faktyczności. Wymaga to jednak trudu. Nie wiadomo na przykład z ilu lip składa się altana w Tuhanowiczach: sześciu, dziewięciu, dwunastu? (Notabene znam osobę, która to ustaliła). Opowiadając historię-fabule, zawsze się zmyśla, podczas gdy fakty można rekonstruować, przedmioty, postaci – ich wyglądy i zachowania, odtwarzać, wyluskiwać ze sprzecznych świadectw.

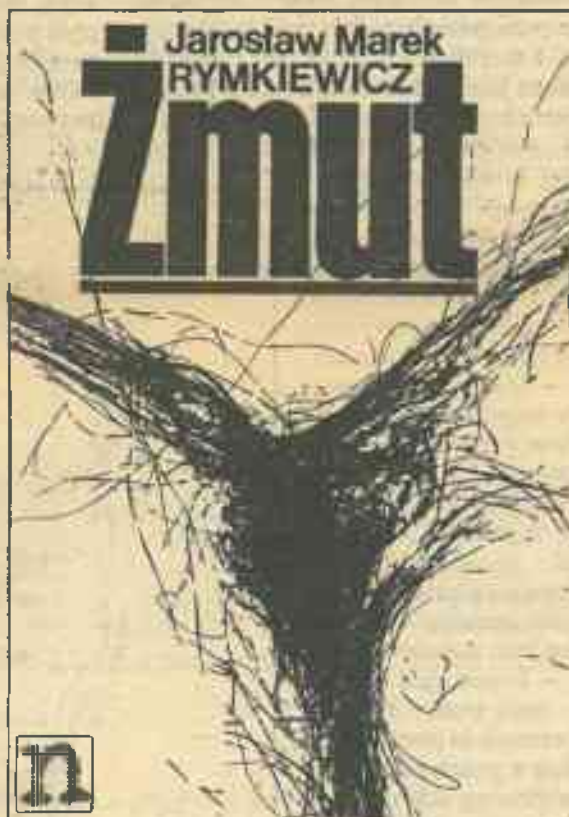
Ale taki proceder nie wystarcza. Porządku istnienia nie odkrywamy; jeśli jest, to zakryty przed nami, zamknięty na siedem pieczęci. Możemy jednak znaleźć coś, co fakty ożywia, sprawia, że nie są martwe. Literatura, nie nadając rzeczywistości porządku, spełnia właśnie tę funkcję – ożywia zapomniane rzeczy i ludzi (na przykład Ewelinkę, córkę Mickiewicza i Puttkamerowej), wydobywając ich istotę czy zasadę życiową. „Nasze wyprawy w przeszłość zmierzają bowiem zawsze w tych dwóch kierunkach: mają na celu albo odnalezienie porządku istnienia, albo odnalezienie jego istoty, z którą – to pewnie złudzenie – łatwiej się utożsamić właśnie tam w przeszłości (...)” (Z, 182).

Ożywieniu przeszłości: ludzi i rzeczy, służy baket.

„Ten cebrzyk – napelniony opiłkami, piaskiem i butelkami z magnetyzowaną wodą, z wystającymi żelaznymi prętami, z którymi kontakt uzdrawiał – wymyślił Mesmer. Powiniennem jeszcze wyjaśnić,

dłaczego ta moja książka jest baketem. Nazwałem ją tak, ponieważ zamierzam jej użyć jako naczynia magnetycznego. Napelnię ją ułamkami, opiłkami i okruciami licząc, że popłynie przez nie agent mysterieux, przy pomocy którego nawiążę kontakt” (B, 10). A dalej: „Zdaje mi się, że mój diabelski eksperyment przypomina nieco ten eksperyment, któremu postanowił poddać się Tukaj: kroje na kawałki licząc, że wszystko to ugotuje się w agent mysterieux i skutkiem tych leków to, co pokrojone, znów się zrośnie i ożyje (...)” (B, 156).

Ważne są więc dwa różne działania: nawiązywanie kontaktu z siłami już istniejącymi, i ożywianie, re-kreacja. Baket to jakby wirujący stolik; tak to bywa w praktykach spirytystycznych: na wezwanie przychodzą zwykłe duchy niebawalne. Napoleon, Szekspir czy Hitler na pewno nie nudzą się w sferze pośredniej zaświatów. Przywoływanie „wielkich duchów” (pięknie eksplikowane w *Słowacki pyta o godzinę*) wiązało się ze swoistym arystokratyzmem. Baket to jednak także kocioł czarownika, przy czym wskrzesielska magia dotyczy w ostatnich książkach raczej istnień zapomnianych. Zrastają się miejsca, marginalni ludzie, prowincjonalne dzieje.



Autor chce ratować istnienia ludzkie, przedmioty i miejsca o których zapomniano, chciałby wskrzeszać dziewczęta z Wilna, o których zaledwie napomykają pamiętnikarze. (To demokratyczne dążenie wiąże się z przekonaniem o absolutnej wartości każdego człowieka, a nie tylko „wielkich duchów”). Kieruje to pisarza ku rzeczywistości pozamentalnej. Podejrzliwie więc traktuje życie literatury z literatury, powtarzanie przez nią mitów, ponawianie archetypów. Lekceważy przez to neoklasyka czyli – swoją autokreację z lat sześćdziesiątych. „Kiedyś – pisze – bawiło mnie obserwowanie tej przemiany słów, które – w lotnych układach – odrywały się od tego, co miały nazywać i zaczynały wskazywać na jakies inne dzieło, które w męce – bo też miał kłopoty ze znaczeniem słów – napisał ktoś inny. Teraz myślę o tej przemianie z rozpaczą: jak by tu poustawić słowa, jakby połączyć je ze sobą, ale tak, żeby wskazywały „o właśnie” na ten obłok w kształcie końskiego łba, na ten jedyny

obłok jeden raz nade mną (...)” (Z, 212). *Mimesis*, a nie *heuresis*. Magia polega na ewokowaniu (wskrzeszaniu) widzialności, co zresztą dla Rymkiewicza łączy się chyba z potrzebą fabularyzacji („Dopiero, gdy ukazują się ludzie, jawory i jarzyny stają się nieco konkretniejsze”, Z, 213).

Słowo nie powinno kłamać rzeczy przywoływanej w jej zmysłowej pełni. Przeto głównym bohaterem powstającej trylogii jest Mickiewicz, ujmujący świat w ciemności, z której rodzi się duchowość (a nie, jak Słowacki, w duchowości zmieniającej się w niedocieleśność). Mickiewicz grający, także w największych swych dziełach, konwencjami gatunkowymi (co tak świetnie uchwycił Borowy), zdający sobie sprawę z ich umowności i konieczności zarazem. A jednak, mimo tych duchowych pokrewieństw, Mickiewicz właśnie jest oskarżany (mniej w *Zmucie*, bardziej w *Bakecie*). Nie jako wielki twórca, ale jako piszący człowiek. Książki Rymkiewicza – co zostało mocno podkreślone – mówią nie o utworach, ale o życiu Adama, o dziełach poetyckich zaś tylko w tym stopniu, w jakim świadczą one prawdziwie albo fałszywie o rzeczywistych faktach i ludziach.

Czytamy o wileńsko-kowieńskim kochanku, o wyróżniającym się filomacie. Można powiedzieć: poeta jest założony, wystarczy wypowiedzieć nazwisko „Mickiewicz”, by każdemu polskiemu czytelnikowi przypomniane zostały główne utwory wieszczka. Odsuwając Mickiewicza-poetę, nie można jednak weryfikować legendy, której on jest nie tylko przedmiotem, ale i autorem. Legendy o Gustawie i Dziewicy nie stworzyli przecież Domeyko z Odyńcem przyjaciele domu Wereszczaków i Puttkamerów, pragnący w ten sposób utaić niewygodną prawdę o romansie z hrabiną i ciężą. Maryla jest postacią z poezji Mickiewicza: z IV części *Dziadów*, ostatnich strof „Upiora”, a wcześniej z „To lubię” (niezależnie od tego, kto był pierwotnym adresatem tej ballady); później zaś z „Na Alpach w Splügen” i, całkiem przemieniona, ona to „z ganku lekko stąpa”... Kallenbach, Kleiner tę legendę mogli interpretować, dotwarzać, utrwalac, lecz nie oni byli jej autorami.

To Mickiewicz napisał rzecz o Gustawie i Dziewicy, a nie o dwu mężatkach (Kowalskiej i Puttkamerowej) i romansującym z nimi młodzieńcu. Mamy więc w tej legendzie, i będziemy mieli, altanę w Tuhanowiczach, nie zaś salonik z kanapą w Kownie. Nic na to nie poradzimy rewidując fakty z zyciorysu, obalając biograficzne niedopowiedzenia i fałszerstwa. Ani więc scenaria z Wertera ani z powieści Balzaka. To Mickiewicz wprowadzał do swych wymysłów prawdziwe nazwiska, zacierał granicę między życiem realnym i fikcją. I pewnie Maryla nie jest tą samą w Tuhanowiczach i w IV części *Dziadów* (a przecież – tą samą). I nie są ci sami – w życiu i w poemacie – Doktor, Pelikan, Frejend czy Sobolewski (lecz ci sami).

To pomieszanie w arcydziele życia i sztuki przeniesiono z arcydzieła do popularnej legendy i – zgodnie z jej prawami – uproszczono. Historia Gustawa i Dziewicy zostanie zatem sprowadzona do sentymentalnego obrazka, do romansu o bogatym hrabim i biednym geniuszu. III część *Dziadów* będzie odczytywana jako sprawozdanie z kary Bożej, która dotknęła lotrów i łajdaków: Pelikana i Doktora Bécu, niezależnie od tego, kim obaj lekarze byli w rzeczywistości.

Rymkiewicza jednak mniej interesuje to, że Mickiewicz był niesprawiedliwy

ciąg dalszy na s. 19

O RYMKIEWICZA

Pisarstwo Jarosława Marka Rymkiewicza wyróżnia się zapoznaną zalecą, jaką jest wdzięk, po łacinie *gratia*. Słowo to może również oznaczać *laskę*. Zresztą także w polszczyźnie wdzięk i laska w parze idą: czyż posiadanie wdzięku nie jest laską? Wdzięk przesądza w znacznym stopniu o kulturze danej osoby, obojętnie czy odnosi się do sposobu bycia kobiety, czy walorów pisarskiego pióra. Posiada uwodzieńską siłę, z czego doskonale zdaje sobie sprawę Rymkiewicz. Zakłada on, że wszystko jest zabawą, a już najbardziej kultura; w zabawie zaś ważna jest gra, a gra polega na tym, że ktoś wygrywa, przeto trzeba wykorzystać maksymalnie swoje atuty. Rymkiewicz gra z czytelnikiem i zarazem z samym sobą, uwodzi, bawi się własną hermeneutyką, acz nie czyni tego w natrętny, egotyczny sposób; nieustannie wyprowadza tezy, by zarazem potem je zbijać, podszywać wątpliwościami. Przypomina poniekąd mieszkańców Efezu ze szkoły Heraklita – o czym wspomina Platon – którzy chodzili podrażnieni, jakby użądliły ich osy, tymczasem trawił ich ogień dialektyki, wieczny niepokój, bowiem w każdej rzeczy odkrywali drugie dno. Rymkiewicz odslania nieprzebrane bogactwo swojego umysłu, co chwila ujawniając jego atrakcyjną stronę, podobnie jak to czyni mądra kobieta ze swoją urodą. Należy jednak mieć się na baczności, gdyż piękno to niesie ze sobą pewne niebezpieczeństwa.

Przyjęcie konwencji zabawowej wynika z przekonania, że żyjemy w świecie mitów, archetypów i symboli, jedności czasu, że mieszkamy wszyscy – żywi i umarli – w domu o kształcie kulistym, poza którego

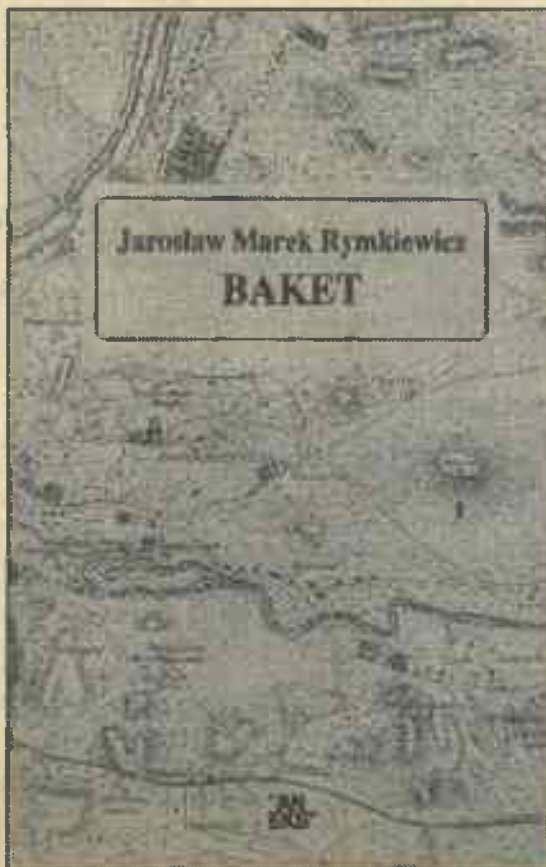
zalet umysłu Puttkamerowej, sięgnęło wyżej podwiązek, zaś efektem było poczęcie dziecka. A to już obyczajowy skandal. Wiadomość o tym, iż stał się sprawcą poczętego życia, wywołała w Mickiewiczu reakcję, która zmieniła jego stosunek do Maryli. Prawdopodobnie zachował się dość niezręcznie, o ile nie brutalnie, a to wystarczyło, żeby ukochana zażyła nadmierną dawkę laudanum. Ledwie ją odratowano. Dziecko przyszło na świat, rozwijało się jednak nienormalnie, jego istnienie tajono przed wszystkimi i ulokowano je w pensjonacie Deyblów (rodziców Ksawery) w Wilnie, gdzie bardzo wcześnie zakończyło żywot.

W zatajeniu afery pierwsze skrzypce grał Domeyko i Odyniec, oni to rozpowszechniali wieści o białym małżeństwie Puttkamerów, o wspaniałomyślnej postawie Wawrzyńca względem małżonki i rywała. I na tym moglibyśmy zakończyć streszczenie książki, streszczenie w stylu, jakim ongiś Ropelewski opowiedział *Balladę*. Można jeszcze wspomnieć, że sporo miejsca zajmuje wątek romansowy z kowieńską Wenerą, Karoliną Kowalską. Rymkiewicz dowodzi, iż nauczyciel prowadził podwójną grę, równocześnie romansując z doktorową i dziedziczką. Mickiewicz stchórzył, Maryla gotowa była wyjechać z nim do Drezna, ten skrewił, mimo iż ukocha-

Przeszedłem ludzkie ciała, jak przebiega
Promień przez wodę, ale nie przylega
Do żadnej kropli: wszystkie na wskroś
zmała,

I wiecznie czysty przybywa
i wraca (...).

Podmiot liryczny – a podmiot liryczny
tego wiersza nosi imię Adam Mickiewicz
– jest tym dziwnym słońcem, które promie-



działa eseistyczne tegoż autora. Rymkiewicz pisze o pisaniu tej książki, czytelnik zaś uczestniczy w jej powstawaniu. I pisze tak zajmująco, że widzimy jego fizyki na biurku, stare czasopisma, ilustracje, mapy, plany, razem z nim uczestniczymy w dociekaniu. Nie są to „wypociny na temat mąk twórczych”, a radość uczestniczenia w rozplątywaniu nici, włosów żmuta, mierzwy najprzeróżniejszych materii. Co więcej – badacz spełnia wszelkie walory naukowe, jest skrupulatny, zna źródła i opracowania, aczkolwiek nie zawsze bywa lojalny wobec poprzedników. Tezę, a właściwie hipotezę, że Mickiewicz zaczął romansować dopiero z Puttkamerową, wysunął już Kleiner. Odnoszę wrażenie, że Rymkiewicz nie chce znać, choć zna doskonale pewne relacje, które zachwiałyby misternie przezeń zbudowaną konstrukcją. Na przykład: w niedługim czasie po wspomnianej dawce laudanum Maryla zażywała przejażdżek konnych, zaś wedle Rymkiewicza winna być w tym czasie w zaawansowanej ciąży. O przejażdżkach wspomina Maryla w liście do Zana (*Korespondencja filomatów IV*, 332-333).

Badacz zapuszcza się w rejony tradycji nie zakazane przez historiografię, rejony wszelkich gdybań, daje upust poetyckiej wyobraźni, by zaraz wrócić do empirii. Innym razem kropnie sobie wierszyk, pozornie błahy, ale będzie to wiersz nie tylko o stronach rodzinnych Mickiewicza, lecz ponownie pewnego archetypu, przerzucenie mostu między przeszłością a teraźniejszością. Będzie dużo szczegółów o cierpieniach poety związanych z bólem zębów, będzie i powabna dziewczka ze ścierką, w izdebce nauczyciela kowieńskiego. Rymkiewicz dokonał – powiedzmy to nareszcie dobitnie – wyłomu w historiografii literatury polskiej. Rozprawę naukową, esej, poezję połączył w całość o narracyjnym ciągu, stworzył nowy gatunek literacki, który nie posiada jeszcze imienia. Z dociekania humanisty, przedstawianych na ogół w formie naukowych (sic!) wypracowań, uczynił rzecz atrakcyjną, którą się znakomicie i z przyjemnością czyta, bowiem poznajemy tajniki kuchni, a jednocześnie bywamy na salonach. Zasługi bezsporne.

Kiedy jednak odkłada się książkę po lekturze i gdy umysł pragnie wydobyć jej istotę, odnosi się wrażenie, że góra urodziła mysz. Tyle zabiegów, ekwilibristyki intelektualnej, retorycznych chwytów, nade wszystko zaś wytężonej pracy (w wydaniu Nowej z 1987 roku – trzysta dwadzieścia stron gęstego druku!) po to, by sięgnąć podwiązek Maryli i Karoliny. No, może upraszcam, bowiem wartość poznawcza *Żmuta* zasada się na tym, że Rymkiewicz wskazuje na rozbieżność między utrwalonym w umysłach kilku pokoleń stereotypem nieszczęśliwej miłości poety do dziedziczki (w czym walny udział miały *Dziady*), a faktycznym stanem rzeczy: odrąconej miłości egzaltowanej Puttkamerowej.

Nasuwać mi się wątpliwości dwójki natury. Po pierwsze, badania tego rodzaju idą wbrew woli Mickiewicza, który z latami, z osiągnięciem dojrzałości duchowej, minimalizował epizody biograficzne ze sfery Erosa. Poeta powinien więc zrozumieć poetę i uszanować jego wolę. Po drugie, sądzę, iż pożyteczniejszym zajęciem dla tak znakomitego pióra winna być sama poezja Mickiewicza, zwłaszcza ta z lat trzydziestych, która dotychczas nie doczekała się solidnego studium. A najwnikliwsze – moim zdaniem – uwagi o poezji wieszczą poczynili właśnie poeci, Przyboś i Miłosz. JMR stać jak najbardziej na rzetelną i interesującą, piękną, żywą polszczyznę napisaną rozprawą o tej trudnej poezji.

Rymkiewicz z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dał się poznać stosunkowo wąskiemu kręgowi odbiorców jako świetne pióro i wytrawny intelekt. W ostatnim dziesięcioleciu zrobił ukłon w stronę szerszej publiczności. Styl zachował, stracił charakter.

Ziemowit Skibiński

Mickiewicz-Rymkiewicz a sprawa podwiązek

obręb wyjść nie sposób, więc – żeby się nie nudzić – trzeba po prostu znaleźć sobie zabawę. Założenie w istocie dekadentkie. Tyle tylko, że zabawa ta ma niewiele wspólnego z igrzyskami dziecięcymi, przyswieca jej bowiem określony cel – jak w oświeceniu ma być przyjemna i pożyteczna. W książce *Żmuta* postanowił Rymkiewicz rozwikłać sprawę stosunku Mickiewicza do Maryli, zrewidować dotychczasowe mniemanie o niewinnym związku młodego poety z Wereszczakówną i dojść do konkluzji, iż był to romans z Puttkamerową. Przy okazji zadał sobie trud tropienia innych miłostek Mickiewicza, o których napomyka bądź sam poeta, bądź też jego przyjaciele. Ale w tej materii, na podstawie bardzo skąpych przekazów, niewiele da się powiedzieć pewnego, a sfera przypuszczeń – wiadomo – bywa bardzo bogata, gdy dotyczy amoroowego rzemiosła.

Rymkiewicz dysponuje wyłącznie źródłami opublikowanymi i dobrze znanymi badaczom; zestawia różne relacje, porządkuje je w określony ciąg następstw, wypełnia luki w chronologii i dochodzi do wniosku – nie bezpodstawnego – że Mickiewicz zaczął się interesować „na poważnie” Marylą po jej ślubie z Puttkamerem. Zainteresowanie to nie ograniczyło się do

na zapewniała byt materialny. W owych latach wileńsko-kowieńskich wolał romansować z męzatkami niż głębiej angażować się uczuciowo w związki z kobietami wolnymi. I tak w zasadzie było przez całe życie. Niedojrzałość emocjonalną poety analizuje Gille-Maisani w książce *Adam Mickiewicz – człowiek (Studium psychologiczne)* – mocno i bezsensownie okrojonej przez polskiego wydawcę – tym tłumacząc ją między innymi, iż poeta wyżej cenił sobie męskie przyjaźnie (oczywiście podtekst erotyczny jest wykluczony) niż układy damsko-męskie, które przysparzały więcej kłopotów niż przyjemności.

Rymkiewicz pisze, że wszystko, co dotyczy Mickiewicza, jest ważne. Dopowiedzmy – ale nie wszystko jednakowo ważne. Wiersze późniejsze zdają się poświadczać, że naprawdę nieistotne było, czy miał przygody alkowiane z Józefą, Johasią, Karoliną (Kowalską, Sobańską, Jaenich), Marylą, Joanną, Konstancją, Ksawerą... Był samotny, również w małżeństwie, tyle, że tę samotność zdobył, wypracował, był do niej predestynowany. Tego typu samotność jest darem, laską, dobrodziejstwem i jednocześnie okaleczeniem. Zwróćmy baczniejszą uwagę na ten oto fragment *Widzenia*:

niami swoimi przenika wszelkie stworzenie, w tym ludzkie, nie tracąc ani zyskując energii. Kim jest? Bogiem?

Miłość w *Dziadach* wileńsko-kowieńskich, pogłos romansu z Puttkamerową, jest – jak wykazała Marta Zielińska – miłością teatralną. Zresztą w zachowaniu Maryli, wedle teje autorki, trudno oddzielić literaturę od życia. Truła się nie dlatego, że jakoby miała być w ciąży, ale żeby udowodnić swoją miłość kochankowi, w chwili gdy zniknęła z jego horyzontu uczuciowego. Niestety miłość u Mickiewicza nie zyskała tak wysokiego stopnia sublimacji, jak na przykład u Goethego, który odczuwał potrzebę nieustannego dopełnienia i dźwigania wzwyż, spełniając tym samym Jungowski model hermafrodytyzmu jako doskonałej pełni. Do czego prowadzi Proteuszowa przemienność bohatera Mickiewiczowskiego? Do „ziarna duszy”, do tego, że czuje się „światłem i żrenicą zarazem”, do wielkiej samotności w kosmosie. Omawiania przemian rzeczono bohatera nie można kończyć na Jacku Soplicy. Tych problemów nie tyka Rymkiewicz, lata młodzieńcze wyprapowuje z całej tkanki życia.

Żmuta w znacznym stopniu jest książką autotematyczną, podobnie jak poprzednie

dokończenie ze s. 3

czy na miarę, i jak się nazywał szewc, który je robił, i jak wyglądał warsztat tego szewca, i czy ten szewc miał dzieci? Na to pytanie też bym chciał znać odpowiedź.

Wytumaczcie mojej manii, czy mojego szaleństwa, bo jest to niewątpliwie rodzaj szaleństwa, jest takie: zostaje po nas, kiedy odchodzimy, porzucamy to istnienie, tylko wspomnienie w duszach naszych bliskich, które także bardzo szybko umiera. Jedyną rzeczą, która naprawdę zostaje, są przedmioty, są rzeczy. Te rzeczy, jeśli do nas należały, w jakiś sposób nas konstytuowały, tworzyły naszą psychikę, tworzyły nasze istnienie, były trwałą – trochę trwalszą strefą naszego istnienia, ponieważ wszystko inne ginie, cała psychiczna strefa istnienia ginie bardzo szybko, jest w gruncie rzeczy nie do odtworzenia, nie do opisanie. Odtworzyć istnienie, sądzić, można tylko poprzez przedmioty, poprzez dotarcie do rzeczy, poprzez zapytanie sukien, pierścionków, pantofli, pończoch, okien, łóżek, domów, bruku ulicznego, karet, samochodów: kim był ten, który was używał? To jest mój sposób – zresztą nie tylko mój – na dotarcie do sensu naszego ziemskiego istnienia, a przynajmniej – jeśli nie na dotarcie do sensu, bo może tego sensu nie ma, albo może do tego sensu nie da się nigdy dotrzeć, nawet jeśli on jest – to jest mój sposób na zatrzymanie istnienia po to, żeby ono na chwilę z nami zostało, żebyśmy zdążyli zapytać o jego sens.

Myślę, że nie można, nie da się stawić sensownie pytań czemuś, co nazywamy czystą psychiką, ponieważ wdzieramy się wtedy w taką magię, której nie jesteśmy w stanie opanować.

– *Właśnie nie wiemy jaka była Maryla, prawda? Nawet z pana książek?*

– Nie wiemy. Natomiast możemy odpowiedzieć na pytanie, kim ona była, pytając o jej suknie. Wtedy dotykamy czegoś konkretnego. Tutaj wchodzimy na takie terytorium, które dla mnie było najistotniejsze przy pisaniu tych książek: w jakiej sferze się porusza? Jak wiadomo pisano książki o Mickiewiczu, które

– Co więcej, Mickiewiczowi wydarzyło się coś takiego, co nie wydarzyło się prawdopodobnie żadnemu pisarzowi polskiemu ani wcześniej, ani potem. Może coś trochę podobnego spotyka teraz Czesława Miłosza.

– *Też Litwin...*

– Tak. Mickiewicza zaczęto kształtować już za jego życia, i już po napisaniu *Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa* zaczął się on stawać dla Polaków postacią mityczną. Już koło czterdziestki stał się kimś tak ważnym i potężnym, że zaczęto kształtować wizerunek, który z pra-

Żółte spodnie strzecha i kod genetyczny...

wdziwym Mickiewiczem, z żyjącym wtedy Mickiewiczem zapewne niewiele miał wspólnego, ale który przecież na niego też musiał niesłychanie silnie oddziaływać. I on z tego wizerunku, który wytworzano w Paryżu, prawdopodobnie pewne elementy przyjmował dla siebie i kształtował sam siebie zgodnie z tym, jak go chciano widzieć. Buntował się też, to wiadomo, przeciwko temu, że tak, a nie inaczej chcą go odczytywać: jego działania, jego pisanie, jego całe człowieczeństwo, ale w gruncie rzeczy adaptował z tej maski czy z tego mitycznego stroju pewne elementy do obrazu, który sam stwarzał. Ale trzeba tu powiedzieć, że

ny, czy zniewolony niebywałą umiejętnością dokładania słów do siebie. Nikt tego nie potrafił, a on potrafił. I wie, że to potrafił, że jest rodzajem czarnoksiężnika, że słowa go słuchają, że słowa w jego wierszach przylegają do siebie jak dwa kamienie najbardziej precyzyjnej budowli. On to wie, że ta umiejętność, ten dar, który skądś otrzymał, jest czymś niebywałym, że jest ważniejszy, niż wszystko inne, i że on musi z tego daru skorzystać. To znaczy, Mickiewicz w 22 czy w 23 roku życia wie, że znacznie ważniejszą sprawą jest to, że on ma napisać *Pana Tadeusza*, o którym oczywiście nic nie wie, niż to, że ma zrobić pięcioro dzieci Maryli i zamieszkać z nią w Płuzynach, że te Płuzyny, Maryla, pięcioro dzieci, to jest w ogóle nieważne wobec tej cudownej perspektywy napisania *Pana Tadeusza*. On już wie, nie wiedząc, wie, że napisze *Pana Tadeusza*.

– *Czy możemy wrócić do 1822, bądź 1823 roku, kiedy to Maryla napisała list, nie pamiętam do kogo, do Czczota...*

– Tak, tak, do Czczota.

– *...gdzie było zdanie: „Imaginuj, wałpan, laudanum, 150 gram!” i Pan tłumaczy, czym były owe „gramy”, i co to było laudanum i dlaczego można mówić, że Maryla popełniła samobójstwo.*

– Maryla – wynika to zupełnie jasno z dokumentów, z ówczesnej korespondencji – próbowała popełnić samobójstwo. Dla mnie ciągle jest rzeczą niezrozumiałą, dlaczego przez lata tego nie zauważono. Ta korespondencja, z której to wynika bardzo wyraźnie, została opublikowana, już nie pamiętam, bodajże w 1911 roku, ale w każdym razie tuż przed pierwszą wojną światową. Po czym nikt z historyków literatury nigdy tego w żaden sposób nie skomentował.

– *Dlaczego?*

– Nie wiem. Trudno uwierzyć, żeby nie dostrzegli czegoś, co jest wyraźnie napisane. Wszystkie dokumenty związane z Mickiewiczem, nawet najdrobniejsze i najmniej znaczące, były wielokrotnie przepatrywane, penetrowane, komentowane. Myślę, że w stwierdzeniu tego faktu było coś niewygodnego dla historyków literatury, którzy nie chcieli ruszać tej sprawy, ponieważ była ona jakoś kłopotliwa, to znaczy, stawała w podejrzanym świetle Mickiewicza, jako człowieka, którego zachowanie było przyczyną tej samobójczej próby Maryli Wereszczakówny. Mickiewiczowi to, wreszcie, nic moim zdaniem nie ujmuje, przeciwnie, wydaje się, że to, że jakaś dama z jego powodu próbowała popełnić samobójstwo, nawet może coś mu dodaje. Podstawowa monografia Mickiewiczowska, którą dysponujemy, monografia Kleinera, została napisana przez człowieka, który te wszystkie fakty na pewno świetnie znał. On interesował się przede wszystkim dziełem, a nie człowiekiem, ale jednak o życiu Mickiewicza tak bardzo dużo

wiedział i pisał. Nie wiem, dlaczego nie chciano tego zauważyć. Bardzo trudno to wyjaśnić. To jest w każdym razie fakt bezsporny, jawny z korespondencji wynikający: Maryla próbowała popełnić samobójstwo. Natomiast w *Żmucie* i także w *Bakecie* jest wiele takich faktów, do których, grzebiąc się w dokumentach, doszedłem, ale które mogą zostać zakwestionowane. Tak jest z dzieckiem Mickiewicza i Maryli. Można przyjąć, że Mickiewicz miał dziecko z panią Puttkamerową. Można też uważać, że go nie miał. Myślę, że należy tę sprawę właśnie tak zostawić. W historii jest mnóstwo takich faktów, co do których nie mamy i nie będziemy mieć pewności: zdarzyły się, czy się nie zdarzyły. Muszę powiedzieć, że ja lubię takie sytuacje w historii i z przyjemnością je wynajduję. Są to takie sytuacje, takie miejsca, w których los ludzki wydaje się rozgałęziać. Mogło być tak – i to jest jedna gałąź, jedna droga – mogło być inaczej, a być może było jeszcze jakoś inaczej. Te fakty wątpliwe, możliwości, czy szanse losu kiedy zostaną opisane, wzbogacają istnienie tamtych ludzi, z którymi obcuje myśląc o historii, a tym samym wzbogacają nasze istnienie. Myślę, że sens historii polega dla nas na tym, że ona istnieje w swoich wielu możliwościach, że nigdy nie jest skończona, nigdy nie jest zamknięta, zapięta na wszystkie guziki, nigdy nie jest skamieniałą całością. Gdyby historia była czymś, co dałoby się raz na zawsze prawdziwie opisać, prawdopodobnie przestałaby nas ciekawić. Nie mielibyśmy tam w przeszłości nic do roboty. Tymczasem piękno historii i jej najgłębszy sens dla nas polega chyba na tym, że ona ciągle się zmienia, że ciągle dotykając jej – dotykamy czegoś, co może było, ale może nie było, czegoś, co mogło się zdarzyć tak, albo mogło się też zdarzyć inaczej.

Dlaczego to jest dla nas kuszące? Dlatego, że stwarza analogie do naszego losu, do naszego istnienia. Nasz los przecież jest taki: może się coś zdarzyć, może się nie zdarzyć. Może trzeba było tak postępować, może trzeba było postępować inaczej. W naszym istnieniu tutaj-teraz, jest mnóstwo różnych możliwości. Życie stawia nas wciąż przed nowymi wyborami. Otóż historia jest ciekawa przez to, że jest analogiczna do tak pojmowanego naszego losu. Gdyby była zamknięta i skończona, nie by nam nie miała do powiedzenia o nas samych.

– *Pan chce odnaleźć nie tylko ludzki los, ale także atmosferę danego miejsca, domu, salonu. Pan chce usłyszeć, co na przykład gra Maryla przy klawiaturze, albo jaki utwór mogła grać pani Salomea, prawda? Pan chce wiedzieć dokładnie, chce Pan wiedzieć naprawdę, co się wtedy wydarzyło.*

– Tak, ja chcę wiedzieć, i nawet kiedy się tylko domyślam, nigdy na podstawie tych domysłów nie ośmieliłbym się czegoś imaginować czy fantazjować. W gruncie rzeczy uważam siebie za człowieka parającego się nauką. Uważam, że jestem przede wszystkim historykiem literatury.

– *A nie pisarzem, poetą?*

– Kiedy muszę podać swój zawód, mówię chętniej: historyk literatury. Uważam zresztą, że opanowałem ten zawód i że wykonuję go fachowo. Myślę, że są historycy literatury, którzy uważają, że to co ja piszę i to co robię w historii literatury jest niedopuszczalne, ponieważ historia literatury trudni się dochodzeniem do prawdy obiektywnej. Otóż ja nie trudnię się dochodzeniem do prawdy obiektywnej w historii, ponieważ uważam, że ta prawda jest w nas i tylko w nas, i że ona nigdy nie może być obiektywna. Jednym słowem, że nauki humanistyczne nie zmiernają do prawdy empirycznej, zmiernają natomiast do czegoś, co można by nazwać prawdą istnienia tych, którzy te nauki uprawiają.

Jan Kott recenzując *Zmut*, chyba w „Zeszytach Literackich”, napisał, co mnie bardzo poruszyło, a co także, nie ukrywam, uznałem za bardzo dla siebie pochlebne, że jest to książka z ducha Proustowskiego, z ducha wielkiego dzieła Marcela Prousta. Byłem bardzo wdzięczny Jankowi Kottowi za tę intuicję, bo ja te moje książki rzeczywiście tak pomyślałem. Krótko mówiąc: ja się uważam za ucznia Prousta. Uważam, że gdyby nie Proust, gdyby nie te lekcje, które u niego brałem, ja bym tych książek nie był w stanie napisać. One



zwracały się do jego psychiki, które miały za zadanie odpowiedzieć na pytania dotyczące jego losu, posługując się domysłami ze sfery psychicznej. Myślę, że próbując dochodzić w ten sposób do Mickiewicza, nie napisano nic ważnego, nie ciekawego. Ten rodzaj pisania bardzo szybko umiera.

– *Z Pana książek wynika, że wizerunek Mickiewicza był robiony od początku, to znaczy, jego obraz psychiczny, jego nastawienie do życia, do polityki, był już w XIX wieku gotowy. Po prostu Polska chciała mieć takiego, a nie innego poeę.*

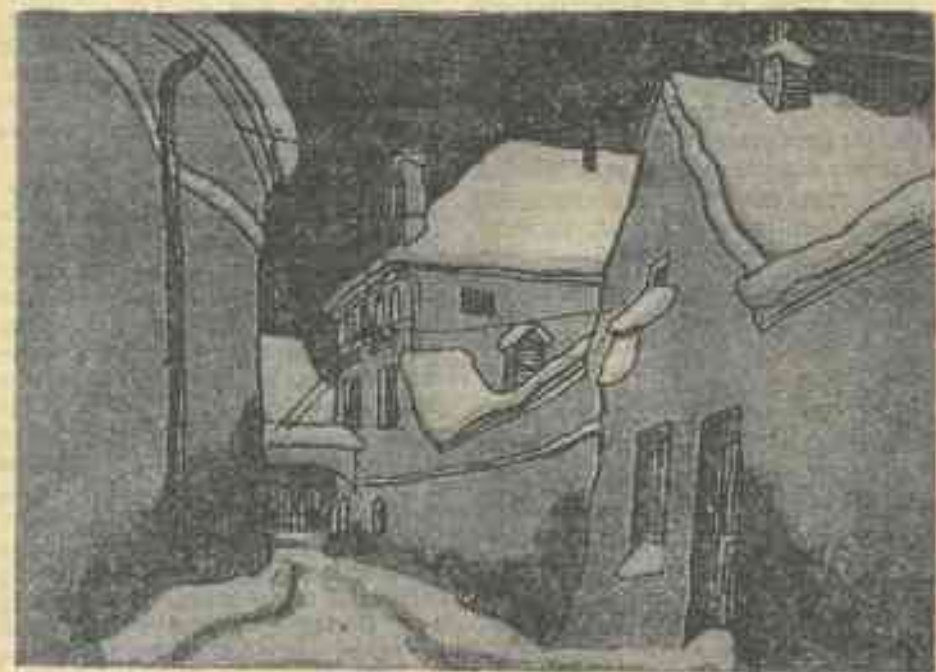
Mickiewicz od bardzo wczesnej młodości, to znaczy wtedy, kiedy nikt poza najbliższymi przyjaciółmi, nie wiedział, że jest poetą, kiedy dopiero zaczynał pisać ballady, był człowiekiem prawdopodobnie z bardzo silnym poczuciem, czy może lepiej byłoby tutaj powiedzieć: poczuciem swojego własnego losu, i bardzo umiejętnie kształtującym swój własny los. To znaczy człowiekiem, który wiedział, że jest przeznaczony.

– *Z czego Pan to wnosi?*

– Z jego bardzo starannie obmyślanej strategii pisarskiej, z jego posunięć, które miały go doprowadzić tam, a nie gdzie indziej. Wszyst-

są wywiedzione z doświadczenia Proustowskiego. Jest jednak zasadnicza różnica: toutes proportions gardees, przecież wiem, o kim mówię, o jakiej miary pisarzu mówię, ale uważam, że Proust przy całej wielkości jego zamysłu, poniósł totalną klęskę. Jest, krótko mówiąc, pisarzem dziś niemal nieczytelnym, nie do czytania dlatego, że chcąc zrekon-

struować przeszłość, próbował ją zrekonstruować przez psychikę ludzką. Próbował odczytać, jak to kiedyś nazywano, najłżejsze drgienia duszy ludzkiej. Niech pani zauważy, pani Iwono, jak mało dowiadujemy się od Prousta o wyglądzie ówczesnych rzeczy, jak lekceważąco wręcz opisane są salony, jak mało dowiadujemy się o tym, jak wyglądały ulice paryskie ówczesne, jak mało, w gruncie rzeczy, wiemy o Balbec. Uwaga Prousta jest zwrócona niemal wyłącznie na te czyste duchy, które poruszają się w salonach, między krzesłami, między fotelami, między szafami, które to fotele, szafy Prousta jakby w ogóle nie interesowały. Otóż mój pomysł był taki: podjąć wysiłek Proustowski, spróbować odbudować przeszłość, ale wyciągając wnioski z tego, co nazywam klęską Prousta. Odwrócić się od tych czystych psychik i zobaczyć, w czym one się konkretyzowały, jak się konkretyzowały poprzez rzeczy, bo, być może – być może! – poprzez rzeczy da się do nich dotrzeć. Poprzez tę strefę, którą w ciągu swego życia ci ludzie zabudowywali. Poprzez przedmioty. Stąd właśnie mój wysiłek skierowany nie na odtworzenie najłżejszych drgnień duszy Mickiewicza i Maryli rozmawiających między jedenastoma lub dziewięcioma lipami, ale na te lipy, które tam stały, które były świadkami tych drgnień duszy.



Ciekawe, że to właśnie teraz, po tylu latach, pojawili się nagle uczniowie Prousta, którzy, odrzuciwszy Proustowski zamysł analizy psychologicznej, zwrócili się – ale jednak jakby za namową Prousta, naśladowując metodę Prousta – ku przedmiotowej sferze istnienia: ku strojom, mieszkaniom, drzewom i ulicom. Zielony kiosk przy Le Rond-Point des Champs Elysees. Ten kiosk to dla mnie coś w rodzaju duchowego drogowskazu. Przeczytałem niedawno książkę Henri Raczymowa *Le Cygne de Proust*. Ten *Labędź Prousta* to jest wspaniały żmut: splecione dzieje Charlesa Haasa, który był pierwowzorem Swanna. Czytając, miałem wrażenie, że czytam coś, co sam napisałem. Tak jakbym miał sobowtóra, który pisze po francusku, w Paryżu, gdzieś przy rue Taylor. Tyle że Henri – mówię o nim po imieniu, bo to mój przyjaciel – ma bródkę, trochę demoniczną, a ja nie. Prawdziwą – choć ukrytą – heroiną *Labędzia* nie jest jednak, moim zdaniem ani Odetta, ani Gilberta, ani żadna z licznych kochanek Haasa, lecz Matylda, kilkuletnia córka Raczymowa. Mała Mathilde, czyli wieczna terażniejszość, wieczne dzieciństwo naszego tutaj istnienia.

Interesuje mnie dlaczego, jeżeli Pan siebie uważa przede wszystkim za historyka literatury, choć ja myślę że jest Pan, przede wszystkim, pisarzem i poetą, dlaczego Pan nie wglębia się w słowa. Wypowiedziane słowa przez Mickiewi-

uka, przez Zana, przez Czeczota, co one naprawdę znaczą, dlaczego tak, a nie inny obraz został przywołany.

Nie interesuje Pana sam wiersz, sam utwór Mickiewicza, czy to, co pisali w tym czasie Filomaci.

Jak pani wie, działalność historyczno-literacką – do której przyszedłem zresztą już jako



wiąże się to też z upływem lat, czyli po prostu z procesem dojrzewania, a potem – cóż tu ukrywać – starzenia się. Z latami coraz bardziej zaczyna nas chyba – tak sędzę po sobie, ale nie tylko po sobie – coraz bardziej zaczyna nas interesować życie samo, a troszkę mniej literatura. A literatura o tyle, o ile jest ona w stanie powiedzieć coś o życiu, czyli na tyle, na ile jest dokumentem życia, dokumentem istnienia. Tak przynajmniej zdarzyło się ze mną i czuję, że dzieło, które istnieje samo dla siebie i samo przez siebie, jako pomnik samego siebie, cokolwiek mnie nudzi.

A ja mam wrażenie – wie Pan, przepraszam bardzo, nie powinnam w ogóle negować tego, co Pan mówi – że nie tyle Pana jednak interesuje życie, co niebył.

No tak. Oczywiście. To znaczy życie istnieje – jest takie, jakie jest – ponieważ prowadzi do tego, czego nie ma, czy też jest stroną tego, czego nie ma, ale...

Pan chce przecież zapamiętać to, czego nie ma.

Co więcej, chcę odtworzyć to, co wydaje się zniknięcie, żeby było trochę mniej tego, czego nie ma, żeby było trochę więcej tego, co jest. I tu, oczywiście, literatura jako świadectwo istnienia wydaje się w ogóle jednym sposobem na – chciałem powiedzieć: na odsuwanie, ale to nie chodzi o odsuwanie, bo tego nie da się odsunąć – na zapewnienie nicości, tego, co nazywamy nicością, czy niebytem. Literatura wydaje się jedynym sposobem na nieśmiertelnienie istnienia. Mogę powiedzieć, że ja rekonstruję te istnienia, czyli ja piszę, nie dlatego, że ja chcę, tylko dlatego, że oni chcą, że oni chcą dalej istnieć, że oni... ich chęć istnienia, ich wręcz schopenhaueryczna wola istnienia jest tak potężna, że oni mnie zmuszają do tego, żebym ja myślał o ich surdutach, pantoflach, pończochach, piastonach i cylindrach.

Ale także o promionkach zanowskich!

Tak, bo...

To jest jednak o duszy, o promiowaniu duszy, o natężeniu uczuć!

Te promionki są tutaj dobrą metaforą tego, o co nam chodzi w tej rozmowie, bo przecież one się wzięły z dziewiętnastowiecznych koncepcji niematerialnej, czy nie całkiem materialnej materii, prawda? Promionki to było coś, co ma konsystencję duchową, ale także coś, co ma pewną konsystencję materialną, coś w rodzaju eteru, który jest ni to

duchem, ni to płynem. I którzy krąży wokół naszej planety. Zan wziął to od Jędrzeja Śniadeckiego, Śniadecki od jakichś niemieckich filozofów, ale te promionki – warto tutaj przypomnieć – wówczas nie tylko o nich mówiono, nie tylko odczuwano ich istnienie, ale te promionki wówczas widziano. Kiedy Zan mówił, kiedy zapalał się i mówił w natchnieniu, to – jak poświadczają ówczesne zapisy pamiętnikarskie, czy zapisy w korespondencji – z jego oczu, czy też w ogóle z całej jego cielesności tryskały strumienie światła, właśnie strumienie promionków, które były jakimś wylewem duchowym jego duszy, ale były też po prostu pewną materią, którą on wydzielal. Zauważmy, jak ludzkość trudno się rozstaje z koncepcjami takiej niematerialnej materii, jak chętnie do tego wraca. Cały magnetyzm, wszystkie koncepcje magnetyzmu i magnetyzerzy zostali w drugiej połowie dziewiętnastego wieku ośmieszni i ludzkość jakby w ogóle przestała się zajmować tym problemem. I oto wraz z Harrisem i Kaspirowskim wróciło to wszystko za naszych czasów i znów mamy magnetyzerów, którzy promieniują, czy też wydzielają z siebie jakąś duchową ciecz czy duchowe płyny, mające na nas jakoś oddziaływać. Jest to zresztą równie podejrzane jak wówczas i zapewne przez ludzi rozsądnych – fizyków na przykład – traktowane równie podejrzliwie, jak wtedy promionki Zana były podejrzliwie traktowane.

Ale nie wtedy, kiedy się mieszka w mitycznej krainie! Wtedy te promionki są prawdziwe!

Tak, my także mieszkamy w krainie, która stanie się wkrótce mityczna i wszystkie nasze koncepcje istnienia i nieistnienia okażą się z czasem konceptami pochodzącymi z mitycznej krainy. Może dlatego, że zajmuję się właśnie historią, wiem, jak silnie oddziałują na przyszłość takie mityczne terytoria i jak łatwo tworzą się legendarne całości historyczne. I mam świadomość, że terażniejszość, która mnie otacza, już jest mitem i w każdej chwili zamienia się w mit. To znaczy, mam takie poczucie, że kiedy wychodzę na Marszałkowską, czy idę podziemnym przejściem między Alejami a Marszałkowską, znajduję się w mitycznej krainie, która właśnie jako mityczna będzie potem przez następne pokolenia opisywana: mityczne miasto lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku.

Jak u Konwickiego w Malej Apokalipsie?

Myślę, że cała literatura współczesna ma bardzo mocne poczucie mityczności tych czasów, w których żyjemy. Może dzięki natężeniu niebywałych wydarzeń historycznych, z jakimi przyszło nam obcować i jednocześnie dzięki tej świadomości, która wciąż nam towarzyszy: świadomości że te wydarzenia będą w przyszłości interpretowane na bardzo różne sposoby. Ale i wtedy, w XIX wieku, Wilno było terytorium niezwykle wydarzeń historycznych. Przede wszystkim tego niebywałego wydarzenia, jakim były narodziny niezwykle Polaka, który stał się bardzo szybko, jeszcze za swojego życia, pierwszym Polakiem i największym Polakiem, i który do dziś, co jest fenomenem jedynym w swoim rodzaju, pozostał, także dla nas, największym Polakiem, wzorem polskości i wiecznym źródłem wszystkich polskich myśli. W gruncie rzeczy każda nasza koncepcja, każdy nasz pomysł na historię, czy też każdy nasz pomysł na naszą współczesność jest zakorzeniony w myśli Mickiewiczowskiej, ma swoje tam swoje odniesienia. Wiedząc o tym, czy nie wiedząc, kiedy myślimy o naszym położeniu, o naszych dylematach, zakorzenia się w myśli Mickiewicza. To jest zupełnie niebywałe. Teraz, kiedy czytam gazety, rozważające naszą obecną sytuację, problem naszego powrotu do Europy: mamy tam wracać, czy nie mamy wracać, to dobrze dla nas, że wrócimy do Europy, czy to źle dla nas, że wrócimy do Europy, jak szybko powinniśmy tam wrócić, co powinniśmy zachować, jeśli chcemy tam wrócić, na ile powinniśmy tam wrócić? Więc teraz, kiedy to czytam, widzę, że ludzie, którzy rozważają ten problem, jakby nie mają świadomości, że rozważają problem z *Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa*, problem który ożywał i ożywia do dziś Pana Tadeusza: na ile Polacy powinni być prowincjonalni, a na ile powinni być europejscy, co powinni z Europy zaczerpnąć, a co powinni Europie przyciągnąć. **ciąg dalszy na s. 8**

Żółte spodnie, strzecha i kod genetyczny...

dokończenie ze s. 7

nieść. To jest rzeczywiście coś niebywałego, bo żaden naród na świecie nie ma takiego pisarza, który byłby bez wątpienia największym pisarzem narodu, który by określił los tego narodu, który by zdeterminował w tym stopniu los tego narodu. Żaden naród nie jest też w takiej sytuacji jak Polacy, żeby mógł powiedzieć to, co powiedziano o Mickiewiczu: „My wszyscy z niego”. Wiktor Hugo jest wielkim pisarzem Francuzów, ale przecież nie jest tak, żeby Francuzi uważali, że potem nie pojawili się więksi pisarze. To samo dotyczy Stendhala, Balzaka, Rimbauda i Mallarmé'ego. Natomiast dla nas jest zupełnie oczywiste, że nigdy już większy pisarz w dziejach Polaków nie pojawi się.

– Przecież to straszne!

– Tak, to straszne, ale to jest fenomen siły tego pisarstwa. Polakom zdarzyło się coś zupełnie niebywałego. Pojawił się w ich dziejach ktoś, kto zawiądnął nimi na wieki. Kto na wieki ich zaczarował.

– Zajmuję się teraz młodzieńskim Mickiewiczem, to znaczy Mickiewiczem – dzieckiem. Myślę o napisaniu książki, która może będzie się nazywać *Mały Mickiewicz*. To znaczy Mickiewicz chodzący do szkoły w Nowogródku, Mickiewicz biegający po Górze Zamkowej w Nowogródku, Mickiewicz biegający po drodze w Zaosiu. To, co go otaczało, język, jakim mówił, ludzie, z którymi się spotykał. To wszystko jest lichy, niestety, udokumentowane. Tylko pewne sfery z jego dzieciństwa ciekawiły badaczy i interesowały jego współczesnych. I tylko pewne sfery zostały jako tako opisane. Natomiast Litwa przełomu XVIII i XIX wieku i samego początku XIX wieku, do roku 1812, to znaczy do przejścia wielkiej armii Napoleona, jest opisana dość marnie. Niestety.

Ale tam jest wiele fascynujących problemów, a wśród nich taki, którym już badacze gdzieś na początku naszego wieku się zajmowali, a mianowicie: język. Ten język w jakim wychował się i jakim mówił Mickiewicz. Nawiązując do tego, o czym już mówiliśmy, to znaczy właśnie do jego siły, z którą on nam się narzucił. Mickiewicz mówił niesłychanie na ówczesne czasy prowincjonalną polszczyzną, szczególną polszczyzną, o bardzo szczególnym słownictwie, nie znanym w centralnej Polsce, o bardzo szczególnej składni i bardzo szczególnej fonetyce. To był język prowincjonalny, którym na tamtych ziemiach mówiono, niemal dialekt ówczesnej polszczyzny literackiej. On, oczywiście, ten dialekt zmieszał z językiem Trembeckiego, który był dla niego wielką lekcją literatury – myślę o Mickiewiczach w jego latach uniwersyteckich – ale pozostał jednak przy języku tego jednego powiatu, języka Nowogródzkiego.

Otóż: my teraz mówimy językiem ówczesnej Nowogródzkiej, ponieważ on ten język poprzez *Pana Tadeusza* i *Dziady* uczynił centrum polszczyzny, czego miał świadomość, bo użył tego sformułowania w *Panu Tadeuszu*: „Tam się człowiek nadyszy”. W Soplicowie było i jest centrum polszczyzny, tam się można nadyszeć prawdziwą polszczyzną. On to nam narzucił, my mówimy tym prowincjonalnym dialektem tamtego małego powiatu. Dzięki temu, że on napisał *Pana Tadeusza*. Jak dziś pani czyta *Pana Tadeusza*, to przecież ma pani świadomość obcowania z polską normą językową, prawda? Poza pewnymi wyrazami, które wypadły z użycia, poza pewnymi formami dość rzadkimi, ale odczucie jest takie, i to dzięki szkole, dzięki dziesięcio-

leciom lektur, że to jest norma. Inna norma nie została stworzona, chociaż były takie próby. Prus próbował stworzyć inną normę polszczyzny literackiej, która miałaby obowiązywać tutaj w centrum Polski, ale, oczywiście, to nie miało tej siły, *Lalka* nie ma tej siły, ani *Faraon* nie ma tej siły, którą ma *Pan Tadeusz*, czy którą mają *Dziady*. Kiedy myślę o małym Mickiewiczach, pojawia się



jeszcze taki problem: jego pochodzenie, jego dzieciństwo, jego kraj, podobnie jak historia jego romansów, o których już pisałem: z Marylą Puttkamerową i z Karoliną Kowalską, wszystko to też zostało przez historyków literatury zafalszowane. Przedstawiono to środowisko, w którym on wyrósł i wychował się, jako charakterystyczne dla ówczesnej drobnej szlachty, jako pewną dość typową sferę. Tymczasem to jest tak, że on wyrasta na głębokiej prowincji, rośnie i pobiera pierwsze nauki na bardzo głębokiej prowincji, w zaściankach całkowicie zabitych deskami, odgradzonych od świata. Jeśli przyjąć, że istniała wtedy jakaś średnia kulturowa, że tworzyło się już coś wśród szlachty – coś, co można by nazwać zaczą-

kami inteligencji polskiej – i że istniał jakiś średni poziom kulturalny, to środowisko Mickiewicza jest znacznie poniżej tego poziomu. Kiedy czyta się dokumenty z tamtego czasu, właśnie z przełomu XVIII i XIX wieku – są zapisy mówiące coś o języku, którym posługiwał się jego ojciec, Mikołaj Mickiewicz – to widać, że byli to ludzie bardzo prości. Ja już nie mówię o ich poziomie moralnym: zupełnie przerażający.

– Dlaczego?

– Zupełnie przerażający, i to już zostało zauważone w dwudziestolecu międzywojennym przez panią Marię Czapską. To, co Czapska napisała na temat pana Mikołaja Mickiewicza przyjęto raczej niechętnie, ale tam, w tym środowisku, działały rzeczy dosłownie okropne: to byli krętarze, rozbójnicy, ludzie zajmujący się podejrzanymi interesami. Mały Mickiewicz wyrasta w takim środowisku. To zostało potem przez

legendę upiększono. Myślmy, gdy wracamy pamięcią do dzieciństwa Mickiewicza: sielskie dzieciństwo, dworek w Nowogródku, szlachetny ojciec, który miał być podobno, co wiemy od Franciszka Mickiewicza, czyli brata Adama, rotmistrzem w czasie Insurekcji Kościuszkowskiej. Ale to wszystko nieprawda. Jak powiadam: to było znacznie poniżej tego poziomu kulturalnego, który tutaj w Warszawie, czy tam w Wilnie wytwarzała elita intelektualna. I nagle wyrasta stamtąd, na skutek jakiegoś niebywałego układu genetycznego, bo chyba tak to tylko można sobie wytłumaczyć, wyrasta ktoś taki.

– Nie miał szans właściwie na wielkość?

– Nie miał żadnej szansy. To jakiś cud

się zdarzył, że w tym biednym miasteczku, w tym błocie rynku nowogródzkiego, w tym wrzasku i zgiełku powiatowym, w brudzie tego targowiska, w tej martwocie duchowej (tam w ogóle niczego nie czytano przecież, bardzo marnie uczono), nagle rodzi się ktoś taki, kto potem staje się pierwszym Polakiem, ktoś, kto wyszedł spod chłopskiej, dosłownie, spod chłopskiej strzechy. Bo ten dworek był kryty strzechą. Myślmy o Mickiewiczach jako o szlachcie. To była rodzina szlachecka, o niezaprzeczanym szlacheństwie, ale trzeba pamiętać, że to była szlachta zagrodowa, czyli szlachta na jednej chałupie. Zaosie, gdzie się urodził, nazywano folwarkiem, ale nazywano je tak, żeby sobie dodać splendoru. To była okolica szlachecka, czyli po prostu wioska, gdzie były obejścia i jednym z takich obejść był ten folwark, czyli to była chałupa, stajnia lub stodoła, albo może stajnia razem ze stodołą, i tak zwany świronek, czyli składzik i ogródek jarzynny, jak tam wtedy mówiono. Wszystko to ogrodzone płotem. Czyli – wiejska zagroda. On z czegoś takiego wychodzi. Spod strzechy Zaosia, ze wsi szlacheckiej, ale jednak wsi. Ze środowiska biednego, które nie posiadało żadnego kapitału. Ale on – jeszcze jeden cud – bardzo gwałtownie awansuje i szybko utożsamia się – mimo że mamy prawdopodobnie ślady tych pierwszych przeżyć z dzieciństwa w opisie zaścianka w *Panu Tadeuszu* – i identyfikuje z tym środowiskiem, do którego wszedł, do którego zaczął należeć w latach swej młodości. To znaczy z ludźmi z dworów, z bogatą szlachtą z Tuhanowicz czy z Woronicy. Trzeba jednak pamiętać, że ta szlachta zagrodowa, to środowisko Mickiewiczów, choć bardzo już na początku XIX wieku zbiedniałe, miało silne poczucie swojej szlacheckości. Co więcej, ludzie bardzo bogaci ówczesnie, to znaczy ta najbogatsza szlachta miała też bardzo mocne poczucie równości, szlacheckości tej szlachty zagrodowej. Życie szlacheckie toczyło się tam jednak w myśl powiedzenia: „Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”. I jest, na przykład, dokument, z którego wynika, że któryś z Mickiewiczów, chyba Bazyl Mickiewicz, czyli dziadek stryjeczny Adama, pożycza pieniądze, zresztą jakąś niedużą sumę, wojewodzie nowogródzkiemu Niesiołowskiemu, potężnej postaci ówczesnej Nowogródzkiej. To były stosunki „za pan brat”, w tym ciągle jeszcze na tamtych ziemiach, mimo rosyjskiej okupacji, obowiązyującym systemie demokracji szlacheckiej. Oczywiście, to był system już bardzo nadwątlony i przejawiający się jeszcze chyba tylko w obyczajach, ale to dalej istniało.

– A jednak trudno sobie tak wyobrazić Mickiewicza, prawda? Bo on musiał wychodzić z tego swojego domu, z tej chałupy, jako taki surowy, nieociosany, nieucywilizowany naprawdę chłopak. To znaczy, według mnie, że nie mogło być tam mowy o cywilizacji.

– Bardzo był zdolny. Jest takie świadectwo, chyba Tomasza Zana, które mówi o tym, w jakim stroju Mickiewicz zdaje na Uniwersytecie Wileńskim egzamin do stanu kandydackiego. To był ważny egzamin, ponieważ zdanie go łączyło się z otrzymaniem czegoś, co byśmy nazwali dzisiaj stypendium. Trzeba więc było zdać taki egzamin, żeby studiując mieć studia opłacone przez uniwersytet. Mickiewicz stanął do tego egzaminu w żółtych spodniach i w zielonym fraczku. Musiał wyglądać dość okropnie, ale możemy podejrzewać, że te żółte spodnie to były jedyne spodnie, jakie on wtedy, przyjechawszy w roku 1815 do Wilna – posiadał.

– A nie sądzi Pan, że był ekstrawagancki po prostu? Że on tak chciał?

– Myślę, że nie było go stać na inny frak i na inne spodnie. W tej rodzinie była wielka bieda i były ciągle kłopoty ze spodniami i z surdutami. Po prostu nie było pieniędzy w rodzinie, żeby tych wszystkich młodych Mickiewiczów – czterech ich było – jakoś przyzwoicie ubrać. Więc bardzo możliwe, że te żółte spodnie to były jedyne spodnie, w których przyjechał do Wilna. Żółte spodnie, strzecha i kod genetyczny, który skazuje go na wielkość: to właśnie Mickiewicz.

rozmawiała Iwona Smolka
rysował Jerzy Flisak

Jarosław Marek Rymkiewicz

O mój Mozarcie

O mój Mozarcie o biedny głuptasie
I gdzie są teraz twoje piórka ptasie

Gdzie twoje fraczki twój paznokieć krzywy
Two kostki rzucił ktoś między pokrzywy

Esencja czysta jest – Mozarcie płochy –
I niepotrzebne jej twoje pończochy

Ah chi mi dice mai ale nie słucha
Esencja ta jest beznadziejnie głucha

I na nic twe podstępny tve sonaty
Albo ma w uszach kłębki brudnej waty

teatr

Hanna Baltyn

Zemsta Fredry jest jak solidny stylowy mebel. Jak szafa gdańska. Po otwarciu drzwiczek okazuje się, że w środku jest lustro.

Nigdy nie spodziewałabym się, że *Zemsta* może być idealnym wyborem repertuarowym na burzliwy czas przed- i powyborczych swarów i polemik. Wyborem bijącym na głowę Witkacego, którego *Jan Maciej Karol Wścieklica* przy Fredrze wydaje się do znudzenia przeźwyczo-nym teatrem łatwej aluzji. Jednocześnie *Zemsta* pozostaje – a to już zasługa reżyserów i aktorów – świetną inscenizacją klasycznego tekstu, wytrzymującą konkurencję z legendarnymi przedstawieniami Hübnera w Powszechnym i Holoubka w Dramatycznym.

Zbyt dawno widziałam pierwszą wersję inscenizacji Holoubka, by pamiętać i porównywać szczegóły. Pamiętam jedynie, że było bardzo szlachecko i kontuszowo, jubileuszowo i bogato. W Ateneum – już choćby z racji szczupłości sceny (pomysłem scenografa Marcina Stajewskiego wyciągniętej wprawdzie poza ramy czwartej ściany) – nie mamy festiwalu narodowych relikwów i pamiątek. Szable, które zdobią komnaty zamku Klary tak dawno nie były tykane, że aż w te mury wrosły. Natomiast żupan i kontusz Cześnika mienią się bielą i amarantem. Bo tu naprawdę o narodową idzie sprawę, i nie ogólnie,

w dwóchsetletniej perspektywie, ale tu i teraz.

Tekst Fredry, który winien być ze szkoły znany na pamięć, dokładnie jednak, ze smutkiem wyznaję, znany nie jest. (I nie będzie, bo *Zemstę* wycofano właśnie z kanonu lektur!) Tym przyjemniej usłyszeć na theatrum sformułowania, które przeleciały kiedyś mimo ucha, a dziś brzmią, jakby specjalnie dla nas je pisano. Na tym ponoć polega klasyka, że pasuje do wszystkich czasów. Trzeba

Zgodna Zemsta

tylko wyczuć właściwy moment, a sukces pewny.

Gustaw Holoubek wyreżyserował *Zemstę* starannie, z poszanowaniem tekstu, z poszanowaniem i wykorzystaniem możliwości aktorów. Ten teatr aktorstwem stoi i tak być powinno. Choć tekst należy do samograjów, nie wyobrażam sobie, by amatorski teatr z Grajewa mógł być konkurencyjny wobec trupy której filarem są Ewa Wiśniewska, Marian Kociniak, Gustaw Holoubek, Wiktor Zborowski i – jako kolumna piąta tej budowli – Marian Opania. Pary młodych nie

wychwalam, bo nie zostałam jako widz przekonana co do intencji. Czy miało być witalnie i sensualnie, czy może pastiszowo, czy tekst miał być podawany z dystansem, czy wprost – nie jest jasne. Ale nudą nie zięje. Najstąbiej jest z kwestiami a part mówionymi do publiczności. Tu trzeba osobowości i finezji, by tak anachroniczna forma wypowiedzi nie raziła.

Farsową często manierą, ale zgrabnie i stylowo, z wykorzystaniem wszystkich plastycznych zalet swej dłuuuugiej postaci, rozwiązał ten i wszelkie inne problemy Zborowski jako Papkin. Dawno mnie tak nikt nie rozśmieszył. *Zemsta* jest komedią dell'arte, ale okazuje się że różne lazzi w niej nie dość, że nie razią, ale dobrze wykonane dodają smaku. Scena pisania listu:

„Cóż to jest?”

„Żyd – jasnie panie” (z tego przede wszystkim śmieje się młodzież: prasa i telewizja są jak widać potęgą) została przez Holoubka wyreżyserowana tak, że trudno orzec, kto w tym tercecie gra pierwsze skrzypce. Papkin „otruty w lampce wina” wykonał cudowną pantomimę kanapową w „drugim planie”. Cienka jest różnica między tak zwanym grepsem a inwencją. W Ateneum role są pełne inwencji. Patrz młodzieży i ucź się.

Ale wróćmy do trafionego w czasie pomysłu na sztukę – na jej wystawienie

i zagranie. Obawiałam się mocno, idąc na premierę wprost sprzed ekranu telewizora, gdzie cała Polska wpijała wzrok w transmisję z debaty Tymiński-Wałęsa, że wieńczące dzieło słowa:

„Mocim panie, z nami zgoda... Tak jest – zgoda, a Bóg wtedy rękę poda” zabrzmiały idiotycznie nie na czasie i dadzą niezamierzony tragikomiczny efekt w świetle okrutnej porażki wyborczej premiera. O dziwo jednak, pojednanie Cześnika Raptusiewicza z Rejentem Milczkiem wypadło przekonująco, poprzedzone pełną refleksji sceną z panią barską, (chodzi rzecz jasna o szablę) która niejednego posta wykrzeszała z kandydata. Zamiast wznosić mur graniczny, lepiej zabrać się do naprawy zamku, po którym już hulają nietoperze. Bohaterowie *Zemsty* wyrazili ku temu szczerą ochotę, co i widzów zachęca do konstruktywnej postawy. Zgoda buduje, niezgoda rujnuje – starsze to porzekadło niż sam nieboszczyk hrabia Fredro i jak sam hrabia mądre. I tak jak niewidoczni za wałami przedzielonego murem zamku straszili niegdyś carscy jacy czy rakuscy gejmiani, tak dzisiaj straszą wyborcy Peruwiańczyka. Są słowa, które znaczą to lub owo, w zależności od kontekstu. A że taki mamy kontekst, to zakończyć wywód wypadnie – tym razem bez ironii, Rejentowym:

„Niech się dzieje wola nieba,
z nią się zawsze zgadzać trzeba!”

Teatr Ateneum im. Stefana Jaracza, ALEKSANDER FREDRO, *Zemsta*, premiera w grudniu 1990, reżyseria Gustaw Holoubek, scenografia Marcin Stajewski.

film

Wojciech Tomczyk

Druga reprezentacja Anglii

Od czasów Williama Szekspira angielska sztuka widowiskowa ma wielkie znaczenie dla kultury europejskiej. Dziś, po przebiegu tunelu, podglądanie co i jak knują wycieczki stało się wręcz obowiązkiem. Dla publiczności filmowej obowiązek ten zazwyczaj łączył się z przyjemnością. Niestety, tegoroczny Tydzień Filmów Brytyjskich mógł zadowolić wyłącznie masochistów. Filmy pozwolę sobie omówić w kolejności od dołu do góry. Palma pierwszeństwa należy się filmowi *Jesteś dla nas wszystkim* reżysera nazwiskiem Colin Gregg. Film stanowi apoteozę jednej z najpiękniejszych cnót – cnoty miłości. Jego tematem jest miłość do zwierząt. Przesłanie filmu brzmi – psy należy wyprowadzać na spacer. Treścią filmu są kłopoty głównego bohatera (Alan Bates) z wyprowadzaniem psa. Dziewięćdziesięcioczworominutowa perleka.

Z tym obrazem ściga się kolejny film – *Drabina z mieczy* – debiut Normana Hull'a. Scenarzysta – Neil Clarke – wykonał ogromną pracę, aby w filmie ani jedno zdarzenie nie było logiczną konsekwencją poprzednich. Przykro to stwierdzić lecz scenariusz wygląda na napisany przez człowieka pijanego. Niestety, po wytrzeźwieniu, zamiast poprawić co większe idiotyzmy scenarzysta zadowolił się dopisaniem doń dialogów objaśniających. Bohaterowie co krok wyjaśniają sobie i nam dłaczego postępują jak paranoicy. Również operator (Thaddeus O'Sullivan) powinien zająć się jakąś inną, nawet gorzej płatną, za to pożytecz-

ną, pracą. Ci, którzy widzieli scenę kołysania niedźwiedzia do snu koncertem skrzypcowym wiedzą co mam na myśli. Gorsza od niej jest tylko scena ostatnia, zasłużona kara dla wszystkich, którzy dotrwali do końca filmu. Również aktorzy dostroili się do ogólnego poziomu dzieła. Dotyczy to zwłaszcza wykonawców dwóch głównych ról męskich. Kolejne dziewięćdziesiąt osiem długich minut.

Melancholia w reżyserii Andi Engela jest o całe jedenaste minut krótsza. Po omówieniu zalet filmu przechodzimy do jego wad. O ile poprzednie dwa filmy zasługiwały jedynie na politowanie, to ten, wzbudził we mnie gniew. Engel – reżyser i współscenarzysta filmu miał znakomity pomysł. Gdyby potrafił go udźwignąć mieliśmy film klasy *Zawód reporter*. Zamiast tego zaserwowano nam kłiwą historyjkę o krytyku sztuki, pijaku, który ma kłopot z napisaniem książki. Bohater (Jeroen Krabbe wykonał kawał dobrej, nikomu niepotrzebnej roboty) wreszcie osiąga spokój. Ponieważ męka twórcza bywa udziałem części czytelników „Tygodnika Literackiego” podaję zawarty w filmie sposób jej przezwyciężenia. Najpierw należy zlikwidować zasłużonego zbrodniarza dowolnego reżimu totalitarnego. Reżyser proponuje chilijskiego lekarza – sadystę. To nie wszystko! Następnie należy zlikwidować terrorystę lewaka. Tu pojawia się kłopot – ich adresy figurują w książkach telefonicznych. Na szczęście dla bohatera filmu z lewakami łączy go, datująca się z maja

1968, miłość. Po spełnieniu obowiązku wobec ludzkości można zasiadać do pisania książek, malowania obrazów, smarowania partytur. Uwaga! Przy zabijaniu należy pamiętać o zachowaniu symetrii i sprawiedliwości – jednego stalinistę trzeba zrównoważyć sympatykiem Mussoliniego. Wyłącznie harmonia w relacjach ze światem zewnętrznym zapewni ci ukojenie. Takie jest przesłanie filmu i naprawdę nie ma się z czego śmiać. Sfrustrowani radykałowie stają się kamerą. Debiutancki utwór dobiegającego pięćdziesiątki Engela na szczęście jest rozczulająco infantylny. Morał z tego taki – frustracja może być siłą twórczą, tępotą nigdy. I całe nasze szczęście.

Za najlepszy film brytyjski roku 1988 został uznany obraz *Wysokie aspiracje* Mike'a Leigh'a. Reżyser postanowił opowiedzieć o jałowości i beznadziei życia w Anglii. O tych sprawach można opowiadać w nieskończoność tak, że twórca może z ufnością patrzeć w swą przyszołość. Przy czym, trzeba wyjaśnić, że nie mamy do czynienia z angielskim Kieślowskim. Leigh lubi ludzi, ponadto potrafi zachować ironiczny dystans do świata przedstawianego. Zwłaszcza widz, za przeproszeniem, postkomunistyczny, ma powody do radości. Otóż głównymi bohaterami filmu są angielscy ludzie lewicy. Skręty z baszu wykonują na dziełach Lenina, marzą o rozstrzelaniu rodziny królewskiej, dla uspokojenia pielgrzymują do grobu Marksa. Wszystko ze śmiertelną powagą. Film dobrze inscenizowany, nieźle grany. Szczególnie przekonująca jest główna bohaterka – Schirley (Ruth Sheen) – jedyna postać, której dramat wydaje się być wiarygodny. Świetne zdjęcia (Roger Pratt) wydobywające cały wdzięk, jaki mieści się w monotoni londyńskiej architektury. W sumie miłe nudziarstwo.

Tytułem zaleca się kolejny film – *Skandal* Michaela Caton-Jones'a, według scenariusza Michaela Thomasa. Film traktuje o słynnej swego czasu (na bieżąco relacjonował ją „Przekrój”) aferze Profumo. W największym skrócie poszło o to, że minister wojny Zjednoczonego Królestwa nazwiskiem Profumo miał okoliczność z panią, z którą sypiał również dyplomata o dźwięcznym nazwisku Iwanow. Skandal miał miejsce dawno temu, spowodował jednak samobójstwo, upadek gabinetu premiera MacMillana, wreszcie wyborczą po-

rażkę konserwatystów. Zasadniczym wyróżnikiem omawianego filmu jest ogromna przewaga formy nad treścią. Można powiedzieć, że jest to rzecz składająca się wyłącznie z opakowania. Właściwymi twórcami należałoby uważać Simona Hollanda – scenografa oraz autorkę kostiumów Jane Robinson. Scenarzysta historię opowiada zaledwie poprawnie, reżyser nie radzi sobie nawet z inscenizacją takich filmowych pewniaków, jak sceny sądowe. Mimo ostrej konkurencji także ten film mógłby zostać uznany za najgorszy film przeglądu. O jego stosunkowo wysokiej pozycji w naszej „drabinie z arcydzieł” zdecydowały dwie przesłanki. Po pierwsze, mimo wszystko, da się obejrzeć, po wtóre, jak wszystkie błyskotki, podoba się kobietom. Ponieważ kobiety odgrywają w naszym życiu pewną rolę musimy liczyć się z ich opiniami. W końcu stanowią ponad połowę populacji. Paniom podobają się także *Królowa Kier* (Johna Amiela). Niestety sprawy wagi państwowej nie pozwoliły mi na obejrzenie tego obrazu. Musimy zaufać paniom.

Wreszcie siódmy film, o którym właściwie nie powinno się wspominać w kontekście dzieł omówionych powyżej – *1871* – Kena McMullen'a. Brawurowa opowieść o miłości, wojnie, rewolucji, teatrze i śmierci. Gejzer pomysłów formalnych, znakomita zabawa konwencjami, niegłupie filozofowanie, muzyka Szostakowicza – czegoż trzeba więcej. Ken McMullen to inteligentny artysta, na domiar złego obarczony wyczuciem obrazu i ekscentrycznym poczuciem humoru. Film niewątpliwie wart grzechu.

Kinomani dawno już ochłonęli po rewelacyjnym VI Warszawskim Tygodniu Filmowym. Kubel zimnej wody jakim okazał się Tydzień Filmu Brytyjskiego wylano więc na nas zupełnie niepotrzebnie. Zamiast, zapowiadanego wcześniej głośniego *Henryka V* czy choćby (pokazanej na Warszawskim Tygodniu) *Błyszczącej skóry* pokazano kilka półtelewizyjnych potworków. To, co zaserwowano widzowi sprawiło wrażenie całkiem przypadkowej zbieraniny tytułów. Czas wyjaśnić różnicę między piłką nożną a kinem. Otóż w futbolu druga reprezentacja Anglii tylko nieznacznie ustępuje pierwszej. W kinie druga drużyna Anglii nie istnieje.

Tydzień Filmów Brytyjskich, Warszawa – Kraków, grudzień 1990.

Joanna Siedlecka

Kocik

Poziomeczki z malinami

Zyją w Warszawie dwie panie, które pamiętają nie tylko matkę Kocika Jeleńskiego – piękną i światową Renę ze Skarżyńskich Jeleńską, ale i jej matkę, czyli jego babkę – Manetę z Czarnowskich Skarżyńską. A babka była dla niego bardzo ważna – to przede wszystkim ona wychowywała go do trzynastego roku życia, to znacząco do swojej śmierci. Z rodzicami widywał się głównie podczas świąt i wakacji. Jego ojciec – Konstanty Jeleński, zwany w rodzinie starym Kotem – dyplomata przedwojennego MSZ, przenosił się z placówki na placówkę, poza tym, co dla nikogo nie było tajemnicą – nałogowo pił. U babki miał więc Kocik o wiele bardziej ustabilizowany i spokojny dom.

Jedną z tych pań to Wanda Koëlichen z domu Czarnowska, rocznik 1908. Jej ojciec – Józef Czarnowski był rodzonym bratem Manety, babki Kocika. Czyli Kocik to dla pani Koëlichen cioteczny siostrzeniec, choć w listach do niej podpisywał się po prostu – „twój kochający siostrzeniec”, nigdy też nie zapomniał dodać: „ręce Twoje serdecznie całuję”. A listów od niego ma sporo – korespondowała z nim nawet i wtedy, gdy nie było to w kraju najlepiej widziane. Kiedy na przykład Witold Filler nazywał go w swojej *Literaturze malej emigracji* – „pracownikiem operatywnego kartelu Giedroycia” i „ośrodków dywersyjnych oraz egentur politycznych”, czyli paryskiej „Kutury” i CIA, a „Z” w „Kulturze” warszawskiej (nr 21, 1963) – „międzynarodowym, agenturalnym cwaniakiem”.

Z kolei, pani Anna Czajkowska, primo voto Laudañska (rocznik 1900) zaprzyjaźniona była z babką i matką Kocika przez swego pierwszego męża – Stana Laudañskiego, wychowywanego wśród Czarnowskich i Skarżyńskich, którzy uważali go za kuzyna. Był bowiem synem guwernantki – Francuzki, zamężnej potem z Polakiem, Laudañskim, sprowadzonej z Francji do Kroczewa – majątku Czarnowskich dla kształcenia panny Manety Czarnowskiej.

Trzecią z pań pamiętającą jego babkę, to zamieszkała w Paryżu Adela Maria Żeleńska, primo voto Skarżyńska – rocznik woli zachować w tajemnicy. Kuzynka Czarnowskich, a jednocześnie – była synowa Manety, była żoną jej syna – Kazia Skarżyńskiego. Rozwiodła się z nim wprawdzie już przed wojną, nigdy też nie była przez teściową mile widziana (marzyła o synowej z Kresów i z majątkiem). Mimo to, zachowała ją jednak w dobrej pamięci.

*

Rena Jeleńska zostawiła swojej matce Kocika, gdy miał zaledwie sześć tygodni. Sama natomiast wróciła do Rzymu, gdzie stary Kot był wtedy sekretarzem polskiego poselstwa. Przyjechała do Warszawy w ostatnich miesiącach ciąży: mimo całej swojej światowości, chciała bowiem – co bardzo podkreślała – urodzić dziecko w Polsce. I urodziła – w Warszawie – 2 stycznia 1922 roku na Wiejskiej 13, w kamienicy, która stoi jak stała naprzeciwko „Czytelnika”. W mieszkaniu swojej ukochanej ciotki – matki pani Wandy Koëlicher, Janiny Czarnowskiej. Jego chrzcinił pani Koëlichen, niestety nie pamięta – nie sprowadzono jej jakoś z Kroczewa. Pamięta tylko, że szybko ściągnięto mu stamtąd do Warszawy mamkę. A chrzciny – pewnie ze względu na wyjazd Reny – urządzono z wielkim pośpiechem. Nie szukano nawet chrzestnej, trzymała go do chrztu babka Maneta.

A chrzczony był dwa kroki dalej od Wiejskiej – w kościele św. Aleksandra na placu Trzech Krzyży, skąd tak przecież niedawno kuzynka Hanna Zarancka (z domu Skarżyńska) wyciągała stamtąd jego metrykę urodzenia, przesyłała do Paryża – potrzebna mu była w staraniach o emeryturę, którą tak niedługo się cieszył.

U swojej matki Rena rodzic nie mogła – Maneta, ten niespokojny duch, nie miała wtedy mieszkania w Warszawie, w ogóle właściwie swego domu. Po separacji z mężem – Henrykiem Skarżyńskim, dziadkiem Kocika, ciągle z Reną podróżowała – syn Kazio chował się u ojca, potem u jezuitów. Pomieszkiwała najczęściej w Kroczewie, czyli u swoich rodziców, gdzie właściwie spędził Kocik swoje wczesne dzieciństwo i gdzie żyła jeszcze wtedy jego prababka – Teresa ze Zbyszewskich Czarnowska. (Z tych Zbyszewskich byli właśnie kuzyni Kocika – znani, emigracyjni publicyści – Waclaw i Karol.) Pomieszkiwała też często – najpierw z Reną, potem z Kocikiem – w Rybieniu pod Wyszkiem, majątku rodzinnym byłego męża i jednocześnie swojej siostry

– Wandy, która też wyszła za Skarżyńskiego, brata jej byłego męża – Kazimierza Skarżyńskiego, dziedzica Rybienka.

W Kroczewie i Rybieniu chował się Kocik do czwartego roku życia, potem – już trochę odchowany – przebywał coraz częściej z rodzicami na ich kolejnych placówkach: w Madrycie, Bukareszcie, Wiedniu.

Maneta nie chciała jednak – wspomina pani Żeleńska – żeby miał to dzieciństwo takie „poszarpane”, jak mówiła. Tak że gdy w 1920 jej syn Kazio, zamożny już wtedy biznesmen, kupił jej piękne mieszkanie na Mokotowskiej 46 (naprzeciwko „Metalexportu”, w kamienicy, która stoi jak stała), znów wzięła Kocika do siebie. Tak że i tam był przez dwa lata jego dom. Stamtąd chodził do szkoły, do Batorego.

Stoi też jak stała willa na Krasickiego 27, zdaje się, kupiona przez Jeleńskich „na potrzeby” Kocika, wynajmowana lokatorom i przynosząca miesięcznie 700 złotych zysku. Po wojnie została upaństwowiona, oddana pod kwaterek. Po '56 wydawało się, że można ją było odzyskać i Rena przekazała ją notarialnie – z zagranicy



K.A. Jeleński – uczeń gimnazjum im. Batorego, lata trzydzieste

– Skarżyńskim zamieszkałym w kraju, ale nic z tego nie wyszło. Musieliby wykwaterować lokatorów na własną rękę, kupić czy pozalać im mieszkania, a nikt nie miał na to czasu ani pieniędzy.

*

Maneta była lekkomyślna, niepraktyczna i rozrzutna – ubóstwiała podróże i stroje, tak że rodzice, potem mąż, a jeszcze później syn wciąż się na nią rujnowali. Gdy skradziono jej na przykład z przedpokoju drogie futro, nie przejęła się nawet przez chwilę. Syn kupił jej przecież nowe, jeszcze bardziej modne! Zawsze bardzo roztargniona, tak zresztą jak potem Rena i Kocik, który nie mógł na przykład mieć samochodu – nie pamiętał, gdzie go zaparkował.

Wyszła za mąż w wieku osiemnastu lat za człowieka o wiele starszego. I nawet jako mężatka, nie potrafiła zachować należytej powagi. – Niech pani starsza powie pani młodziej – mówiła jej matce służba w Kroczewie – żeby nie biegła tak po schodach – mężatce nie wypada!

Jako mężatka namówiła też kiedyś matkę pani Żeleńskiej na wyjazd do Warszawy po sprawunki, a później – podwieczorek w Dolince Szwajcarskiej. Dosiedli się zaraz do nich panowie, co zostało oczywiście zauważone, doniesione mężowi i skończyło się skandalem. Dwie panie z towarzysztwa w kawiarni, w asyście nieznanym im panów! Nie był to pierwszy z jej „wybryków”, w rezultacie, to niedobre od początku małżeństwo, zakończyło się kościelną separacją, rozwody należały wówczas do rzadkości.

Choć nadal była piękna i młoda – została sama, może dlatego, że jako w pewnym sensie rozwódka, przestała być przyjmowana w „noblowych” domach? Ubóstwiała przepowiednie wrózek i jedna z nich – słynna pani Zakrzewska z Krakowa na wizytę u której czekało się miesiącami – przepowiedziała jej jeszcze jedną wielką miłość! I sprawdziło się, bo rzeczywiście – pokochała bardzo Kocika, swojego jedyne wnuka, dzieci Kazia już nie doczekała.

*

Kocik mówił na nią Mum albo Muma, ona na niego „Kociku” lub – jak wspomina pani Czajkowska – „moje ty poziomeczki z malinami”, bo rzeczywiście ładny był z niego chłopak. Szczupły, delikatny blondyn o jasnej cerze, a przede wszystkim niesłychanym wdzięku odziedziczonym po matce. Zawsze pięknie ubrany – syn pani Czajkowskiej – Edmuś Laudañski (obecnie w USA) donaszał po nim zagraniczne ciuszki, jako że pani Czajkowska wcześniej owdowiała i zanim wyszła znów za mąż, nie powodziło się jej najlepiej.

W ogóle był bardzo zadbany – pani Czajkowska pamięta, jak faszrowano go witaminami, szpinakami, dbano o jego regularny tryb życia – nie do pomyślenia na przykład było, żeby nie poszedł spać o swojej zwykłej porze. Miał też zawsze guwernantki od francuskiego, angielskiego, uczył się w Batorym, a potem w jeszcze bardziej liczącej się, ekskluzywniej Rydzynie – gimnazjum z internatem wzorowanym na angielskim Eton, gdzie czesne wynosiło 3 tysiące rocznie i uczniami byli chłopcy z najlepszych domów, między innymi, Józio Zwistocki, wnuk prezydenta Mościckiego, mały Pappé – syn ambasadora polskiego przy Watykanie, i w ogóle – Lubomirscy, Platerowie i inni.

Ale choć i Rena i Mum bardzo go rozpieszczały i psuły – był niezwykle dobrze wychowany, zdyscyplinowany, a przede wszystkim – taktowny i subtelny. Zdecydowanie odróżniający się od hałaśliwych, rozbrykanych kolegów mego syna – wspomina pani Czajkowska.

Mum nie była wcale intelektualistką, po prostu inteligentną i obytą w świecie kobietą. Mnóstwo czytała – jedną książkę co noc, wstawała o dwunastej w południe. Z tym, że – jak wspomina pani Żeleńska – nic poważnego: głównie modne, głośne powieści i w ogóle wszelkie czytała.

Ale Kroczew europeizował się, nie był typowym, ziemianiskim dworem. Odróżniał się na korzyść swoim intelektualnym poziomem. Mnóstwo się tam przede wszystkim czytało, grało w modnego wtedy brydża i na fortepianie, ale tak naprawdę, bez żadnego „brzdąkania”. Częściej j na dłużej wyjeżdżało się za granicę. Co najważniejsze jednak – naprawdę znało się języki, właściwie, rozmawiało się na ogół po francusku, tak że Maneta, a potem Rena i Kocik władali nim jak polskim, a Kocik zawsze powtarzał, że nie pamięta, by się tego języka kiedykolwiek uczył. Ojciec pani Wandy Koëlichen, znał

aż siedem języków, pisał też wiersze, wydał jeden tomik. Dlatego właśnie na opracowanej przez siebie *Anthologie de la poesie polonaise* Kocik napisał jej w dedykacji: „Kochanej Wandzi, córce jedynego poety w rodzinie, ślicznej i uroczej dziewczynie z Kroczewa w latach 1920-tych, dziś – najbliższej mi wrażliwością krewnej”.

Miał trzynaście lat, gdy w 1935 Mum umarła w Warszawie na raka. Podczas jej choroby, która trwała rok – wydorósł i dojrzał. Był przy niej – tak jak potem przy umierającej matce cały czas. I wspominał ją potem całe życie.

„14 08 1979 (...) Mezano jest prześlizniętym miasteczkiem – pisał do pani Koëlichen – bardzo lubiła je Mum, moja babka, która tu kiedyś była i zawsze chciała wrócić tu razem ze mną. ...Mieszkał w najstarszym, dużym hotelu, na pewno w tym, gdzie kiedyś mieszkała Mum.”

Po jej śmierci matka umieściła go w Rydzynie – gimnazjum z internatem o co miał do niej zawsze żal. Choć kochał matkę i był z nią – szczególnie jako dorosły mężczyzna – bardzo związany, potrafił wyrzucać jej, że wychowywał się u babki i w internatach – przed Rydynam był przez pewien czas w internacie dominikanów pod Lozanną w Szwajcarii.

*

Pochowano Mum w grobie rodzinnym Czarnowskich w Kroczewie, ale czy dziś coś jeszcze z niego zostało, trudno powiedzieć. Pani Koëlichen dawno już tam nie była, nie ma jak. Jej córka mieszka na stałe we Włoszech, wnuczka wprawdzie w Warszawie, ale nie ma wozu. A dojazd – szczególnie dla starszej osoby – jest dość uciążliwy. Do Kroczewa autokarem, ale do oddalonego bardzo cmentarza już tylko okazją, na którą trudno

liczyć. Od dawna zresztą grób był dewastowany przez miejscowych, którzy wynosili ze starego cmentarza, co tylko się dało – płyty, tablice, kamienie.

Z pałacu w Kroczewie nie ma śladu od dawna – Niemcy wysadzili go w powietrze tuż przed swoim wyjściem, zdążyli jeszcze rzucić do rowu i podpalić benzyną wszystko, co cenniejsze.

Stoi natomiast dwór w Rybieniu, ale jest ruiną niszczącą od lat. Mówi się od dawna, że ma go przejąć i restaurować SARP, ale, jak na razie, niszczy nadal.

Rajski ptak

Renę ze Skarżyńskich Jeleńską, matkę Kocika pamięta także pani Hanna Zarańska z domu Skarżyńska. Rena to jej ciotka – stryjeczna siostra ojca – Edmunda Skarżyńskiego. Pani Zarańska była przed wojną małą dziewczynką, do dziś ma jednak przed oczyma ciotkę Renę zjeżdżającą do Rybienia z Mum i Kocikiem, który bawił się z braćmi pani Zarańskiej, czyli swoimi kuzynami – żaden z nich już dziś nie żyje. Ciotka Rena natomiast – co podkreślała – „chłonęła atmosferę Rybienia”, dla niej bowiem przyjeżdżała tu zawsze podczas każdego pobytu w kraju.

A był to rzeczywiście dwór pełen uroku: zamożny, dobrze utrzymany, piękny pałac, jeszcze piękniejszy gazon przed wejściem, stare lipy, mnóstwo ciągle pełnych pokoi gościnnych i z własną historią. Część pokoi została zniszczona przez przechodzące tamtędy w 1920 roku wojska bolszewickie. Zostały po nich odpadające tynki, zniszczone podłogi. Ale choć było Rybienio – podobnie jak Kroczew – dworem światłym i nowoczesnym, mimo to, nawet tam, kuzynkę Renę uważano za prawdziwy ewenement, rajskiego ptaka różniącego się tak bardzo nie tylko od swoich kuzynek Skarżyńskich, ale wszystkich chyba ziemianek pań. Zastanawiano się skąd się właściwie taka wzięła?

Bo nie tylko piękna i pełna wdzięku. Przede wszystkim – szalenie niekonwencjonalna. Swobodna, z fantazją, o szokujących często opiniach i zachowaniach. Pani Zarańska pamięta na przykład jak ciotka Rena brała ją na ręce, wystawiała z okna drugiego piętra i niby to na serio groziła, że gdy będzie niegrzeczna – zaraz ją zrzuci na dół! Albo też – nie wiadomo właściwie żartem czy serio – ubolewała, że seks jest także i dla „ludu” – to przecież tak cudowne, że powinno być wyłącznie dla „państwa”!

Pani Koelichen z kolei pamięta, że gdy stangret wiózł Renę ze stacji, potrafiła wyskoczyć cichutko z wozu, który zajeżdżał pod dwór bez paniątki! Wszyscy zamartwiali się, co też się z nią stało, ona tymczasem cała i zdrowa zjawiała się po jakimś czasie, jakby nigdy nie!

Pani Zelenka natomiast zapamiętała opowiadaną jej przez Kazia historię, jak to Rena – nago, jak miała w zwyczaju – przepływała Bugo-Narę. Przypłynęła kiedyś na drugi brzeg, na powrót zabrakło już jej jednak sił, tylko jak tu wracać na golasa? Weszła więc w przybrzeżne szuwary, wołała „tubyłców” o pomoc – mieli polecieć do pałacu, przynieść jej ubranie.

Nie kończyła żadnych szkół, miała – tak częste wtedy – wykształcenie domowe. Poza tym, naprawdę mnóstwo podróżowała – najpierw z matką, potem z mężem-dyplomatem. W rezultacie, władała swobodnie kilkoma językami, zaczęła tłumaczyć już przed wojną. Przełożyła między innymi na francuski *Klucze Kunczewiczowej*, *Cale życie Sabiny Boguszewskiej*, nie wydane z powodu wojny i utraty maszynopisu.

Lubiła bywać, błyszczeć, brylować. A znała naprawdę wszystkich – chociażby Karola Szymanowskiego i jego siostrę Nulę, spowinowaconych zresztą ze Skarżyńskimi przez Zbyszewskich. Znała też „Rubiego”, czyli Artura Rubinsteina, zaprzyjaźnionego ze Skarżyńskimi. Pani Czajkowska pamięta jak – jeszcze przed wojną – jej syn wyjeżdżał na studia na Sorbonę – Rena, która traktowała go jak kuzyna, obiecała, że umieści go u swoich przyjaciół i umieściła właśnie... u „Rubiego”!

Dzięki małżeństwu z Jeleńskimi poznała też ludzi ze świata polityki i dyplomacji – Wieniawę-Długoszewskiego, Becka i innych, bo MSZ to był wtedy także Lechoń, Baliński, Iwaszkiewicz.

Kochało się w niej mnóstwo panów, niemal wszyscy kuzyni. Mimo to wyszła za mąż późno, jak na tamte czasy, bo w wieku dwudziestu siedmiu lat! Nie miała jednak posagu, była „wydziedziczona” – jej ojciec roztrwoniał majątek swoich dzieci, co złożyło się też na separację rodziców. Miała też za sobą dwa nieudane, bezsensowne narzeczeństwa. Pierwsze – z chłopcem z sąsiedztwa, przypadkowo zresztą również Skarżyńskim. Drugie – z Francuzem, które ciągnęło się kilka lat – wybuchła I wojna światowa, powołano go do wojska, kontaktowali się wyłącznie listownie.

– Konstantego Jeleńskiego – wspomina pani Koelichen – odradzali jej naprawdę wszyscy. Owszem, z posadą w MSZecie, z zamożnej, szlacheckiej rodziny z Litwy (herbu Korczak Odmienny), z majątkiem Wielki Dwór. Poza tym – inteligentny, błyskotliwy, tylko że alkoholik!

Rena jednak – tak jak potem Kocik – miała nie tylko wdzięk, ale i dobre serce. Jeżeli ja się nim nie zajmę, nie



Fotografia z Skarżyńskich
Jeleńskiego
Rajski 1934.

Podpis K.A. Jeleńskiego na odwrocie fotografii

pomogę mu, kto to zrobi? – tłumaczyła. I faktycznie, została jego dobrym duchem – zawsze przy nim była, pilnowała, liczyła kieliszki, wyciągała z barów, to znaczy zawsze znajdował się ktoś gotowy do dla niej zrobić. Właśnie jej urok i wdzięk tuszował często jego wybryki.

Mimo to, przez swój nałóg, nie zrobił większej kariery. Nigdy nie został pierwszym – na przykład ambasadorem, a najwyżej sekretarzem, radcą, zastępcą.

Tylko i wyłącznie Kocik, którego bardzo kochał, był jedyną osobą, dla której potrafił brać się w garść. Nie chciał, aby widywał go w „takim stanie”. Jedynie obecność Kocika czy też zapowiedź jego przyjazdu zmuszała go do krótkotrwałej, oczywiście, abstynencji.

Była więc Rena dobrą i lojalną żoną, mimo – jak mówiono – „włoskiej afery”, o której wszyscy wiedzieli i rozmawiali, choć nigdy naturalnie w jej obecności, a tym bardziej starszego Kota. Miała bowiem romans z hrabią Carlo Sforza (z „tych” Sforzów) – publicystą, politykiem, włoskim ministrem spraw zagranicznych przed wojną. Kocik urodził się właśnie w tym okresie, co oczywiście plotki potęgowało. Towarzyszyły mu zresztą całe życie, tym bardziej, że Sforzino Sforza, syn Carlo przyjaźnił się z Kocikiem całe życie i bardzo się nim szczylił – sam był bowiem „tylko” światowcem, hrabią Sforza po prostu, Kocik natomiast – znanym w świecie intelektualistą.*

Rozmawiano też o tym oczywiście w Kroczewie i Rybieniu. Choć również nigdy w obecności Reny czy Manety, żeby nie robić im przykrości, nie urazić. Pani Koelichen pamięta na przykład, jak cała rodzina przeżywała plebiscyt na Śląsku w latach dwudziestych i cieszyła się, że dzięki Renie Sforza będzie bardziej Polsce przychylny – był członkiem Ligi Narodów. I rzeczywiście, jak potem mówił „rzucił Renie pod nogi pół Śląska”, przeforsował korzystną dla Polski „linię Sforzy”. Pani Koelichen pamięta też, jak przysłał do Polski swego adwokata, który miał przeprowadzić Renie rozwód. Zdecydowanie jednak odmawiała – nie chciała skandalu, a co najważniejsze – bardzo po swojemu starszego Kota kochała. A przede wszystkim – co podkreślała – czuła się za niego odpowiedzialna. Uważała, że gdy wychodzi się za mąż za alkoholika czy kalekę, trzeba dźwigać ten los do końca.

Opowiadała też kiedyś kuzynce Wandzie Koelichen, że gdy w 1935 była akurat w Rybieniu, dostała od Sforzy telegram. Przejeżdżał właśnie przez Warszawę, prosił, żeby czekała na dworcu. Ale chciała wreszcie z „tym” skończyć, nie wyszła, choć bardzo to przeżywała.

Emigrantka

Wojnę spędził Kocik w wojsku polskim na Zachodzie, u generała Maczka. Stary Kot – w Anglii, i w Szkocji, gdzie zmarł w roku 1952. Rena – początkowo też w Szkocji, potem we Włoszech, gdzie osiadła na dłużej. Najpierw w Wenecji, gdzie wkrótce po wojnie Kocik kupił jej okazjnie dom od swego przyjaciela Kazia Balińskiego, potem w Rzymie, bo Wenecja była dla niej „nie do życia”. I tu i tam trochę tłumaczyła, choć swój najlepszy życiowy przekład *Folwark zwierzęcy* Orwella – zrobiła jeszcze w Anglii. Przede wszystkim, prowadziła jednak – głównie w celach zarobkowych – pensjonat dla gości zagranicznych polecanych jej zwłaszcza przez Kocika. Przez jej dom w Wenecji, potem w Rzymie, przewija się mnóstwo wielkich polskich nazwisk – Herling-Grudziński, Słonimski, Iwaszkiewicz, Watowie, Kijowscy, Parandowscy. Znów była w najlepszym towarzystwie, ale – jak pisała do rodziny w kraju – już w innym, często upokarzającym ją charakterze.

Dopiero w 1962 realizuje wreszcie od dawna upragniony cel – sprzedaje dom w Rzymie, przenosi się do Paryża, blisko Kocika. Jest wreszcie obok niego, jest więc o wiele szczęśliwsza niż we Włoszech. „23 11 1958 (...) Tych 11 lat spędzonych kamieniem we Włoszech fatalnie na mnie wpłynęło. Od urodzenia nie siedziałam tak długo na jednym miejscu bez przekraczania granicy – pisała do kuzynki Magdy Skarżyńskiej” „30 04 1962 [...] Ja się w tych Włoszech tak fatalnie czuję, że wreszcie sprzedaję dom i opuszczam ten kraj, który obrzydł mi doszczętnie, szczególnie jego mieszkańcy. Kiedy mówią mi: jesteś przynajmniej u siebie, odpowiadam – nie jest się u siebie, gdy przyjmuje się płatnych gości.”

Do rodziny w kraju – Czarnowskich, Skarżyńskich zaczęła pisać już z Włoch. Najpierw przede wszystkim do kuzynki Magdy Skarżyńskiej, z którą przyjaźniła się jeszcze w Polsce choć tak się od siebie różniły. Magda była religijna, surowa, z zasadami, ideowa – całe swoje samotne życie poświęciła pracy w Laskach, z którymi była bardzo związana. Po śmierci Magdy korespondowała z kuzynką Wandą Koelichen, Hanną Zarańską.

Jej listy do rodziny, właściwie resztek rodziny w kraju, są interesującym, a nieznanym zupełnie – przyczynkiem do jej portretu. Nie ukazują bowiem światowej damy, tłumaczki, a przede wszystkim matki żyjącej sprawami swego niepospolitego syna, komentującej każdy jego krok. Zaniepokojonej tym, że za dużo pracuje, jest zbyt aktywny, bierze na siebie zbyt wielkie przedsięwzięcia, *Antologię poezji polskiej* na przykład, że przesadnie wręcz zafascynował się Gombrowiczem o którego była po prostu zazdrosna. Przede wszystkim są to jednak listy o jej walce o syna toczoną z jego towarzyszką życia – Leonor Fini. Walce dwóch niepospolitych kobiet, dwóch wielkich indywidualności. Listy tym ciekawsze, że to właśnie Rena musiała przegrać, pogodzić się z jej obecnością w jego życiu.

Ukazują też – najogólniej mówiąc – dramat emigrantki. Starzejącej się, zmuszonej do zarobkowania, do czego nigdy nie była dotychczas przyzwyczajona, samotnej, opuszczonej, bo kontaktów z mieszkającym dłużej w Paryżu synem było jej ciągle mało. Rozważającej ciągle możliwości powrotu do kraju, do którego, mimo nowych w nim porządków, bardzo tęskniła. W ostatnich swoich latach, w Paryżu, zaczęła także pisać, planowała cykl poświęcony jej polskim korzeniom – dzieciństwu i młodości w Kroczewie oraz Rybieniu. Było to już jednak zamierzenie późne, napisała tylko dwa opowiadania, zdążyła opublikować jedno (w „Wiadomościach Londyńskich” nr 1197, 1969) zatytułowane „Royal-Legrand”. (Royal-Legrand to były perfumy, których używała jej matka: Maneta).

Nie wracała jednak do kraju przede wszystkim właśnie ze względu na Kocika. Był jednym z najbliższych współpracowników paryskiej „Kultury” niemal od jej początków. Nie mogła więc ludzić się co do tego, jak byłby w kraju widziany. Nie mógłby jej odwiedzać, nie

ciąg dalszy na s. 12

TYGODNIK
LITERACKI II

Kocik

dokończenie ze s. 11

mogłaby wyjeżdżać do niego. A tak, nawet gdy mieszkał w Paryżu, co jakiś czas się jednak widywali.

Chciała więc bardzo sięgnąć do siebie na stałe kuzynkę Magdę, ale ta, związana bardzo z Laskami, nawet o tym nie myślała. Po '56 odwiedziła tylko kilka razy Renę w Rzymie, potem w Paryżu i opowiadała potem o niej rodzinie w kraju. Nic się nie zmieniła. Największym problemem była dla niej codzienność – wysłanie paczki czy przekazu, nie mówiąc już o zakupach czy sprzątaniu. Z przejęciem tłumaczyła, że „koty” z kurzu są chyba żywe, bo ciągle się rozmnażają! Parasolką torowała sobie drogę na zatłoczonych, włoskich jezdniach, co zakończyło się tragicznie – potarcił ją poważnie jeden z wozów, walczyła o odszkodowanie. „18 06 1957 (...) *Ja Ci zresztą i tak Kocika powierzam, gdyby mi się coś stało – pisała do Magdy. – On naprawdę będzie Cię potrzebował, gdy zostanie sam. Zastąpisz mnie wtedy mam nadzieję, a z Włoch będziesz miała do niego bliżej niż obecnie.*”

*

Także i Kocik pisał często do ciotki Magdy, a potem do kuzynki Wandy Koëlichen i Hanny Zarańskiej. I jego listy to przede wszystkim współczesna wersja listów Słowackiego do matki. Bo tylko wokół niej się obracają, tylko jej są poświęcone.

„28 12 1960 (...) Najmilsza Ciociu! Wczoraj wróciłem z Rzymu, gdzie spędziłem święta z Mamą. Kochany list Cioci przyszedł w sam dzień Wigilii, tak że wieczorem mogliśmy przełamać się Cioci opłatkiem, w myślach łamiąc go również z Ciocią. Wigilię spędziliśmy we dwójkę, u łóżka Mamy, która znowu ma bronchit i niepokojąco, uporczywie gorączkuje. Radzę Mamie, aby przenieśli się do Londynu – miałaby tam dobre warunki, stać by ją było na dobry pensjonat. Mama ma właściwie na to ochotę – wie Ciocia jak od śmierci Ojca Mama o nim myśli, w sposób dla mnie niezrozumiały przywiązuje np. znaczenie do jego grobu.

„25 03 61 Suisse (...) Od Mamy znów niepokojące wiadomości – było jej już lepiej, ale wybrała się z Tivoli z Jarosławem Iwaszkiewiczem w letnim kostiumie! Wrócili wieczorem, oczywiście było bardzo zimno, dziś znów bronchit, gorączka. Powiedziałam jej, że jeżeli będzie zupełnie zdrowa, zaproszę ją na 3 dni do Bolonii, gdzie jestem zaproszony na międzynarodowe spotkanie socjologów. Potem chciałbym zawieźć Mamę gdzieś w góry, do jakiegoś pensjonatu, ulokować ją na parę tygodni.”

„22 06 61 Nonza, Corse: (...) Od Mamy nie mam od dawna wiadomości (2 tygodnie), mimo, że piszę 3 razy na tydzień, a stąd niemal co dzień przynajmniej kartkę. Spotkam się z nią nad morzem koło Genui 22 lipca, jestem tam zaproszony z zapłaconą podróżą, a Mamę sprowadzę na własny koszt, chciałbym też namówić ją, aby skorzystała z tego i została na tydzień-dwa w jakiejś podgórskiej miejscowości. Oczywiście spędzę najpierw z Mamą 5-6 dni.”

„22 06 64 (...) Mam wrażenie, że jest bardzo zadowolona z przenosin do Paryża. Ma tutaj o wiele młodsze towarzystwo – widuje często swego wielkiego przyjaciela Janka Lebensteina, Olę Scherer-Wirską, Zosię i Kazia Romanowiczów (ona jest bardzo dobrą pisarką). Z wieloma młodymi przyjeżdżającymi z Polski. Maryńcia i Józio Czapski też często do niej wpadają.”

„5 06 69 (...) Mama zgasła dziś rano o 8.30. Zgasła dosłownie – bo tydzień temu miała zawał serca i od tego czasu była pogrążona w głębokim śnie, bez cierpienia, spokojna. Po ataku zaraz przyjechałem, ale mnie nie poznała, nie widziała nawet. Po śmierci zrobiła się zno-

wu piękna. Pogrzeb pojutrze – w Jours, o 60 km stąd – tam gdzie Kazikowie Romanowiczowie mają śliczny, stary dom. Mama będzie leżeć na wiejskim cmentarzu, u stóp starego, romańskiego kościółka. Mama była tam kilka razy, przepadała za tą wioską, mówiła, że pragnęłaby być tam pochowana. Jej trumna jest już całkiem pokryta kwiatami. Dla mnie wielką ulgą jest, że przestała cierpieć, a zwłaszcza, że nie jest tak upokorzona swoim stanem. Bardzo chciałbym wypłakać się w Cioci ramionach.”

Zbieg okoliczności

Po śmierci Reny pani Wanda Koëlichen z wnuczką, pani Zarańska i jej córka Kasia odwiedzały w Paryżu już tylko Kocika. Mieszkały w jego pięknym, starym domu na rue Wrilliere, w jedynce, najstarszej dzielnicy Paryża. Woził je po muzeach, do Maisons-Laffitte, poznał z Czapskim.

W 1981 miały nadzieję, że przyjedzie być może do Polski – dostał nagrodę PEN-Clubu za tłumaczenia, został też zaproszony na Kongres Kultury Polskiej. Ale choć chciał, nie mógł przyjechać – do końca pozostał na statusie uchodźcy, który uniemożliwiał przyjazd do kraju wygnania. W jego imieniu nagrodę odebrała pani Wanda Koëlichen i Katarzyna Zarańska.

Zmarł czwartego maja 1987 roku i jego nagła śmierć była dla kuzynek z kraju takim zaskoczeniem, że do dziś się z nią nie pogodziły. Bo rzadko się wprawdzie widywali, często jednak do siebie pisywali – pani Zarańska ma jego list pisany do niej kilka dni przed śmiercią. Najważniejsza była świadomość, że żyje w Paryżu ich kuzyn, z którego są tak dumne. Bo pisał i to w sześciu językach. Chociażby *Zbiegi okoliczności* ciągle oficjalnie nie wydane. Tłumaczył Gombrowicza, Miłosza, Wojtyłę. Opracował *Antologię poezji polskiej*. A przede wszystkim promował twórczość innych, nie tylko Gombrowicza. Był ambasadorem kultury polskiej za granicą. I w ogóle – Europejczykiem, obywatelem świata. Co najważniejsze – też człowiekiem dobrym, bezpośrednim, spieszącym zawsze z pomocą. Nie miał właściwie swoich spraw – tylko sprawy innych, co podkreślił w swoim kazaniu ksiądz Pasięrb na mszy za Kocika zamówionej u Świętego Marcina przez rodzinę w kraju.

Był dla niej – szczególnie ostatnio, w coraz trudniejszej polskiej rzeczywistości – symbolem coraz bardziej oddalającej się od nas Europy. Wysłał im wydane i tłumaczone przez siebie książki, różnojęzyczne pisma, w których publikował. Kartki z całego świata.

W ogóle, żył tak jak chciał, tylko że za krótko.

Pochowano go w Saint-Dyé sur Loire. Na jego pogrzebie nie było nikogo z rodziny, w ogóle niewiele osób. Leonor – jak mówią obie panie – zawiadomiła naprawdę małe grono, chciała, żeby miał pogrzeb jak najbardziej prywatny.**

Zwlekały długo z napisaniem do niej kondolencji, nie potrafiły po prostu znaleźć odpowiednich słów, tak jej przecież potrzebnych. Bo ona właśnie ceni sobie teraz bardzo kontakty z Polakami. Tylko z nimi może porozmawiać o nim tak naprawdę. Tylko ich – a nie Francuzów – rzeczywiście obeszła jego śmierć.

* Z listu Stanisława Cata-Mackiewicza do Michała Pawlikowskiego – oryginały w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Yorku, kopie u Jerzego Jaruzelskiego, autora monografii o Cacie.

„3.05.1963. (...) Ten Jeleński to młody i bardzo inteligentny chłopak. (...) Jest to syn Reny z domu jakiejś Starzeńskiej czy coś takiego, kuzynki mojej matki, ale z rodziny snobistycznej. (...) Otóż ten Jeleński o którym piesz jest prawie oficjalnie synem hrabiego Sforzy, jest brunetem i posiada włoską inteligencję, która jest lepsza od żydowskiej.”

** Na pogrzebie K.A. Jeleńskiego na wiejskim cmentarzu Saint-Dyé sur Loire było około dwudziestu przyjaciół. Wśród nich Rita Gombrowicz. Z przyjaciół polskich natomiast: Zofia Hertz, Maria i Bohdan Paczowscy, Jan Lebenstein i Wojciech Karpiński (przypis P.K.)

Joanna Siedlecka



K.A. Jeleński – rysunek Józefa Czapskiego (ze zbiorów W. Karpińskiego)

[...] Byłem jednym z pierwszych czytelników *Pornografii* (Gombrowicz przesłał mi jej rękopis do Argentyny) i od tego czasu odczytałem tę trudną, straszną, odważną, głęboką książkę kilka razy. Wydawało mi się przy pierwszej lekturze, że Gombrowicz odsłonił tu swoje karty wyraźniej jeszcze niż w *Dzienniku*, że *Pornografia* jest psychologicznym szyfrem do *Ferdydurke*, że ferdydurkowe porachunki z Młodością i Niedojrzałością występują tu po prostu w nagiej formie fascynacji i pożądania. Żałowałem jednak, że ten motyw komplikują inne wątki, które uważałem za mniej zasadnicze.

Za każdą następną lekturą byłem coraz bardziej pochłonięty właśnie tym bogactwem motywów, które jednocześnie nabierały dla mnie coraz wyraźniejszych cech wewnętrznej jedności. Doszedłem wreszcie do wniosku, że pierwotna trudność wejścia w *Pornografię* była moją winą: upuściłem po prostu Gombrowicza moim kultem do *Ferdydurke*. Istotnie, *Ferdydurke* jest powieścią tak nową i odkrywczą (uważam ją za jedną z czołowych pozycji literackich naszego wieku), że pożera ona samego autora. Wystarczy jednak odczytać nie tylko *Pornografię*, nie tylko *Dziennik* i *Ślub*, ale nawet poprzedzające *Ferdydurke* opowiadania wchodzące w skład *Pamiętnika z okresu Dojrzwania*, czy pierwszą jego sztukę *Iwona, księżniczka Burgunda*, by nie mieć wątpliwości, że Gombrowicz nie mieści się w *Ferdydurke*, że przerasta on swoją najśłynniejszą książkę. Chciałbym sprzeczyć tu moją myśl. Nie przeczę, że *Ferdydurke* może pozostać najbardziej „udaną” książką Gombrowicza, w sensie stylistycznej jedności, koncentracji prowokacyjnej nowej tematyki. *Ferdydurke* nie wyczerpuje jednak całej wizji Gombrowicza, wizji poetyckiej i filozoficznej pisarza, który z wielką odwagą i wysiłkiem doprowadził do wyjątkowej precyzji właściwe mu (uwarunkowane jego psychizmem, formacją kulturalną i doświadczeniem), ale równocześnie wspólne dla współczesnych mu ludzi wątpliwości dotyczące stosunku człowieka do otaczającej go rzeczywistości. Myślę, że Gombrowicz pozostanie w kulturze autorem dzieła ukazującego jedno fascynujące itineraire, a nie tylko autorem jednej przede wszystkim książki. [...]

Pornografia – powieść ziemiańska

Gombrowicz jest szlachcicem, ba, z „półtora szlachty” i raz po raz nam o tym przypomina, raz żartobliwie, raz poważnie, a właściwie zawsze poważnie-żartobliwie, autoironią starając się nadać dopuszczalny poziom „kompromitującemu” snobizmowi. Ale snobizm to tylko szczególny wypadek poczucia, że się jest z pewnej grupy ludzkiej wykluczonym, że się do niej „nie należy” i chęć przewyciężenia tych przeszkód. Dlatego cierpienia proustowskiego Legrandina spowodowane nieznajomością Guermantes’ów nie są przebrzmiałą bzdurą, mają uniwersalną wymowę, dotyczą lewicowego intelektualisty, który łaknie braterstwa robotników, wykołajonego smarkacza z burżuazji, którego z łaski tylko dopuszcza do udziału w wyprawach banda *blousons noirs*. To poczucie „wykluczenia” ciąży na Gombrowiczu w wielu dziedzinach bardziej dla niego istotnych od Gothy. W *Dzienniku* (Retiro) wyraził on już boleśnie temat któremu *Pornografia* nada posmak tragiczny: odcięcie od młodości. Dodajmy oczywiście odcięcie od Polski, odcięcie od czytelników, odcięcie od środowiska literackiego (którymi zresztą, oczywiście pogardzał), dodajmy szczególnie drażniącą dla niego sytuację w której był on przez kilka lat na miarę światową „wielkim pisarzem” (wypowiedzieli przecież te słowa sławni krytycy niemieccy, francuscy, włoscy, a w Fromentor luminarze, tuzy światowej literatury mówiły o jego „geniuszu”) – ale przynajmniej aż do chwili, gdy otrzymał wreszcie *Prix International de Literature* iluż intelektualistów zachodnich, czy nawet pisarzy tyle, że słyszało jego nazwisko? [...] Jeśli Gombrowicz tak często w swym dziele nawraca do klasycznego snobizmu szlachecko-arystokratycznego, to dlatego, że zna on tak dobrze psychiczną sytuację snoba w jej uniwersalnym aspekcie. Dlatego również, zapewne, że to poczucie wykluczenia, niepewności czy się naprawdę „należy” czy nie, było właśnie bardzo charakterystyczne dla jego sfery społecznej w Polsce. Arystokracja polska (wrosła z przedrozbiorowej mag-

Osiem spojrzeń na *Pornografię* czy Jedno spojrzenie na Gombrowicza?

naterii) była niepozorną grupą społeczną, mniejszą niż w jakimkolwiek innym kraju o ściśle określonej tradycji. Drobniejsza szlachta (nawet zamożna) była sporą grupą społeczną (większą niż w jakimkolwiek innym kraju), mniej zamkniętą, ale również o ściśle określonej tradycji.

Babka moja, Onufrowa Gombrowiczowa, była Dąbrowska (z lepszych), urodzona z Benislawskiej (dobrze), która rodziła się z baronówny Toplickiej (dobrze), która rodziła się z Soltanówny, córki marszałka nadwornego Soltana i Radziwiłłówny (doskonale). Benislawscy też kilka razy z Radziwiłłami się łączyli.

Pomiędzy pewnym siebie magnatem i pewnym siebie „szlachcicem na zagrodzie” stał karmazyn ze swym jednym czy dwoma senatorami w rodzie, neo-klasycznym białym piętrowym dworem z kolumnami (nazywanym przez służbę pałacem), z góry patrzący na skromniejszych sąsiadów, niepewny swych stosunków z arystokracją, niepewny czy Radziwiłłowie pamiętają odległe z nim powinowactwo, reagującą na tę niepewność bądź lagrandinowskim snobizmem, bądź antysnobizmem (co mi tam, Panie, arystokracja!). Bolimowo z *Ferdydurke* i wszystkie dwory gombrowiczowskie należą do ziemian z tej nieszczęsnej „półtora szlachty” w okresie ich gospodarczej dekadencji. Parki są duże, domy białe, meble Biedermeyer, dość już obszarpane, na trawniku hasają boscie dzieci kucharki, ale do kolacji podaje jeszcze lokaj Walenty, który w niedzielę wkłada inną liberię i jako stangret wiezie Jaśnie Państwa powozem do ich kolatorskiej ławki w pobliskim kościele. W sąsiednich dworach pije się wódkę, wcina bigos, kocioł się, Panie, robi na zajęcia, zabawa że aż ha, ale Bolimowo tam rzadko bywa bo oni Bristolu nie znają i w Monte Carlo nie byli i po francusku fatalnie mówią. A jeśli gdzie dalej jest jakiś Łańcut czy Ołyka, to Bolimowo

ma jeszcze mniej wspólnego z ich angielszczyzną, stadninami, łowami w Afryce, kuzynami „Parme” i „Deux Siciles”.

Ale może najprecyzyjniej opisane

„I nie zwracając na mnie więcej uwagi, zaczęli dowcipkować pomiędzy sobą z kieliszkiem w dłoni, w ten sposób, że stałem się nagle *quantité*

Starałem się tu uzasadnić, że ziemiańskie tło – ten biały dwór z kolumnami – to nie przypadek w dziele Gombrowicza, że sytuacje społeczne właściwe jego sferze mają w niej bogate psychiczne analogie i rozgałęzienia. Jeśli spoglądam najpierw od tej strony na *Pornografię*, to dlatego, że pod względem „obyczajowym” tła, środowiska, jest to u Gombrowicza (podobnie jak w drugiej części *Ferdydurke*) nawrót do własnych korzeni. Dwór z *Pornografii* jest zresztą o wiele bardziej realistyczny od dworu z *Ferdydurke*. [...] Dość tego na dużą powieść typu Ivy Lompton-Burnett [...]

Pornografia – powieść okupacyjna

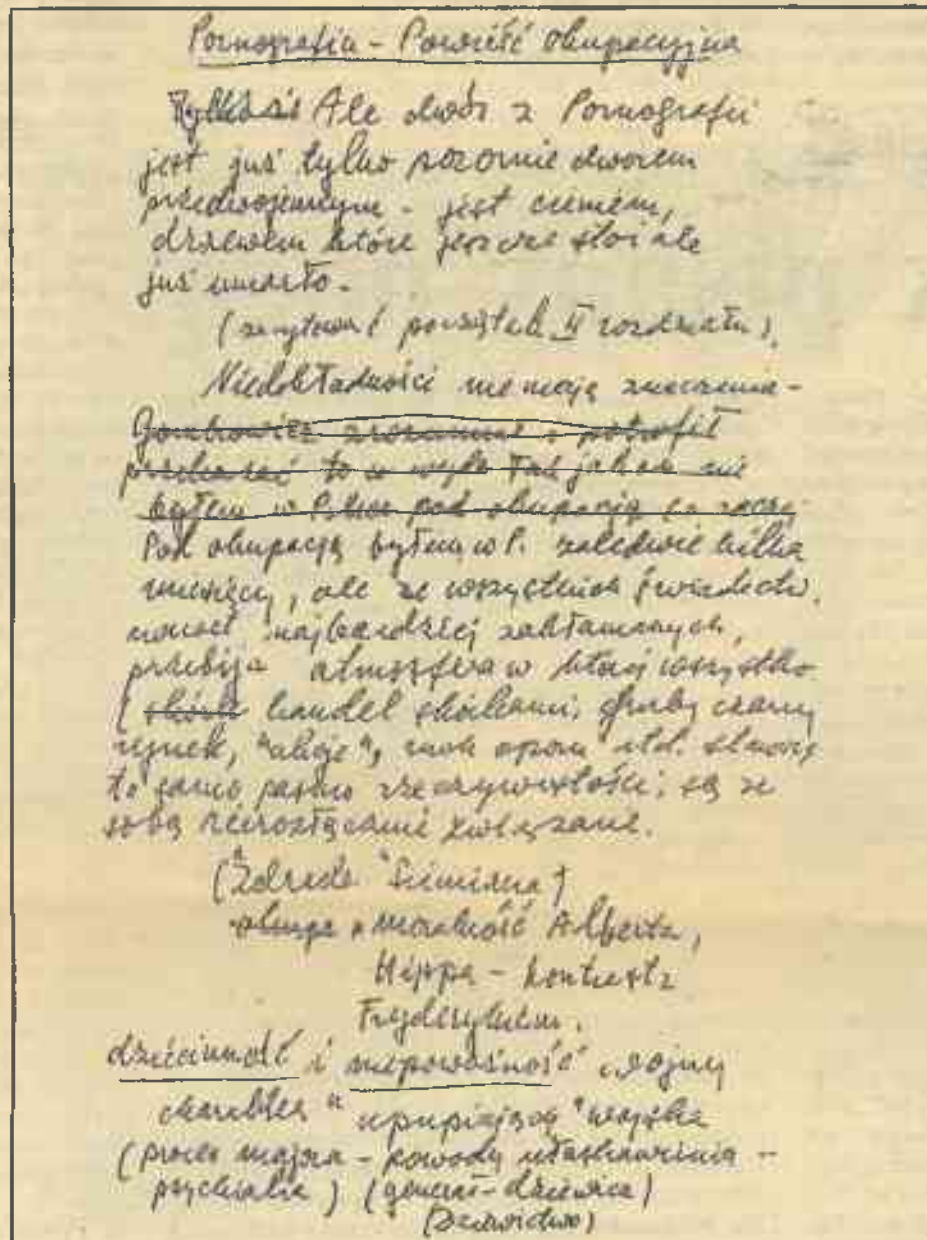
Ale dwór z *Pornografii* jest już tylko pozornie dworem przedwojennym – jest cieniem, drzewem, które jeszcze stoi, ale już umarło.

Bukiety drzew we wdzięcznych esach floresach alejek, ogród staczał się łagodnie tam gdzie za lipami przeczuwało się tafelę stawu ukrytą – ach, zieleń w cienistej i słonecznej rosie! Gdy zaś wyszliśmy po śniadaniu na dziedziniec – dom, biały, piętrowy, z facjatkami w ujęciu świerków i tuj, ścieżek i klombów – który oszołomił jak nieskalane zjawisko z dawnego, już tak odległego, przedwojnia... i w swej dawności nie naruszonej zdawał się być prawdziwszy od teraźniejszości... a jednocześnie świadomości, że to nieprawda, że on klóci się z rzeczywistością, czyniła go czymś w rodzaju teatralnej dekoracji... więc w końcu ten dom, park, niebo i pola stały się zarazem teatrem i prawdą. [...]

Fragmety, które podajemy do druku pochodzą z datowanych na lata 1966–67 notatek K. A. Jeleńskiego do planowanej książki o Gombrowiczu. Z uporządkowanego już rękopisu wynika, że część tych notatek układa się w określoną „całość” zatytułowaną przez autora: *Osiem spojrzeń na Pornografię albo Jedno spojrzenie na Gombrowicza*. W późniejszych zapisach Jeleński przeformułował wiele z owych „spojrzeń” i w końcu pozostawił w szkicowej postaci, nie przeznaczając ich do druku. Archiwum po K. A. Jeleńskim znajduje się w bibliotece uniwersytetu Yale: *Beinecke Rare Book and Manuscript Library* zakatalogowane jako *Konstanty Jeleński Papers*. Biblioteka ta przechowuje również archiwum Aleksandra Wata, Witolda Gombrowicza i Czesława Miłosza.

W wydawnictwie Znak jest w druku tom *Szkiców* K. A. Jeleńskiego w wyborze Wojciecha Karpińskiego. Tom – złożony w wydawnictwie w 1980 roku – zawiera najważniejsze szkice i eseje Jeleńskiego, które znalazły się w *Zbiegach okoliczności* (KOS, 1981 i Instytut Literacki, 1982). Wydawnictwo Res Publica przygotowuje obszerny tom *Zbiegi okoliczności II*.

Piotr Klóczowski



jest poczucie „wykluczenia” (piekło snoba) w znakomitym opowiadaniu *Biesiada u Hrabiny Kotlubaj*, drapieżnej humoresce o esencji arystokracji. W pewnej chwili arystokratyczne towarzysztwo zapomina o istnieniu zagrożonego narratora:

negligeable – o »Alice« i jej chimerach, o »Gabie« i o »Bubie«, o księżnej »Mary«, o jakichś »Bazantach«, o tym, że ten jest niemożliwy, a owa jest *impossible*. Opowiadali anegdoty i ploteczki w dwóch słowach, w wyższym języku, za pomocą wyrażań, jak »oszalała«, »fantastyczne«, »niephawdopodobne«, »ghoteska«, a nawet stosując gęsto przekleństwa gminne, jak »psiak-hew« i »choleha«, aż zdawało się, że tego rodzaju rozmowa jest szczytem możliwości ludzkich, a ja z moim Pięk-nem, człowieczeństwem i wszystkimi tematami myślącej trzciny, nie wiadomo jakim cudem zniweczony i odsunięty na bok jak sprzęt bezużyteczny, nie miałem z czym ust otworzyć”.

Ale oczywiście cierpienie snoba jest tylko jedną z możliwych reakcji na to poczucie wykluczenia; skostniałe formy, mogą pobudzać do agresji równie dobrze jak do zachwyty. Zachwyty jest u Gombrowicza zaopatrzony w cudzo-słów humoru i ironii (jest agresją w przebraniu), czysta agresja stoi u podstaw jego dzieła. [...]



Dworek w Rybienku

Neapol, 1 września 1990

Antoni Dudek i Grzegorz Pytel napisali dobrą książkę o Bolesławie Piaseckim. Ich „próba biografii politycznej” jest sumienna, obiektywna, oparta na bogatym materiale, może chwilami zanadto drobiazgową, chociaż ta pedantyczność ma sens o tyle, że pozwala mi sprowadzić na ziemię, ukazać pustkę i nędzę jednej z głośniejszych polskich legend politycznych. Bo jakaż konkluzja przeszło trzydziestostronicowej biografii politycznej Piaseckiego? Że „wielki talent polityczny” (zdaniem Kisielewskiego), człowiek urodzony „z genami przywódcy Narodu” (zdaniem J.J. Lipskiego) przegrał po kolei wszystkie swoje gry polityczne: przed wojną z sanacją, potem z Niemcami, z Rosjanami, z komunistami, z Kościołem. Włodzimierz Sznarbachowski, jeden z głównych w książce „świadków historii”, w epoce oenerowskiej bliski współpracownik Piaseckiego, dziś pepesowiec i serdeczny mój przyjaciel, dokładnie to samo mi powiedział w rozmowie o biografii politycznej swego dawnego Wodza: politycznie nic mu się nie udało, porażka za porażką, zdarzało mu się to

tygodni potem był Radom i Ursus, zaczęło się preludium do Gdańska. Tego tropiciel cudzej naiwności nie przewidział.

Przy sposobności dodam, że pogląd zbliżony do poglądu Adama głosił od lat uporeczywie Jerzy Giedroyc, co Kisielewski doprowadzało do białej gorączki i głupawych uszczypliwości (które później uczciwie odszczekał). A skoro już o tym piszę, przypomnę że byłem świadkiem (i uczestnikiem) dyskusji Jerzego z profesorem Lipińskim, który również z ogromną irytacją próbował nam wybić z głowy „liczenie na robotników”, opisując ich jako zbrutalizowanych podludzi. Trudno się nie uśmiechnąć na myśl, że został później animatorem i bodaj przewodniczącym KOR i z dumą podkreślał przy byle okazji swoją półwiekową przeszłość socjalistyczną. No ale to są wspomnienia z okresu, gdy w warszawskich salonach panowała moda wyrażania się o robotnikach per „robole”.

Maisons-Laffitte, 15 września

W doskonałym tekście Smeczka w ostatniej „Kulturze” zdanie: „Cały ten kraj (Polska) jest dzieckiem nie kocha-

prydenckim”. Dlaczego u prymasa? Kościół wystąpił słusznie jako mediator, gdy naprzeciw siebie stały władza komunistyczna i opozycja demokratyczna. Ale obecnie? Mediacja między odnogami nowego, postkomunistycznego *Establishmentu*? Z jakiego tytułu? Jan Paweł II zawdzięcza część swojej popularności we Włoszech takiemu profilowi pontyfikatu, który doprowadził – mówiąc językiem znawców przedmiotu (Spadolini) – do „poszerzenia Tybru”, czyli zdecydowanego przekreślenia tradycji wtrącania się Stolicy Apostolskiej do polityki włoskiej. Przez lata włoska chadecja wisiała na kłamce Spiszowej Bramy, każdy desygnat na premiera pędził najpierw do papieża, po tamtej stronie Tybru uzyskiwało się (albo nie) błogosławieństwo na drogę. Tradycję „wąskiego Tybru” przełamał już Jan XXIII, lecz odrzucił ją całkowicie dopiero Jan Paweł II. Podejrzewam że jego przyjaźń z socjalistycznym prezydentem republiki Pertinim miała, prócz wzajemnej ludzkiej sympatii, uprzytomnić włoskim chadekom, że skończyła się epoka kościelnej kurateli i protekcji politycznej. Bierze ochota zapytać, czemu ta sama mądra zasada okazuje się niewskazana wobec Polaków.

Przenieśmy się na teren kulturalny. Gastronomiczny *Kinderbal* u Wierzyńka w Krakowie urządził dla swych młodocianych admiratorów Czesław Miłosz (w asyście Jana Błońskiego). O dziwo! myśleliśmy że jest już dawno po chorobie, a tymczasem świetne potrawy (obficie zakrapiane, mam nadzieję) spowodowały nagłe u autora *Zniewolonego umysłu* rezydwyw starzych, podskórnych ciągot marksistowskich. W młodych umysłach uczestników uczyły u Wierzyńka, nietkniętych dramatycznym i diamentycznym zniewoleniem powojennym, zapanował pewnie zamęt. „Poprzez komunizm – zapewnił ich Miłosz – Polska znalazła się po raz pierwszy w orbicie myśli europejskiej, na zle czy dobre... Łatwość, z jaką marksizm w ujęciu Moskwy podbił umysły w Polsce, w dużym stopniu tłumaczy się tym, że oni nie umieli się opierać, nie mieli przygotowania. To trafiło na prawie dziewiczy grunt”. (A podbił – dodam od siebie – w ten sposób umysły, że Ważyk po 1956 roku powtarzał, w rozmowie z Silonem, co dwa zdania: „Kiedy byłem komunistą, czyli człowiekiem chorym umysłowo”. Wat był zachwycony formułą Ważyka, Sione wyszedł z tej rozmowy obrzydzony). Dalej Miłosz: „Komunizm czy marksizm dawał szansę”. No bo przecież bez magla komunizmu czy marksizmu nie mielibyśmy – zgroza pomyśleć! – Kołakowskiego, nie wiadomo jakie wiersze pisały Różewicz. „Mnie się wydaje, że wy, to znaczy młode pokolenie, nie zdajecie sobie sprawy, jaką siłą miał stalinizm. Intelektualną siłą. Fantastyczną”. W końcu jednak Miłosz, uprzytomniwszy sobie może że posunął się trochę za daleko w oglupianiu młodego pokolenia, wprowadził – dzięki Bogu – do *Kinderbalu* u Wierzyńka ton rodzicielski: „Ja moim studentom amerykańskim często mówię, że jestem reakcjonistą, bo wierzę że istnieje zło i dobro”. I po co to wszystko? Po to, żeby jeszcze raz wziąć w obronę czasy „zniewolonych umysłów” przed okrzykiem Spinozy: „Do jakich szaleństw zmusza ludzi strach!”.

W Polsce nie dzieciennie (lub ściślej: nie dzieciennie) Herbert nie napisałby sążnistego listu otwartego do Barańczaka, dotknięty polonistycznym „odkryciem” Łapińskiego (rzecz zupełnie bez znaczenia w twórczości Herberta), oraz zarzutem Barańczaka (powtórzonym przez Pawlaka), że był „niesprawiedliwy” w wywiadzie udzielonym Trznadłowi. Niesprawiedliwy! Barańczak ma, jak z tego widać, szczególnie – infantylnie bałamutny – obraz „okresu minionego”. Można o sprawach poruszonych przez Trznadła nie mówić, w imię nie rozjątrzenia podgojonych ran, ale jeśli się chce mówić – jak chciał mówić Herbert po latach milczenia – to przymiotnik „niesprawiedliwy” jest tu po prostu głupstwem. Odnaleziono niedawno tekst Pawła Jasienicy z lipca 1956. „Najgorsza bieda w tym – pisał Jasienica tuż przed Październikiem – że prosty, szeregowy Polak mówił o rozmaitych sprawach o wiele szczerzej i uczciwiej niż wielu... inżynierów dusz ludzkich. Trzeba dogonić własny naród, napisałem w „Po prostu” jesienią zeszłego roku (a więc przed XX Zjazdem) i słowa te uważam za ciągle aktualny i zdrowy program pisarski”. Nasi „inżynierowie dusz ludzkich” zdołali już dziś co prawda dogonić własny naród, ale wciąż po kryjomu wzdychają w krótkich spodenkach do swojej dorosłej przeszłości „inżynierskiej”.

20 września

Pożyteczna *Mała encyklopedia totalizmu* Jana Józefa Szczepańskiego zyskałaby wiele na wprowadzeniu, i to na czołowym miejscu, hasła „Strach”. Jeden z filarów totalitaryzmu, niezależnie od jego barwy, tak istotny w całej budowlu, że bez niego rozlega się natychmiast trzeszczenie. Chwył, którego Wodzowie nauczyli się od Machiawela. Niczym zdanie wyjęte z *Księcia* brzmi

Gustaw Herling-Grudziński

Dziennik pisany nocą

i owo zrzęcznie załatwić czy wyrwać, ale jego „plany”, jego słynne „dalekosiężne plany”, rozsypywały się jeden po drugim jak domki z kart. Dlaczego? Kisiel twierdzi w swoim *Abecadzie*, że „wielki talent polityczny trafił na złe rozdane karty”. Innymi słowy, nałogowy gracz nieustannie pcha się do każdej gry politycznej, a przekorny Los wciąż źle rozdaje karty polityczne. Na czym więc polegał „wielki talent polityczny” Piaseckiego? Kisiel wielokrotnie opowiadał mi z zachwytem historię, którą teraz powtarza w *Abecadzie*: wypił mianowicie bruderszaft z Piaseckim i „Bolcio” dla przypiecztowania uroczystego aktu szepnął mu na ucho złotą i ściśle tajną myśl: „Słuchaj, bolszewicy stąd nigdy nie wyjdą, więc wiesz... resztę sobie dośpiewaj”. Nasz czołowy geopolityk dośpiewywał sobie latami ową resztę, a dziś pewnie ochrypl i nie jest już może tak święcie przekonany o „wielkim talencie politycznym” Piaseckiego. Autorzy biografii politycznej Piaseckiego piszą: „Nie wiemy, jak udało mu się przekonać generała Sierowa, ale określenie tego ostatniego genialny małczuk w odniesieniu do osoby przedwojennego kierownika ONR mówi właściwie wszystko. Nie na darmo jeden z ludzi oczarowanych osobą Piaseckiego napisał o nim, że jego wielkość polegała na umiejętności wydobywania z siebie największych sił w chwili, która wydaje się klęską”. Tym „człowiekiem oczarowanym osobą Piaseckiego” był Dobraczyński. Od niego słyszałem tuż po wojnie w Rzymie trochę inną wersję rozmowy Sierow-Piasecki. Wysłuchawszy cierpliwie Piaseckiego, Sierow zanotował na aktach jego sprawy: „Błądzi, ale można wykorzystać”. Wydaje się to bliższe i prawdy i zawodowej deformacji rozmówcy sowieckiego niż genialny małczuk.

W ogóle oceny polityczne są w *Abecadzie* Kisielewskiego osobliwe, żeby nie powiedzieć coś bardziej niegrzeczne o zasłużonym ogromnie felietonście. Hasło poświęcone Adamowi Ciołkoszowi zaczyna się tak: „Najpocześniejszy człowiek Świata i najbardziej naiwny, jaki chyba istniał”. Polityczny wyga, wystawiający innym takie właśnie stopnie na cenzurkach, nigdy zdaje się nie pomyślał, że sam mógłby uchodzić za żywy okaz naiwności. Adam Ciołkosz opowiadał mi o swojej przygodzie (trudno to inaczej nazwać) z Kisielem w Londynie w roku 1976. Znakomity gość z Warszawy miał wtedy w „Ognisku” odczyt o perspektywach i walorach „finlandyzacji” (to był jego ówczesny konik czy gwóźdź w mózgu). W dyskusji zabrał głos Adam i powiedział m.in. (plus minus) co następuje: „Obecnego systemu rządzenia nie da się poprawić. Jest śmiertelnie chory, nie da go się uleczyć, trzeba go w całości usunąć i zniszczyć jego polityczną nadbudowę. Kto to może uczynić? Mogą to uczynić tylko robotnicy, nie dlatego że są ludźmi ulepionymi z lepszej gliny, lecz dlatego że warunki bytu zmuszają ich do solidarności i walki”. Nazajutrz Kisielewski był u Ciołkoszów na kolacji. W pewnej chwili powiedział (znowu plus minus) tak: „Kochany Panie Adamie, Pan wie jak w Polsce Pana szanujemy i cenimy, ale z tymi robotnikami to się Pan gruntownie myli. To nie są robotnicy, jakich pan znał i pamięta, to są ludzie ze wsi i na nich liczyć nie można”. Adam usiłował mi uprzytomnić, że i dawni robotnicy pochodzili ze wsi, ale na próżno. Uparty Kisiel obstawał przy swoim. W kilka

nym przez historię”. A więc nie tylko ja zauważyłem ostatnio narodziny infantylizmu czy raczej „ferdydurkizmu” polskiego, zapędzenia (przez kogo? przez co?) w dzieciństwo, w niedorosłość, przy pozorach wielkiej dojrzałości, rozważności nasyconej doświadczeniem. Dzieci brodate o starych, zmęczonych i rozbieganych, oczach. Można podać kilka przykładów tej dziecinady na różnych polach. Psychologicznie zrozumiała, i w pewnym stopniu wytłumaczalna, ucieczka od słowa „partia” wywołuje pogoń za rozmaitymi „centrami”, „sojuszami”, „roadami” (z angielska), „forami”, ruchami, byle tylko uniknąć słowa, któremu komuniści nadali złowrogą wydmę. Ale ta dziecinna zabawa w substytucję jest marnowaniem, stratą czasu: wielopartyjność (nie mówiąc o „partyjnictwie”), ma wszelkie możliwe wady i jedną istotną zaletę – nikt dotąd nie wymyślił i prawdopodobnie nie wymyśli, lepszego sposobu funkcjonowania demokracji. Więc albo-albo, albo się tej demokracji naprawdę chce, albo traktuje się ją jak obowiązkowy *lip-service* nad grobem komunizmu. Z chwilą zakończenia Okrągłego Stołu było jasne, że Czapka Solidarności z orzełkiem w koronie, z piórkami i z wizerunkiem Matki Boskiej Jasnogórskiej jest za ciasna na wszystkie pchające się pod nią głowy. Już wtedy należało tworzyć konkretne opcje polityczne, zamiast podtrzymywania na siłę i za wszelką cenę złudnego Monolitu Narodowego. Pamiętam dwie rozmowy w kwietniu 1989, z Michnikiem w Cortonie i z Geremkiem w Rzymie. Wydawało mi się naturalne, że ludzie o inklinacjach lewicowych pomogą J.J. Lipskiemu w odbudowaniu PPS (historyczna formacja Piłsudskiego, Jodki, Perła, Daszyńskiego, Niedziałkowskiego, Pużaka, Arciszewskiego, Ciołkoszów była jedynym lewicowym składnikiem postkomunistycznej demokracji, który nie kłębły Polaków w oczy słowami „partia” i „socjalizm”). Michnik oświadczył krótko że to niemożliwe, roztrząsając uroki i korzyści narodowej Jedności pod wodzą Wałęsy (w którym był zakochany). Geremek, dla uprzytomnienia mi dlaczego niemożliwe, objaśnił że w radomskim okręgu wyborczym Lipski, aby być wybranym do Senatu, musi występować w barwach Solidarności, a nie – uchowaj Boże – jako przywódca PPS. Dzisiaj... Dzisiaj obaj panowie „lewicowcy”, dla których zabrakło miejsca pod ciasną Czapką, powinni przeczytać to, co świeżo napisał rozsądny „prawicowiec” Wasiutyński: „To straszne złudzenie, że zamiast partii mogą być jakieś pospolite ruszenia, jakieś święte ligi, bezpartyjne bloki, bezgraniczne koalicje. To wszystko są złudzenia, może marzenia, może obłudne życzenia. Prawda jest prosta i niestety trudna do zauważenia. Alternatywą partii są kliki”. „Kliczki”, chciałoby się powiedzieć zdrobniale, małe mafijki lub sitewki Chłopców z Placu Broni.

Okrągły Stół, ów Mebel dokładnie opisany przez Konstantego Geberta, wciąż jeszcze osnutą pajęczyną „tajnej dyplomacji”, odegrał gorzej czy lepiej swoją rolę i przestał być – jak wolno było ufać – modelem na przyszłość. Skądże znowu! Zabawa w Okrągły Stół zasmakowała starym koniom przemienionym w Młodziaków. Czytam, że po wizycie Wałęsy w Castel Gandolfo odbędzie się „mały Okrągły Stół” u prymasa Glempa z udziałem stron poważniejszych w „kryzysie

przypisywana Stalinowi odpowiedź na pytanie, czy woli ludzi posłusznych mu z pobudek ideowych, czy ze strachu: „Ze strachu, bo pobudki ideowe przemijają, a strach trwa wiecznie”. Nawet u totalitarystów niższego autoramentu, jak Mussolini i Franco, szerzenie strachu jest zabiegiem wstępnym. I to strachu szczególnie, aż nazbyt dotykającego a jednocześnie nieuchwytnego, „kapryśnego” i przez to paraliżującego. Z faszyzmem włoskim związana jest *La Grande Paura*, Wielki Strach wybitny przez Strykowskiemu w tytule powieści o podsowieckim Lwowie (powieści zresztą lichej, najslabszej w twórczości tego pisarza, jakby po tylu latach autor bał się wciąż pisać otwarcie o bojaźni). Pamiętam drobny i blady pozornie epizod z Hiszpanii pod rządami Caudillo. Tuż przed wyjazdem do Hiszpanii przeczytałem w prasie wiadomość o samobójstwie lub zabójstwie komunisty hiszpańskiego Grima w więzieniu pod Burgos. Postanowiłem to więzienie zobaczyć. Żadna taksówka nie chciała mnie tam zawieźć, wreszcie jeden zofer dał się skusić dobrą zapłatą, ale pod warunkiem, że nie każe mu się przed więzieniem zatrzymać, że zatoczy tylko koło na placu przed nim i natychmiast wróci do miasta.

Strach jest uczuciem upokarzającym, toteż wystraszeni lub zastraszeni lubią go przystrajać rozmaitymi esami floresami „filozoficznymi”. Ale przynosi to nikle i przelotne korzyści, strach ma upodobanie do bezwstydnego nagości.

25 września

List do przywódców Związku Sowieckiego Solżenicyna, datowany 5 września 1973, czytano na Zachodzie (ukazał się w największych pismach europejskich i amerykańskich) z delikatnym uśmiechem. Ale czego? Nie udało mi się nigdy ustalić jednoznacznie czego. Prawdopodobnie z uśmiechem, który łączył sympatię (niekiedy podziw) z ironią zaprawioną politowaniem. Choć było już wówczas oczywiste jakiego formatu pisarzem i człowiekiem jest Solżenicyn, dla wielu rady udzielane Kremlowi robiły w jego ustach wrażenie megalomanii: jak gdyby nowoczesny Dawid, bezbronny prorok, usiłował przemówić do rozsądku potężnemu Goliatowi w ciężkiej zbroi. Szybko też, zwłaszcza w kotach umiarkowanej nawet lewicy, przylepiono Solżenicynowi po jego *Liście* etykietkę staroświeckiego reakcjonisty, rosyjskiego nacjonalisty i cerkiewnego kaznodziei.

Wielki tygodnik rzymski „L'Espresso” zaprosił mnie wtedy do udziału w dyskusji, a raczej w dialogu, na temat *Listu*. Moim rozmówcą był Lucio Colletti, profesor filozofii na Uniwersytecie Rzymskim, badacz Hegla, inteligentny znawca marksizmu i problematyki komunistycznej, umysł błyskotliwy. Także u niego zauważyłem ten dziwny uśmiešek. Przy całym uznaniu dla Solżenicyna, przy niezmiernie krytycznym stosunku do ZSRR i komunizmu, zdawał się widzieć w *Liście* donkiszoterię, „nieadekwatną” w stosunku do siły zaatakowanego Systemu.

Upłynęło siedemnaście lat od napisania i opublikowania *Listu*. Reakcja na Zachodzie uprzytomniła mi, jak mało wiedzano o ZSRR, o wzbierającym w nim kryzysie, jak bardzo wierzono (niezależnie od własnych poglądów politycznych) w stabilność ustroju sowieckiego, w ostateczne uformowanie „człowieka sowieckiego”, *homo sovieticus*. Sacharow polemizował co prawda z *Listem*, według mnie na ogół trafnie, ale nie miał wątpliwości, że Solżenicyn dobrze wie o raku toczącym państwo Lenina i Stalina. Sacharow zarzucał Solżenicynowi przecenianie roli ideologii w ZSRR (pisał, że „współczesne społeczeństwo sowieckie opanowane jest ideologicznym indyferentyzmem i pragmatycznym wykorzystywaniem ideologii jako wygodnej fasady”), oraz nadmierny opór wobec niepowstrzymanej industrializacji i urbanizacji. Podkreślał „utopijność” Solżenicynowskiego planu kuczacji raka. Odpowiadając Sacharowowi, autor *Listu* nie powstrzymał się od okrzyku: „W naszej sytuacji bez wyjścia jakże czasem i utopii nie poprobować?”.

Napisana w lipcu 1990 i wydana w tych dniach broszura Solżenicyna, także przelożona natychmiast na wiele języków, nosi tytuł *Kak nam obustroit Rossiju?* i jest współczesnym odpowiednikiem *Listu* sprzed siedemnastu lat, choć nie zwraca się do obecnych przywódców ZSRR. Solżenicyn ma dziś ułatwione zadanie: przemawia do przekonanych, na twarzach jego zachodnich słuchaczy miejsce delikatnego, ironicznego uśmiešku

zajął cień zgrozy w oczach; jaki jest koń (czyli Związek Sowiecki), każdy nareszcie widzi; co będzie (pytanie szczególnie częste na Zachodzie), gdy ostatnie imperium na świecie albo zawali się w procesie stopniowego rozkładu, albo w przedśmiertnych drgawkach zdoła jeszcze wyłonić, drogą przewrotu wojskowego, agresywną i awanturniczą dyktaturę?

Jest rzeczą paradoksalną, że rosyjski Dawid chce teraz podtrzymać sianiającego się na nogach sowieckiego Goliata. W obawie przed anarchią, powtórzeniem roku 1917, „coś niecoś w obecnym państwowym ustroju należy chwilowo zachować po prostu dlatego, że już istnieje”. Ale, rzecz jasna, więcej niż „zachować” trzeba odrzucić. Solżenicyn zaleca, w ramach postulatu „samoo graniczenia”, pozbycie się jedenastu republik sowieckich; apeluje, tylko apeluje, do Ukrainy i Białorusi, by pozostały w związku z Rosją. Nie stroni od sugestii politycznych, przede wszystkim jednak występuje jako moralista. „Życie polityczne nie jest wcale głównym przejawem życia człowieka, polityka nie jest bynajmniej upragnionym zajęciem dla większości ludzi. Im bardziej rozbuchane w kraju życie polityczne, tym więcej ponosi strat życie duchowe. Polityka nie powinna dławić duchowych sił i twórczego tchnienia narodu”.



HENRYK WANIEK

Prawdopodobnie zawodowi politycy wruszą tu ramionami i załamują ręce nad „naiwnością” Solżenicyna. Ja uważam moralistyczne rozważania Solżenicyna za najcenniejsze w broszurze. Być może w nowoczesnych, przemyślowych społeczeństwach masowych jest już za późno na wrażliwość i mądrość tego typu, lecz musimy przynajmniej wiedzieć ku czemu idziemy i co nam grozi, aby spróbować ocalić godność życia zrzeszonego. Solżenicyn nadzwyczaj trafnie głosi pochwałę „demokracji małych przestrzeni”, słusznie przywiązuje ogromną wagę do prowincji i samorządów najniższego szczebla, rozumie wychowawczą potrzebę bezpośredniego udziału człowieka w rozwoju niewielkich, społecznie i moralnie zwartych wspólnot. Powołuje się przy tym na stare wzory rosyjskie, nie ukrywając równocześnie jak dużo dał mu pobyt w Szwajcarii, w kantonie Appenzell. Znamienna rzecz: na emigracji w Szwajcarii utrwaliła się w Silonem niechęć (żeby nie powiedzieć więcej) do rozdętych nad wszelką miarę, przenikniętych anonimowością, organizmów społecznych i aparatów partyjnych, w imię rzeczywistego uczestnictwa obywatela w demokracji żywej i autentycznej, a nie tylko wypisanej na sztandarach i zredukowanej do przedstawicielstwa parlamentarnego (często formalnego).

27 września

W wieku osiemdziesięciu dwóch lat umarł Alberto Moravia, nie doczekawszy się Nagrody Nobla. Nie znaczy to, że czekał na nią, jakkolwiek był od dawna wymieniany co roku wśród najpoważniejszych kandydatów. Pokiwał raczej z noblistów, zdaje się że za

większy tytuł do dumy uważał posłowanie do Parlamentu Europejskiego. Pisanie traktował niemal jak pracę biurową, dzień w dzień od wczesnego rana do południa przy maszynie, nawet gdy twórcza wena tętniła słabo, i rok w rok nowa książka, nie licząc współpracy z prasą. Lubił podróżować i był niekiedy, w reportażach i listach z podróży, ciekawszy niż w powieściach i opowiadaniach. Wszelkoniemnie czytany, w życiu osobistym zachłanny, w poglądach politycznych dość cyniczny (jak większość Włochów) chciał być ciągle na widoku publicznym, nie znośił pauz w cieniu. Ostatnio – co było czasem trudne do zniesienia – uczynił z metaseksu alfę i omegę wszechświata; podejrzewam, że w ten sposób zamierzał dotrzymać kroku młodym, nie dać się wypchnąć poza nawias „nowoczesności”. Jego pierwszą żoną Elsa Morante, autorka cudownej *Wyspy Artura*, stała się pisarką o wiele od niego większą.

Czy był pisarzem wybitnym, lub choćby znaczącym? Nie jestem tego pewien. Jego ogromny dorobek zapewnił mu sławę pierwszego pisarza współczesnych Włoch, według mnie niezbyt zasłużoną. Z biegiem lat udoskonalił swoje *metier*, rzecz dla pisarza niebezpieczna, jeśli jest tylko sprawnością techniczną. Zwykło się mówić „Moravia dobrze pisze”, co jest dwuznaczną pochwałą. Kiedyś, z należytej perspektywy, okaże się moim zdaniem, że z długiej listy jego książek ocaleją naprawdę tylko dwie: pierwsza, preegzystencjalna powieść *Gli Indifferenti*, którą napisał w dwudziestym roku życia, przykuty do łóżka paraliżem dziecięcym: wyborny obraz bogatego mieszczaństwa rzymskiego w latach faszyzmu, oraz *Agostino*, krótka powieść o miłości rozbudzonego podczas wakacji nad morzem chłopca do własnej matki. Obie mają wyraźny podkład autobiograficzny.

W jednym trzeba mu oddać sprawiedliwość, „czuń” Rzym jak mało który z pisarzy włoskich, mimo że go nie lubił. Jego *Nowele rzymskie* nie zawsze uderzały pomysłami, rysunkiem postaci i sytuacjami – przeciwnie, nieraz zdumiewały banalnością u pisarza tak kulturalnego i wytrawnego – ale zawsze przynosiły odprysk Rzymu oglądanego z niezrównanym znawstwem i z kryształową jasnością: rzymskie obyczaje, rzymska mentalność, rzymskie odcienie społeczne, pejzaż miasta, zmienne kolory powietrza, nieba i kamienic, brudny ściek Tybru, atmosfera „eleganckich” placów, ulic i ogrodów, bujne bogactwo ludzkie ubogich uliczek. *La Romana*, powieść o prostytutce rzymskiej, tylko temu zawdzięcza swoją sugestywność.

Wiele szkody wyrządziły Moravii filmowe wersje jego powieści, spłaszczając dodatkowo wszystko co w nich płaskie, spływając dodatkowo wszystko co w nich płytkie. Jedyna może *La Ciocciara*, wojenna historia z okolic Monte Cassino płażowanych i tratowanych przez oddziały marokańskie, budzi jednakowe wzruszenie w lekturze i na ekranie.

Przyjemne u Moravii było to, że nie obnosił się ze swoją sławą, nie „pontyfikował”, miał niewyczerpaną ciekawość świata, życia i ludzi, sam przymrużywszy oko śmiał się ze swojej słabości, umiał bez cienia zawiści podziwiać pisarstwo swoich młodszych kolegów. Był nieodłączną częścią Rzymu, z tym swoim długim krokiem wyrzucanej do przodu bezwładnej nogi.

29 września

Dużą rolę w mojej *Wieży* odgrywa Pielgrzym Świętokrzyski z okolic Nowej Słupi. Mam w neapolitańskim pokoju na ścianie dwie dawne fotografie Pielgrzyma, które przysłał mi ktoś anonimowy z Kraju wkrótce po ukazaniu się *Wieży* w „Kulturze”. Podkreśliłem słowo „dawne”, bo jak widzę z nowych albumów Rejonu Świętokrzyskiego figura kamiennego Pielgrzyma została dziś ogrodzona, podmurowana i schowana pod oszkiem ochronnym – pomysł tyleż irytujący, co po prostu śmieszny.

W ostatniej „Twórczości” Rafał Węgrzyniak wydrukował notę *Pielgrzym*, sprowokowaną przez moje opowiadanie. Autor noty podaje moją wersję legendy o Pielgrzymie Świętokrzyskim, podkreśla ścisłość jego opisu figury, lecz zaznacza że legendy nie przytoczyłem „dosłownie”, poddałem ją „istotnej rewizji”, rozumiejąc zresztą dlaczego: artystycznie tylko moja prywatna, zmyślona po części wersja legendy pasuje do opowiadania, pozostałe czyste „oficjalne” (odtworzone przez Węgrzyniaka) nie miałyby z nim wiele wspólnego. Chodzi jednak

ciąg dalszy na s. 19

TYGODNIK
LITERACKI 15

Na marginesach Domu Radziwiłłów

STANISŁAW MACKIEWICZ, *Dom Radziwiłłów*, Czytelnik 1990.

W dwadzieścia lat po śmierci byłego redaktora „Słowa” odnalazł się rękopis jego ostatniej książki. Ostatniej, bo więcej przecież nie napisze. Krążyła ta książka między Monachium a Warszawą tam i z powrotem. W Warszawie padła ofiarą bezpieczniejszej rewizji, lub – jak chcą inne wersje – kradzieży. W bawarskiej oficynie Pipererlag zatonała w biurokratycznym bagienku gdzieś między wydawcą a tłumaczem. Zupełnie jak czystocowa duszyczka, która musi się trochę powałęsać, zanim dostąpi zbawienia przez druk. Ale w końcu znalazła się i jest, wydana trudem „Czytelnika”.

Do czytelnika więc w końcu trafiła. Do wydawcy niemieckiego zaś trafiła, bo taka była polityczno-genealogiczna koniunktura: Siostra żony Johna F. Kennedy’ego Jacqueline (secundo voto – Onassis), Lee Bouvier, wyszła za Stanisława Radziwiłła. Polski książę stał się więc szwagrem Prezydenta Stanów Zjednoczonych. To powinowactwo przywiodło zresztą wdowę po Prezydencie do Warszawy, gdzie w kościele św. Bonifacego na Czerniakowie oddawała ostatnią posługę Januszowi Radziwiłłowi, który był ojcem jej szwagra. W październikowy dzień 1967 roku była Pierwsza Dama musiała się salwować ucieczką tramwajem z placu Bernardyńskiego. Lud Czerniakowa i Sadyby wykazał bowiem podobne zainteresowanie Radziwiłłowskimi koligacjami jak Cat i niedawnej gospodyni Białego Domu omaal nie zatratował.

Dom Radziwiłłów – tak brzmi tytuł odnalezionej książki Cata. Brzmi dumnie. Dom to przecież dom panujący, rodzina królewska. Cat miał dwa febliki, z których do końca życia się nie uleczył. Primo – idea monarchiczna; secundo – fascynacja rodziną Radziwiłłów. Tu połączyły się oba. Tak jak u jednego z członków tej rodziny, który – co zaświadczają pamiętniki – pokazując portret jakiegoś purpurata miał mówić: oto papież Radziwiłł. Gdy zwracano uwagę, że na tronie Piotrowym nikt taki nie zasiadał, odrzekł dumnie: „un cardinal et un Radziwiłł c’est plus que un pape”. Podobnie Cat.

Ma ten wspaniały publicysta swe bardzo silne nienawiści i fascynacje. Nie przypadkiem przyjął pseudonim od Kiplingowskiego kota, który zawsze chadza własnymi drogami. Mi-

mo iż wiedziałem o tym, zawsze czytałem Cata przez „C”. Może dlatego, że należałem do ostatniej generacji ludzi, którzy najpierw coś słyszeli czy czytali, a dopiero potem dowiadawali się, jaka jest prawidłowa lekcja. Hurchil i Hicigo, to były popularne błędy. Ci, co przyszli po nas, nie są już z galaktyki Gutenberga, lecz – z globalnej wioski. Ale to temat – jak mawiał twórca kota, którego Mackiewicz przyszejsował sobie do nazwiska – na zupełnie inne opowiadanie.

Fascynacje pozwalają Catowi kochać i nienawidzić. Pozwalają mu być pełnokrwistym publicystą, pisać soczyście i ciekawie. Nie pozwalają mu być historykiem, sądzić sine ira et studio. Jego wyroki są zawsze stronnicze i w tym tkwi ich siła. Idealem historyka był dla niego Długosz. Pisz o nim: „Długosz opisuje nam szczegółowo ceremonii ślubnej, począwszy od treści kazania biskupiego, a skończywszy na weselu wspaniałym. Jego opowiadanie, jak zawsze, jest dokładne, precyzyjne, bardzo interesujące. Ale... niestety dziś już wiemy, że cały ten ślub Karola IV z wnuczką Kazimierza miał miejsce nie w Krakowie, lecz Pradze Czeskiej. Długosz-historyk się pomylił. Wiedział, że w określonym czasie liczni monarchowie z Karolem IV na czele odwiedzili Kraków i że wnuczka króla polskiego wyszła za mąż za cesarza, i Długosz-powieściopisarz, Długosz-fantasta podszepiał mu te wszystkie szczegóły. W ten sposób kronika Długosza, dotycząca 1363 roku, traci na walorze świadectwa historycznego, ale nie traci swych wspaniałych wartości literackich.”

Ba, wartości literackie, to jest dlań właśnie ten talent, który powinien posiadać historyk. Nie nosa do archiwistyki i nie zmyśl krytykowania źródeł. On musi swoją historię dobrze opowiedzieć. Jeśli historia ma być mistrzynią życia, a ludzie przeważnie zgadzają się, że taki jest sens pamiętania dziejów, to – na Boga – nie może być nudna. I Cat robi wszystko, aby nie była. Opowiada nam ją z Klio na kolanach. To jest historia poklepywana po zadku. A może zadek ma kształtny, to czyta się miło. „Panegiryk i paszkwil – oto dwa reflektory, którymi macamy ciemność nocy, pokrywającej rzecz bardziej nieznaną i niezrozumiałą niż wnętrza Afryki, bo obyczajowość pokoleń, które umarły...”

A teraz Klio, zejź z moich kolan. Jesteś muzą, boginią, a przecież jesteś także kobietą, a kobieta – zbyt długo siedząca na kolanach

– popycha człowieka do czynów nierozważnych, i boję się, że jak siedzieć będziesz zbyt długo, to nie będę mógł pisać...”

Cat nie pisze historii. On ją wyrąbuje. Tylko uczucie nienawiści złączone z silnym uczuciem zawzięci mogło się złożyć na taką sylwetkę Churchilla, jaką naszkicował nam Cat. I w jej świetle nam się przedstawił: „Churchill nienadzwyczajnie uczył się w szkołach, co jest dość powszechne wśród ludzi o wybitnych inteligencjach. Potem zaczął pracować i upodobał sobie dwa zawody: oficera kawalerzysty i dziennikarza. Kocham swój zawód dziennikarski, który uprawiałem przez życie całe, ale z uczuciem błogości wspominał także o tym, że kiedyś byłem kawalerzystą. Te dwa zawody: kawalerzysta i dziennikarz doskonale kojarzą się ze sobą. Łączy je miłość patetycznego i efektownego boju. Dziennikarstwo jest dla mnie nieodłączne od polemiki i walki.”

Po takim wyznaniu niechaj nas nie dziwi zamilowanie do szarży, kiedy to głucho się od pędu końskiego, nie słyszy się głosów ni z tyłu, ni z przodu. Świsł powietrza odgania wszystko od uszu. Bardziej koń niż człowiek wykonuje tu czynności. Człowiek ma tylko ścisnąć kolanami koński bok, pięty skierować na zewnątrz, lekko się przygarbić i mocno dzierżyć broń – szabłę czy lancę. I szarżować. Cat miał wiele historycznych koników, które objężdżał niczym kawaleryjskie szkapę. Nie reagowały one na historyczną krytykę, jak ulański wierzchołek, nauczony ignorować nawalę artyleryjską.

W tym nierozglądaniu się na boki jest jakaś siła i metoda. Autor pisał o sobie: „Często w recenzjach o moich książkach czytam zarzut, że się powtarzam. Na ten temat chciałbym się wypowiedzieć.”

Przedo wszystkim wydaje mi się dziwne, że ten zarzut jest wypowiedziany właśnie pod moim adresem. Czyż nie powtarzają się inni? Niestety zarówno w publicystyce polskiej, jak i w krasomównie polskiej treścią główną jest powtarzanie pewnych twierdzeń w kółko i w kółko. Ogromna monotonia ciąży na tej publicystyce i krasomównie i jest zabawne, że zarzut powtarzania się stawiany jest właśnie takiemu nonkonformiście jak ja. Pozwolę się unieść dumą i odpowiedzieć, że jeśli się powtarzam, to powtarzam przynajmniej własne oryginalne myśli, a nie cudze.

Powtarzam się, ponieważ mam swoje poglądy oryginalne i uzasadniam je poprzez powoływanie się na wydarzenia historyczne. Ludzie, którzy tworzą nowe koncepcje, także zawsze jej powtarzają w nieskończoność, bo czują potrzebę wskazania na ich słuszność, przy łakiej czy innej okazji.

Poza tym mam inne powody do powtarzania się. Jestem starym dziennikarzem i trochę znam się na tym, w jaki sposób czytelnik adoptuje sobie poglądy publicysty. Profesorowie mają wspaniały sposób trafiania do pamięci swoich słuchaczy. Mianowicie egzaminy. Słuchacz, czy uczeń, nie może pominąć tego, co profesor uważa za ważne, bo dostanie dwójkę na egzaminie. Publicysta musi się chwycić innego sposobu dla wyjaśniania swoich myśli.”

Repetitio est mater studiorum. Mackiewicz się powtarza, ale nie nachalnie, powtarza się z wdziękiem, któremu daleko do nudziarstwa. Powtarza się, jakby stale chciał znajdować

wykładniki nawiązania do rozmowy z nami. To nie historyk, to gawędziarz. W pierwszej linii potomek Chodźki i Rzewuskiego. Szlachecki gawędziarz. A gawęda szlachecka prezentuje specyficzny sposób podawania przeszłości – jakbyśmy wszyscy byli z nią spowinowaceni, spokrewieni, skumotrowani. Nie mamy najmniejszej wątpliwości, że to, co mówi nam gawęda, to nasze dzieje, bliskie, rodzinne niemal. I kiedy Cat opowiada o powstaniu bokserów, lub o Loli Montez, lub też o aferze panamskiej, to mamy głębokie przeświadczenie, że to również nasza historia, że zaangażowani w nią są jacyś wujkowie i ciocie, których działania – jak to w rodzinie – i na nas mają wpływ. I to wielkie Cata osiągnięcie: kazać przyjąć czytelnikowi historię świata za własną, bliską, za rodzinną. To podstępnowany i wzywany paszport obywatela świata.

Czytałem książki Cata wówczas, gdy właśnie wychodziły, na początku lat sześćdziesiątych. Były dla mnie rewelacją. Aby to zrozumieć, trzeba sobie zdać sprawę, jaką szarą, nudną i bez wdzięku historię uprawiano w owym czasie. Tamta historia wcale się nie działa. Rządziły nią żelazne prawa diamentu, rządziły nią by osiągnąć konkretny rezultat. Legiony rzymskie zdzierają swoje sandały tylko po to, by można było wystrzelić z „Aurory” i żeby w Warszawie rządziła awangarda klasy robotniczej. Ta historia była tak szara i nudna jak jej praktyczny efekt. Szarość tę barwiły książki Cata. Pokazywały, że o historii można inaczej, ciekawiej. Można z Klio na kolanach. Można krasić swą opowieść anegdotą, można próbować wczuwać się w minione czasy, można poprzez historię dostrzegać człowieka – jego małość i jego wielkość.

Lata sześćdziesiąte to dobre czasy dla eseju historycznego. Obok Mackiewicza pisywał wtedy Jasienica. Myślę, że obaj byli z temperamentu dziennikarzami. W normalnym ustroju komentowałyby wydarzenia polityczne, kształtowali opinię, podtrzymywali lub obalali rządy. Jednak w PRL dziennikarz pełni rolę korektora, który na lepszą lub gorszą polszczyznę przekładał uchwały Biura Politycznego. Nie mógł więc mówić własnym głosem. Nawet Biuro Polityczne własnym głosem nie mówiło. Ani Cat, ani Jasienica takimi dziennikarzami być nie mogli, nie potrafili, nie chcieli. Skoro nie dano im komentować współczesności, komentowali historię. Ale z dziennikarskim temperamentem.

Dom Radziwiłłów zamierzano wydać za granicą. A był to w owym czasie akt heroizmu. W 1965 prokurator generalny Kazimierz Koszturko poinformował o „niezgodnej z prawem działalności trzech członków ZLP, a mianowicie Stanisława Cata-Mackiewicza, Januarego Grzędzińskiego i Jana Nepomucena Millera”. Inkryminowaną działalnością było publikowanie w prasie emigracyjnej. A rok wcześniej wyrokiem trzech lat więzienia zakończyła się sprawa przeciw Melchiorowi Wańkowiczowi, którego list do córki „wyrządził istotną szkodę interesom państwa polskiego”. Z wysyłaniem swoich tekstów i opinii za granicę nie było łatwo. To, co dziś uważa się za naturalne, w latach sześćdziesiątych stanowiło akt nie byle jakiej odwagi.

W takiej otoczone, w takich uwikłaniach i kontekstach trzeba czytać ostatnią książkę Cata. Ostatnią – więcej przecież nie napisze.

noty

JOHN LE CARRÉ, *Ze śmierci zimna*, przełożył Robert Stiller, Wydawnictwo Literackie i Oficyna Literacka, Kraków 1990

John Le Carré, słusznie uznawany za odnowiciela gatunku powieści szpiegowskiej, ozdobił wreszcie turystyczne stoliki ruchomych bukinistów miast polskich – wielkich, średnich i małych. Konserwy, miłośnicy i snoby, będą mogli nacieszyć oczy i ducha najsłynniejszą powieścią tego autora, w dodatku w pełni profesjonalnie przetłumaczoną, choć można mieć wątpliwości co do tytułu – w oryginalnym *The Spy who came in from the Gold*. Le Carré jest jednak odnowicielem nie tylko fa-

bul, ale i języka. Wprowadza tak wiele nazw i określeń przez siebie wymyślonych, że do osobistej decyzji tłumacza należy znalezienie dla nich również nie istniejącej w polszczyźnie idiomatyki.

Świat przedstawiony w tej i innych powieściach Le Carré to republika szpiegów. Szare państwo tajnych służb różnej maści, istniejące ponad granicami politycznymi, działające na zasadzie tajnych agentur we wszystkich częściach świata. Zaludniają je grupy mające na pozór sprzeczne interesy. Sprzeczne, bo odbijające w pokracznej formie ideologie czy kierunki polityki zagranicznej państw, na których usługach pozostają. Jednocześnie grupy te mają tak wielką autonomię, że ich celem staje się właściwie szpiegowanie samo w sobie, sztuka dla sztuki.

Le Carré, który jest mistrzem intrygi, buduje akcję swych powieści korzystając, świadomie lub nie, ze zmodyfikowanej zasady powieści szkatułkowej. Z zastrzeżeniem, że nie historie wysnuwają się tu jedna z drugiej, a coraz bardziej ukryte motywy. Każda pointa to

kompletna etyczna deziluzja. Szpieg oszukuje do skutku, „głębinowo”, abstrakcyjny często cel uświęca wszelkie środki, a banał – choć pewnie z Szekspira wzięta motywacja, że ktoś musi robić rzeczy brzydkie, by całe narody spały spokojnie, brzmi w tych książkach wyjątkowo ironicznie.

Warto je czytać, bo działają odświeżająco. Jak duży kubał zimnej wody. H.B.

WALDEMAR ŁYSIAK, *Dobry*, Wydawnictwo Oficyna, Warszawa 1990

Waldemar Łysiak był niegdyś najlepszym napoleonistą między hobbistami w Polsce – było to bardzo dawno.

Dziesięć lat temu telewizja sprawiła Waldemarowi Łysiakowi program – Krzysztof Kolberger recytował jego młodzieńcze wiersze, on sam opowiadał o czym chciał. Między innymi o swojej wierze katolickiej – można się było domyślić, iż za

to właśnie nie lubiła Waldemara Łysiaka totalitarna Władza. Wydawnictwo PAX, do wydawanych z narażeniem życia książek Łysiaka, nie musiało dokładać. Kilkadziesiąt lat temu – już! – Leopold Tyrmand napisał powieść *Zły*. Doczekała się ona swojej legendy.

Ostatnio Waldemar Łysiak poczuł się w prawie wyprodukować *Dobrego*. Mógł Tyrmand, może Łysiak.

Dobry jest stekiem zmielonym z prostackich prymitywnych dowcipasów, reklamowanej nachalnie Łysiakowej erudycji oraz „erotyki”, jakiej nie powstydziliby się sam mistrz Andrzej Rodan-Józwiak. Mielony stek jest to coś, co potrafiły wysmażyć jedynie peerelowskie garkuchnie.

Waldemar Łysiak, autor kilku interesujących książek, nie obniżył lotów.

Waldemar Łysiak się skończył.

Waldemar Łysiak zapowiada napisanie jeszcze *Lepszego*. To chyba niemożliwe. P.T.

Przygoda w bibliotece

UMBERTO ECO, *O bibliotece*, przełożył Adam Szymanowski „Ossolineum” 1990

Umberto Eco napisał szkic o bibliotece. Nie po raz pierwszy. *Imię róży* to przecież także powieść o książce, właściwie księdze, ukrytej w olbrzymiej, tajemniczej i niebezpiecznej bibliotece. Biblioteka, która – jak u Borgesa – może stać się znakiem świata, metaforą dziwnego, trudnego do odszyfrowania porządku. Ale wymyślona biblioteka Babel posiada cechy istniejących bibliotek. Fantastyczne modele pozwalają opisać kształt rzeczywistych instytucji. Określić ich funkcje, często zmieniające się w czasie.

W przypadku biblioteki – notuje Eco – „początkowo chodziło o gromadzenie zwojów lub woluminów, żeby się nie zawieruszyły. Potem, sporą rolę odgrywa tezauryzacja: zwoje nie były tanie. Następnie w okresie benedyktyńskim, przepisywanie; biblioteka staje się jakby sferą tranzytową: książka dociera, zostaje przepisana, oryginał lub kopia wracają na swoje miejsce (...) W niektórych okresach, być może gdzieś między Augustem

a Konstantynem, funkcją biblioteki było również umożliwienie czytania (...)” Ale jej najbardziej tajemniczy cel pojawia się później. Biblioteka zaczyna ukrywać książki, a zarazem zmusza czytelnika do ich poszukiwania. W tym sensie staje się przygodą, miejscem na miarę człowieka. Całkowicie wolny dostęp do półek zapewnia komfort bezpośredniego obcowania z pełnym księgozbiorem. Umożliwia odnajdywanie tytułów w sposób dość przypadkowy, mimo istnienia katalogów. Duża liczba fotokopiarów, system łatwego wypożyczania ogranicza czas spędzony w czytelni. Oczywiście taka biblioteka ma również swoje wady, ale może właśnie dlatego jest tak bardzo ludzka. Eco opisuje jedną z nich, bibliotekę uniwersytetu w Toronto, w której książki można zaniesić do baru, iść po inne, dokonać dziwnych odkryć. „Przyszedłem – pisze – żeby zająć się na przykład angielskim empiryzmem, zaczynam zaś tropić komentatorów Arystotelesa, myślę piętra, wchodzę do działu medycyny, który nie był moim celem, ale potem trafiam nagle

na dzieła o Galenie, a więc z odniesieniami filozoficznymi”. Koło się zamyka. Podróż bez celu zyskuje sens. W której z polskich bibliotek możliwa jest podobna wędrówka?

Eco, przekornie, tworzy także wielopunktowy, idealny model złej biblioteki. Jej największym wrogiem jest pilny student, przyjacielem zaś człowiek posiadający swój własny, bogaty księgozbiór. Wśród obowiązujących w niej zasad czytamy: „sygnatury winny być niemożliwe do przepisania, w miarę możliwości rozbudowane, aby ten, kto wypełnia rewers, nie miał nigdy dość miejsca na wpisanie ostatnich symboli i uznał je za nieważne (...) Dział informacyjny winien być nieosiągalny. Należy zniechęcać do wypożyczania. Jeśli tylko się uda – żadnych ubikacji”. Biblioteka staje się koszmarem, przypomina bardziej gabinet tortur niż skarbnicę wiedzy. Książki są nieosiągalne, pracownicy niezyczliwi, a każdy ruch czytelnika interpretowany jest jako wykroczenie. Korzystając z polskiego doświadczenia można łatwo dodać kilka nowych punktów. Biblioteka musi być oddalona od centrum, a więc podróż do niej wymaga wielokrotnej zmiany środka lokomocji. Czytelnia powinna być doskonale akustyczna, księgozbiór podręczny zredukowany do minimum, a reszta książek w rozproszeniu. Idealną biblioteką, to biblioteka w stanie niekończącej się przeprowadzki.

Czytając Eco myślę o Andrzej Doboszu i jego bibliotecznych peregrynacjach. Gdyby ktoś w Polsce miał pisać o idealnej bibliotece, o jej funkcjach, Dobosz byłby osobą szczególnie predestynowaną. W jednym ze szkiców, opublikowanym w pie-

rwszym numerze „Tekstów Drugich” wspomina madrycką Biblioteka National, której strzeże policjant z pistoletem maszynowym na kolanach i Biblioteke Uniwersytecką w Amsterdamie czynną do północy, w której zawsze można znaleźć miejsce. Wśród wielu ekscentrycznych pasji Dobosza lektura katalogów zajmuje miejsce wyróżnione. Czytał je od dawna, niekiedy w całości, jak w wypadku katalogów BUWU czy Biblioteki Narodowej. „Ilekoć obcuje z katalogiem czy bibliografią mój liberalizm jest bezgraniczny (...) Wybierając książki dla siebie, gotów jestem przyznać innym prawo dokonywania odmiennych wyborów. Gdy stoję przed półką, tak jak przed żywym człowiekiem, wpadam czasem w złość. Pytam, kto tu postawił tę głupią książkę?”. Ten typ biblioteki, odznaczający się mobilnością woluminów, ich przypadkowym często zestawieniem, budzi grozę rozsądnych bibliotekarzy. Jest w nim jednak coś ludzkiego, pewien rodzaj świadomego bałaganu. Dzięki temu można długo spacerować wzdłuż regałów w poszukiwaniu upragnionej książki. Brać do ręki kolejne woluminy, inne odkładać na półkę. O sukcesie wyprawy decyduje przypadek. Eco ma rację, gdy pisze, że funkcją biblioteki jest „odkrywanie książek, których istnienia się nie podejrzewało, a które jak się okazuje, są dla nas niezwykle ważne”. Biblioteka zaczyna przypominać stragan bukinisty, na którym można znaleźć wszystko, trzeba tylko umiejętnie szukać.

Borges opisał bibliotekę będącą modelem Wszechświata. Eco pragnie uczynić z niej świat na miarę człowieka, przekształcić utopię w rzeczywistość.

Potocznie cynikiem nazywa się jednostkę, która kłamie i wie, że kłamie wyłącznie we własnym osobistym interesie. W przełożeniu na kategorię Immanuela Kanta byłoby to równoznaczne ze świadomym, mierzonym korzyścią osobistą odrzuceniem praw praktycznych na rzecz przepisów dotyczących zręczności postępowania (imperatywów hipotetycznych), co w rezultacie prowadziłoby do traktowania innych jako środka, nie celu.

To potoczne znaczenie cynizmu uzupełnia, nie modyfikując w nim niczego, znaczenie historyczne.

Jednym z przodków człowieka-szakala (osobowości cynicznej) był „podobny do psa”, „psu podobny” (gr. kinikos). Zwyczajnym Psem nazywano Antystenesa z Aten, Niebiańskim – Diogenesa z Synopy. Obaj wiedli życie abnegatów i obaj słynęli z trafnej i ciętej riposty. Obaj też byli braćmi w próżności. Antystenesowi wytknął to Sokrates, mówiąc o próżności przeświecającej przez dziury w jego płaszczu. Diogenesowi – Platon. „Pewnego razu – pisze Diogenes Laertios – gdy Platon zaprosił przyjaciół z dworu Dionizjosa, Diogenes, chodząc po dywanach, (...) powiedział: »Depcę pychę Platona«, na co Platon miał odpowiedzieć: »Ale inną pychę«”.

Pyszny jest ten, twierdzi Spinoza, kto przypisuje sobie doskonałość, której w nim nie ma. Pycha „psa niebiańskiego” polegała na przypisywaniu sobie całkowitej obojętności (gr. *apatheia*) na zdobycze cywilizacji, nie wykluczając domostwa czy ognia (próbował jeść nawet surowe mięso, ale zaniechał tego), oraz na wynikającej stąd wierze w możliwość powszechnej redukcji do stanu przedcywilizacyjnego. Cywilizację traktował z podejrzliwością i sądził, że posiadał sekret tego świata pozorów. W ten sposób pozorem stawało się wszystko: dobre pochodzenie, sława, bogactwo, powołanie zaś filozofa spełniało się w naigrawaniu z tych „ozdób, pod którymi kryje się kłamstwo”.

Zgodnie z powyższym, filozof kąsa i gryzie jak pies, choć „nie zębami, lecz słowem”. Pogardliwie patrzy na codzienne zabiegi innych ludzi, lekceważy ustanowione przez nich prawa, odrzuca obyczaje i tradycje, instytucje polityczne i społeczne. Człowiek ma wystarczać sam sobie, wiele musi odczytać się, nauczyć zaś umiejętności panowania nad sobą, zwracania uwagi tylko na siebie. Z jednej więc strony pomnażanie cnoty, z drugiej zaś – gest odrzucenia uznanych modeli postępowania i konwencji społecznych. Ktoś taki siłą rzeczy musi uważać siebie za obywatela świata. Kosmopolityczny aspekt nauki cyników nie ulega kwestii.

Na pierwszy rzut oka trudno połączyć postawę człowieka-szakala, który wierzy innych w wartości wykorzy-

stuje dla swoich celów, z chwalcymi cnotę i osobliwie do gruntu cnotliwymi niebiańskimi psami Grecji. Niemniej, zarówno podejrzliwość wobec rzeczywistości, widzenie przez podejrzliwość i radość z zawładnięcia sekretem, jak i abnegacja, czyli odmowa udziału w twórczej współpracy na rzecz co najwyżej zgody na przejęcie tego, co zostało wytworzone przez innych (Diogenes był najpierwszym w Grecji żebrakiem), a wreszcie akcent kosmopolityzmu, wolności od lokalnych i przypad-

Janusz Węgielek

dzień cynika

Przodkowie

kowych uwikłań – wszystko to zawiera się w grze formami osobowości cynicznej jako zbiór elementów konstytutywnych. Nie ma natomiast u antycznych cyników drugiego ważnego aspektu gry formami: wprowadzania w błąd, maskowania, symulacji pozytywnej i negatywnej. Przed problemami tymi stanie dopiero renesansowy Książę, który do emocji, wynikających z demaskacji i zdobycia sekretu, doda emocje wynikające z zatrzymania dla siebie pewnych informacji.

Nietrudno stwierdzić, że do rutynowych wręcz czynności historyków należy przywoływanie słowa „cynizm” właśnie w odniesieniu do włoskiego odrodzenia. „Cyniczne i namiętne”, słynę wręcz z dwulicowości, wykretności, braku skrupułów, wyrachowania, intrygantstwa i skłonności do zdrady książąt i papieży. Pod tym względem Ludovico Moro rzeczywiście nie ustępuje w niczym Cezarowi Borgii, a Aleksander VI – Juliuszowi II. O każdym z nich można powiedzieć, że był „przebiegłym, pozbawionym skrupułów intrygantem, gotowym zdradzić przyjaciela, przyłączyć się do wroga, oszukać go z nowym sojusznikiem, by i do niego odwrócić się również plecami”. A skoro byli tacy, byli więc cynikami, czyli przyjęli za swoją zasadę, że każdy środek jest dobry dla osiągnięcia wyznaczonego celu.

Zasada ta, którą równie często poddawano krytyce z punktu widzenia zasad moralności, co chwalono za jej efektywność w praktycznym użyciu, nazwana została błędnie cyniczną. Tymczasem – cyniczną może się stać dopiero pod warunkiem połączenia cynicznych środków z cynicznymi celami działania. Otóż cynicznych

celów, tkwiących niejako immanentnie w przedsięwziętych środkach, XV i XVI wiek po prostu nie znały. Książę florenckiego sekretarza „cynicznie” wykorzystuje czyjeś namiętności, sam będąc w najwyższym stopniu namiętny, dążąc do władzy, bogactwa, świetności swego rodu. Bierze za wzór lisa, ażeby w finalnym momencie przyjąć posturę lwa. Łamie traktaty, zmienia fronty, czym oczywiście podkopuje wiarę w traktaty, a wzajemność i miłość w chrześcijańskiej rodzinie czyni pustymi pojęciami. Lecz odstępując od obowiązujących powszechnie nakazów, nie godzi w ich prawomocność, nie niszczy źródeł moralnej pewności. Owszem, zabija nieprzyjaciół podstępem i oszustwem, ale nie podważa samej wolności wyboru racji i stanowiska. Stąd cele, jakie osiąga, pozostają w prostej sprzeczności do użytych środków. Cele te określamy jako „niecyniczne”, uchylając tym samym zasadność odnoszenia słowa „cynizm” do postaw i mentalności niektórych postaci z tamtego okresu.

Człowiek-szakal wiek oczywiście zawdzięcza księciu i refleksji, jaka narosła wokół jego czynów. Uwagi Machiavellego i Bacona o podejrzaniach, dyskrecji, zachowaniu tajemnicy, przebiegłości, sztuce wprowadzania w błąd, maskowania, itp., tworzą zręby pod późniejsze wykształcone już w pełni akty cyniczne, jak akt śledzenia (zdobywania informacji sposobem tajnym) czy akt utajniania, (zatrzymywania i przetwarzania informacji). Niemniej, przyznając się do swego renesansowego rodowodu, człowiek-szakal ani na chwilę nie zapomina o bardziej starożytnym pokrewieństwie z pysznym „psem niebiańskim”.

Pyszny „pies niebiański” nie krył swej ślepoty wobec wartości stwarzanych przez innych. Niezdolny do ostrzegania doskonałości w świecie zewnętrznym, ignorował w istocie całą cywilizację, jej dorobek kulturalny i techniczny. Taka bowiem jest paradoksalna ślepota podejrzliwości: spojrzenie podejrzliwe przenika przez powierzchnię i usiłuje dosięgnąć jakiegoś gruntu, czegoś, co można by uznać za prawdziwe, podstawowe i niezachwiane. Wszystkie więc „powierzchniowe” wartości, jak artyzm, piękno, władza, hierarchia etc. zostają w ten sposób „prześwielone”, a w konsekwencji pominięte i odrzucone. Równocześnie ów „niezachwiany grunt” (prawda przestonęta przez pozor) jawi się jako to po prostu, co w człowieku najpierwotniejsze i wrodzone, co więc stawia wszystkich na równym poziomie. Słowem, postawa podejrzliwa rodzi pychę, pycha łączy się z niezdolnością podziwiania wybitnych wartości u innych, a wreszcie obojętność na jakąkolwiek hierarchię międzyludzką wiedzie prostą drogą ku hashu równości.

WIADOMOŚCI LITERACKIE

grudzień 1935, nr 49 i 50.

Jaką twórczość miałyby promować nowo utworzona (patrz nr 13 T.L.) Polska Akademia Literatury? Warto skorzystać z doświadczeń przedwojennych. „Wiadomości Literackie” przedstawiają „wyjątki z książki Aleksandra Alfreda Konara »1000 aforyzmów«, święto uwieńczonego wawrzynem Akademii”. Redakcja przypomina, że wawrzynu tego nie otrzymali m.in. Władysław Broniewski, Ignacy Chrzanowski, Jarosław Iwaszkiewicz, Adolf Nowaczyński, Jan Parandowski, Józef Wittlin... Lista jest długa. A oto jedynie kilka z „tysiąca aforyzmów”:

Przegrałem... życie.
Nienawidzę nienawiści.
Nieraz chciałoby się chcieć.
Trzeba chcieć – chcieć.
Młodym wszystkiego się chce. A starym – nie chce się.
Człowiek musi pragnąć pragnień.
Życie – to bardzo smutna pieśń...
Trzeba umieć żyć.
Mam nos, którym czuję, gdzie trawa rośnie.
Życie – to smutny cud.

Ta garść przemyśleń wykazuje dowodnie, jak smutnym cudem była Polska Akademia Literatury Anno Domini 1935.

K.W. Zawodziński podsumowuje polemikę, którą wywołało jego wystąpienie na temat współczesnej poezji polskiej. Krytyk jest przeciwnikiem obu awangard, twierdzi że zubożyły i ograniczyły one „istotę liryki”. Jako przeciwwagę i przykład pozytywny podał wcześniej tom Antoniego Słonimskiego *Okno bez krat*. Wypowiedzi te wywołały niechętną reakcję krytyków i poetów (m.in. Ludwika Fryde). Najbardziej jednak dotknął autora zarzut Józefa Czechowicza, które prawdopodobnie (nie zostały przytoczone) imputują Zawodzińskiemu „pisanie dla pieniędzy”. Musiały też przybrać ostrą formę, o czym świadczy ton odpowiedzi: „Samo już bezpodstawnie rzucanie kłosa w twarz krzywdzącej jego honor supozycji wydaje świadectwo autorowi bajki. Tak jak najłatwiej podnosi rękę na człowieka pijany cham, dla którego policzek mierzy się tylko siłą zadającej go pięści, tak człowiek bez czci, bez instynktu moralnego najłatwiej rani cudzy honor, imputując niskie pobudki czynom innego”. Zawodziński, po wyjaśnieniu kłamstw Czechowicza (nadał nie wiadomo jakich), stosuje klasyczną taktykę polemiczną, tzn. odwraca zarzut. Otóż nie jest on pieczę „starego”, dawniej też tywali lepsi i gorsi poeci, ale istniało w nich „poczucie kapłaństwa swego rodzaju”. „Młody poeta, skłeciwszy

sonet, nie marzył o wyciągnięciu z niego korzyści materialnych. Po prostu te dwie sprawy nie kojarzyły się w niczyjej myśli. Teraz jest inaczej (...). Jerzy Wyszomirski opisuje długą rozmowę młodych poetów wyłącznie o zarobkach, dochodach, posadach i chytrych wybiegach protekcyjnych. Oto atmosfera, w której rodzą się insynuacje pp. Czechowicza, Stanisława Czernika, imputowanie nieczystych pobudek, interesowności i przekupstwa inaczej myślącemu”.

I jeszcze słowa, którymi mogliby się posłużyć specjaliści od spraw kultury (szeroko rozumianej) w ustępującym właśnie rządzie: „Atmosfera bezinteresowności, pogardy dla chwilowych korzyści, atmosfera namiętności i poświęcenia dla imponderabilów jest niezbędna dla rozwoju kultury, sztuki i poezji w szczególności. Z tem u nas źle.” Panie i Panowie z Nowego Rządu! Sprawcie, abyśmy i w Nowym Roku nie zapomnieli o pogardzie dla chwilowych korzyści.

W ogóle polemika jest dosyć nudna, podobnie jak gorący spór między Leonem Kruczkowskim i Karolem Irzykowskim o genezę pastwiska w „Pawich piórach” i podobnie jak większość polemik literackich, nie tylko w latach 1918–1939.

PION, 7 XII 1935, nr 49.

Życie polityczne wkracza w życie literackie. 24 listopada, na Zjeździe Polonistów w Poznaniu, endecka bojówka przerwała obrady, domagając się skreślenia z porządku dnia referatu mgra Dawida Hopensztanda i usunięcia go z sali. Sama nie pozwoliła się z sali usunąć, w związku z czym delegacja warszawska, w skład której wchodził Hopensztand, opuściła Zjazd i złożyła protest podpisany m.in. przez Jana Kotta, Franciszka Siedleckiego i Stefana Żółkiewskiego.

„Miriam przegrywa proces o Norwida”. „Sąd okręgowy (...) skazał Tadeusza Piniego i Aleksandra Plebana na grzywnę za naruszenie praw autorskich p. Zenona Przesmyckiego (Miriam), popełnione przez wydanie dzieł Norwida w nakładzie firmy »Parnas Polskie«. Miriam zażądał także „zniszczenia wszystkich pozostających jeszcze w sprzedaży, gdziekolwiek się znajdują one będą (...) egzemplarzy książki p.t. »Dzieła Cyprjana Norwida«, jak również wszelkich matryc i kłaz, służących do tego wydawnictwa, i pozostawienie tych wszystkich przedmiotów u właścicieli w stanie niezdatnym do użytku”.

Akcja Miriana okazała się jednak ostatecznie „sztuką dla sztuki” – następna instancja unieważniła wyrok, uznała, że prawa autorskie Norwida wygasły i „dzieła Norwida stały się własnością narodu”. Pewnie, że lepiej późno, niż wcale.

A.M.

Tajemnica Hamleta

PRZEGLĄD POWSZECHNY nr 11/90

W pierwszej części szkicu „Alternatywa Hamleta” (omówienie w „TL” nr 9) Jacek Bolewski SJ nie zgadzając się z hamletyzującą tradycją odczytywania dramatu Szekspira, przypomniał przeciwstawiając się jej interpretacje Wyspiańskiego i Eliota. W części drugiej (którą przynosi listopadowy zeszyt „Przeгляdu Powszechnego”) one właśnie posłużyły do ostatecznego sformułowania problemu: „Razem z Wyspiańskim możemy zatem przyjąć, że problemem nie jest «niezdolność» Hamleta do czynu, którego – jak się wydaje – oczekuje odeń zmarły, lecz niezdolność takiego czynu do radykalnego przezwyciężenia zła”. Dalej zaś, „korzystając z sugestii Eliota”, autor tekstu zwraca uwagę na wpisane w Szekspirowskiego bohatera przeświadczenie, że „zło może rodzić tylko nowe zło”.

Te zdania stanowią w tekście punkt wyjścia dla zrozumienia tajemnicy Hamleta – tajemnica ta zaś odsłania się poprzez sprecyzowanie alternatywy, przed którą „nasz bohater” został postawiony. „Dotyczy ona – podsumowuje swoje rozważania Bolewski – w swym najbardziej podstawowym wymiarze tego, JAK być i działać w obliczu przemienności losu. Czy tak, jak gdyby można było liczyć na uwolnienie się od tych przeciwności własnym tylko, obmyślonym w obliczu zła działaniem uciekającym się do gwałtu i podstępów, czy też tak, że poza przeciwnościami losu dostrzega się głębiej działanie Opatrzności, której nie się nie wymyka i dlatego jedynie, co człowiekowi pozostaje, to gotowość, aby cierpliwie przyjąć owo działanie i stać się jego świadkiem we własnym działaniu?”

„Od Shakespear'a do Szekspira”

TEATR nr 11/90

Powyższy cytat to tytuł szkicu Stanisława Barańczaka, w którym opisuje on „swoje doświadczenia związane z tłumaczeniem Szekspira i translatorskie poglądy z tych doświadczeń wynika”.

Barańczaka „Teoria TTT, czyli Trzech Truizmów Translatorskich” głosi, że:

- I. Tłumacząc Szekspira należy pamiętać, że był on człowiekiem niegłupim.
 - II. Tłumacząc Szekspira, należy pamiętać, że był on niezwykłym poetą.
 - III. Tłumacząc Szekspira, należy pamiętać, że był on nie najgorszym artystą teatru.
- Minimalizm tej teorii to jednocześnie maksymalne wymagania stawiane samemu sobie. Barańczak podkreśla to, że tłumacz Szekspira w swojej pracy musi kierować się jednocześnie czterema wytycznymi: dążeniem do Wierności, Zrozumiałości, Poetyckości i Sceniczności

przekładu. Opisując i krytycznie oceniając doświadczenia swoich poprzedników (Chwałewik, Sito, Iwaszkiewicz, Słomczyński) autor szkicu pokazuje, jak prymat jednej z zasad musi w konsekwencji prowadzić do niepowodzenia całego przedsięwzięcia.

Mickiewicz oświeceniowy?

ARKA nr 30

„Arka”, choć ciągle zmienia szatę graficzną, nie zmienia (wysokiego) poziomu. Szkoda więc, że to interesujące pismo ukazuje się ostatnio bardzo nieregularnie, a w dodatku mały nakład i nie najlepszy kolportaż sprawiają, że kupić je coraz trudniej.

W ostatnim zeszycie znajdziemy między innymi ciekawy, acz wielce kontrowersyjny tekst Jana Walca „Imperium Kontratakuję”. Jest to próba przewartościowania ustaleń biografów i interpretatorów twórczości Mickiewicza, dotyczących rosyjskiego okresu jego życia.

Pierwszy „błąd w rozumowaniu – pisze Walc – polega na identyfikowaniu Mickiewicza z Gustawem. Nie było ani jednego dnia w życiu poety, w którym byłby on do Gustawa podobny”. W czasie pobytu w Rosji autor sonetów o wiele bardziej przypomina oświeceniowego racjonalistę niż romantycznego szaleńca. „Chodzi tu – dowodzi autor szkicu – o cały zespół znaczących przekonań – o wiarę w sensowność ludzkiego działania i w jego siłę, jeżeli realizuje interesy pozajednostkowe, o przeświadczenie o podmiotowości społeczeństwa, jako związku suwerennych jednostek, wadze kultury i nauki etc. „Zdanie to zostaje rozwinięte przy interpretacji *Ustępu III części Dziadów*, w której to Walc „broni przekonania, że wobec samowładztwa carów stoi (...) nie byroniczny wygnaniec, czciciel Goethego i Schillera, ale spadkobierca idei Oświecenia, głęboko przekonany o wyższości umowy społecznej nad samodzierżawiem, pilny czytelnik i uczeń Voltaire'a, nie obciążony jednak jego złudzeniami, które wszak od pokoleń są udziałem zachodnioeuropejskich intelektualistów”. Właśnie ów „brak złudzeń” sprawia, że Mickiewicz z okresu rosyjskiego jest – dla autora tekstu – przede wszystkim demistyfikatorem „pozornej europeizacji” imperium, świadkiem „okrucieństwa i perfidii rosyjskiej polityki”, dostrzegającym w „oszałamie z wielkości Rosji” zamioną „raczkującego totalitaryzmu” (np. przyroda w *Sonetach krymskich* jest tu interpretowana jako „figura caryzmu”).

W tym numerze „Arki” możemy przeczytać jeszcze m.in.: rozmowę z Stanisławem Barańczakiem oraz blok tekstów pod wspólnym tytułem „Lekcja Izraela”.

P.R.

„Znak-Idee” to nowa seria filozoficzna wydawana przez redakcję miesięcznika „Znak”.

Dotychczas w serii ukazały się następujące zeszyty:

- 1 Edyta Stein albo filozofia i krzyż
- 2 Język i metafizyka
Dziś i jutro filozofii polskiej
- 3 Henryk Elzenberg i mistyka

Przygotowywane do druku są zeszyty poświęcone następującym zagadnieniom:

- Myśląc o filozofii
- Bóg i przyroda w filozofii procesu
- Filozofia wolnego rynku
- Mind-body problem
- Granice obiektywizmu
- Mistyczne pisma Leibniza

Zachęcamy autorów do nadsyłania tekstów wiążących się z planowanymi tematami.

Adres redakcji:



Miesięcznik „Znak”
ul. Kościuszki 37
30-105 Kraków



tel. 21-89-20



fax 21-98-14

DWUMIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY POLITYCE I KULTURZE

PULS

WARUNKI PRENUMERATY W KRAJU: Prenumerata roczna (6 numerów) 48000 zł, półroczna (3 numery) 24000 zł. Wpłat na blankietach bankowych (z podaniem dokładnego adresu abonenta oraz ilości zamawianych egzemplarzy) należy dokonywać na konto krajowego przedstawiciela „Pulsu”: WYDAWNICTWO LSM sp. z o. o., Bank Gdański IV Oddział w Warszawie, Nr konta 300009-18584-136-0.
UWAGA! Cena pisma w prenumeracie jest o 20% niższa

- Nowa koncepcja redakcyjna
- Pierwszorzędne pióra krajowe i zagraniczne!
- Dużo polemik!
- Numery specjalne poświęcone problemom najbardziej bulwersującym opinię publiczną!
- Nowa szata graficzna!

PISMO ŻYWE!

UWAGA!
Tylko piórami prenumeratę
możesz otrzymać nieopłaconą
w 4 – ekskluzywny księg.
w 1 – Bibliotekę
„Pulsu”

o coś ważniejszego od artystycznej motywacji owej „istotnej rewizji”. Ja w takiej właśnie formie usłyszałem legendę o Pielgrzymie Świętokrzyskim od mieszkańców Nowej Słupi i Świętej Katarzyny i tak ją z Polski wyniosłem w młodocianej pamięci. Do czego zmierzam? Legendy zmieniają się nieustannie, aż przybierają formę doskonałą, najbardziej wymowną, wolną od zbędnego balastu. Taki charakter ma legenda, którą wspominałem pisząc *Wieżę*.

1 października

Z chwilą gdy emigracja wygrzebała się naraz ze „śmietnika historii” i skoczyła wprost na szerokie wody rewolucyjnych (bądź kontrrewolucyjnych) przemian, gdy emigranci z bankrutów i *bywszych ludzi* przeistoczyli

świat, wszystko to wydaje mi się rozumne i słuszne, stanowi antidotum na Ciorana, byłoby jednak i pełniejsze i prawdziwsze, gdyby „świat” skrzyżowało z krajem pochodzenia pisarza. Sam Gombrowicz wyzuty całkowicie z Polski, ze „zmienioną osobowością”, nie wznosiłby się nigdy na takie wyżyny pisarstwa. Płodne jest skrzyżowanie, niekoniecznie zresztą widoczne gołym okiem, podskórne, w podtekście, zauważalne dla każdego wrażliwego czytelnika. „Niemcy są tam, gdzie jestem ja” powiedział podobno Tomasz Mann, i powiedział zarozumiałe, pompacyjne bałamuctwo. Niemcy ożenione pisarstwo ze światem towarzyszyły Mannowi na wygnaniu, jak Polska ożeniona pisarstwo ze światem szła za Gombrowiczem z takim

Złudzeniom i fałszywym rachubom, gdy okazują się zawieszona w próżni, towarzyszy często coś w rodzaju historycznej czkawki. Po latach, w Paryżu już, Kundera wyznał w swoim głośnym eseju, że czołgi sowieckie na ulicach Pragi zburzyły jego admirację dla... Dostojewskiego. Ten czeski przeskoczenie z tradycyjnej filorosyjskości do paroksyzmu antyrosyjskości był zresztą po 1968 roku dość rozpowszechniony, Kundera starał się tylko „pogłębić” go i „zracjonalizować” na własnym podwórku „intelektualnym”. Jego niedorzeczności wyszydził bezlitośnie Brodski.

W pojedynku Kundera-Havel, zrekonstruowanym na kartach „Gullivera”, pominięte polemiczne wypowiedzi Havla. Spokojne, skromne, wyważone, odrobinę drwiące,

Wskrzeszanie

dokończenie ze s. 4

wobec osób (doktora Bécu), bardziej – że w ogóle bezprawnie ferował wyroki. W III części *Dziadów* nagrody i kary wymierzane są w świecie fikcyjnym przez Boga i Dzieje, w rzeczywistości zaś przez autora, piętnującego i błogosławiącego postaci noszące imiona prawdziwych ludzi. Pisał – powiada Rymkiewicz – wbrew własnemu doświadczeniu. Musiał wiedzieć, że prawa kierujące dziejami, o ile w ogóle jakieś istnieją, są nieprzejrzyste. „Takiemu rozumieniu historii, jakie mamy w III części *Dziadów*, przeczy całe życie Mickiewicza, który był człowiekiem ciężko przez historię doświadczonym. To doświadczenie mówi, że Bóg, jeśli w ogóle interweniuje w historię, robi to w jakiś całkiem inny – to znaczy: całkiem inny niż uważał Mickiewicz – sposób: taki, którego nie jesteśmy w stanie pojąć i który nie odsłania nam i być może nigdy nie odsłoni swego sensu” (B, 207).

Kiedy uznamy, że prawodawcą każdej ze swoich legend jest Mickiewicz, obie książki (w *Bakecie* jest to jawne, w *Żmucie* ukryte), tak mocno przeciw tym legendom skierowane, pokazujące ich wady moralne i pedagogiczną szkodliwość – odczytać musimy jako antymickiewiczowskie.

W kunsztownej sieci gatunkowych aluzji, stylizacji i odniesień, z których zrobiono *Żmut* i *Bakiet*, jest coś, z czym Rymkiewicz niezupełnie sobie poradził – duch gawędy. Unosi się on nad wszystkimi. „Ha, mój dobrodzieju! Toć nie czytacie ich jednym ciągiem. (...) Chaos, który jest w głowie autora, powinien być odzwierciedleniem chaosu, który ma w głowie czytający. I odwrotnie” (B, 155). Jest to duch mylący. Krótko mówiąc – gawęda potrafi objąć wiele, lecz ma swoje tematyczne (problemowe) granice. Co więcej – romanse może być podany w wątpliwość w ramach romansu, także powieść – panorama, a nawet historyczna rekonstrukcja źródeł. Tylko gawęda nie może. Ona, jako gatunek, zawsze akceptuje siebie i gawędziarz sam siebie w pełni akceptuje. Dlatego jest ona tutaj wszechobecna i jednocześnie pozorna. Celem narracji Rymkiewicza nie jest bowiem cel gawędy, lecz – cel zaklęcia. Gawęda mówi o życiu Mickiewicza i plotkarskiej warstwie jego dzieł; zaklęcie zaś nawiązuje do najgłębszych warstw jego poezji.

Do Mickiewicza-Guślarza i Mickiewicza-Artysty. Do specjalisty od duchów i kreatora cielesnej widzialności. Wskrzesiciela ludzi i rzeczy (a także form literackich, w których one mogą żyć). Form, które są źródłem dystansu, może ironii, ale przede wszystkim stają się narzędziem magii. Rymkiewicz podrzuca w dawnej i nowej mickiewiczologii: z tych, którzy opis mąk piekielnych w *Dziadach* traktują jako przejaw „wyobraźni poetyckiej”, z lubiących „romantyczne sobowtóry i romantyczne odbicia odbite w odbiciu”. (Ż, 121) z polonistów, co ułożywszy legendę „o przygodach Gustawa i Dziewicy” (nie oni – wiemy – ją ułożył), „wzięli się za rekonstruowanie wielkich problemów ducha romantycznego” (Ż, 138). Ale sztuka (sztuka literacka, sztuka historyczna, sztuka interpretacji) ma inne zadania. Będzie to może wymierzanie sprawiedliwości widzialnemu światu przez sam akt czynienia owego świata w pełni widzialnym – oczyma ciała i oczyma współczującej duszy. Każdy zaś czyniąc to, czyni od nowa, na własną miarę, własną odpowiedzialność. A nie na miarę odpowiedzialności Mitu, Boga czy Ludzkości.

* Cytuję z wydań: *Żmut*, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1987; *Bakiet*, Aneks, Londyn 1989.

Jacek Łukasiewicz

Gustaw Herling-Grudziński

Dziennik pisany nocą

się w czcigodnych partnerów, gdy wykleci niegdyś pisarze emigracyjni wydawani są obficie i z honorami w swoich krajach rodzinnych, bierze ochota spojrzeć wstecz, na „blaski i nędze” (określenie Józefa Wittlina) czy „dogodności niedogodności” (określenie E.M.Ciorana) wygnania. Tekst Ciorana ukazał się w roku 1952 w „Kulturze”, opatrzone komentarzem Gombrowicza. „Słowa Ciorana – pisał Gombrowicz – zięją piwnicznym chłodem i stęchlizną grobu, ale zanadto są małostkowe”. Dokładnie tak. Rumuński pisarz chlusiłną podpręczną u niego zawsze porcją czerni, odmalował przede wszystkim niedogodności wygnania, naszkicował portrecik emigranta zbankrutowanego. Na trzech stroniczkach – rekord zwięzłości w stosunku do takiego tematu – roi się od sadomasochistycznych zwrotów. „Kto porzuci swój język dla innego, zmienia swą osobowość, dokonywuje heroicznej zdrady” (niezmierzanie rzadkie były wypadki porzucenia języka ojczystego przez pisarzy emigracyjnych). „Bolesne szamotanie się w próżni”. „Wygnanie jest szkołą szalenstwa”. „Wygnanie? To stolica nicości, ojczyzna na wspan”. Jeszcze raz Cioran, w sprawie dotyczącej go bezpośrednio, dał popis rozpaczliwego, jakkolwiek przyciszzonego, kameralnego i stylizacyjnie doskonałego, lamentu na bezludziu.

Komentarz Gombrowicza jest majstersztykiem inteligencji i wnikliwości w przyspileniu desperackiej małostkowości Ciorana. „Sztuka naladowana jest pierwiastkami samotności i samowystarczalności...Ojczyzna? Przecież każdy z tych wybitnych, wskutek po prostu wybitności swojej, był cudzoziemcem nawet u siebie w domu”. „Zaiste, jest dosyć obojętne w jakim miejscu świata męczą się pisarze, którzy nie są dość pisarzami, aby być naprawdę pisarzami. I może zdrowsze jest że zostali oni pozbawieni zapomóg, poklasku, tych drobnych karesów, jakimi darzyło ich za dobrych czasów państwo i społeczeństwo w imię popierania rodzimej twórczości”. „Cioran opowiada, jak ginie pisarz oderwany od swego społeczeństwa. Lecz pisarz ten nigdy naprawdę nie istniał: to embriom pisarza. Mnie raczej wydaje się, że – teoretycznie biorąc i pomijając trudności materialne – to zanurzenie się w świecie, jakim jest emigracja, powinno stanowić niesłychaną podniętę dla literatury”. Utrata ojczyzny nie wtrąci w anarchię tylko tego, kto umie sięgnąć głębiej, poza ojczyznę, dla kogo ojczyzna jest tylko jednym z objawień wiecznego i uniwersalnego życia. Utrata ojczyzny nie zakłóci wewnętrznego porządku jedynie tych, których ojczyzną jest świat”.

Majstersztyk, tak, ale z lukami. „Zanurzenie się w świecie jako podnięta dla literatury”, pisarze dla których „ojczyzną jest

uporem, że pierwszą oznaką skradania się śmierci wyczuł na spacerze w berlińskim Tiergartenie, w nagłym przypiływie zapachów z Małoszyc i Bodezchowa. Według mnie dzięki wkładowi pisarzy emigracyjnych cała nasza literatura wypiękniła i spoważniała, dopiero teraz mają możliwość przekonać się o tym czytelnicy w Kraju. Jerzy Stempowski marzył nie bez powodu, u progu naszego wygnania, o antologii pisarzy emigracyjnych od Owidiusza do dwudziestowiecznych wygnańców.

6 października

W nowym kwartalniku francuskim „Gulliver” odkopano pojedynkę Kundera-Havel z przełomu 1968-1969, oraz uzupełniono dossier fragmentem *Przesłuchania na odległość* Havla poświęconym także polemice z Kunderą. Warto rzecz przeczytać, nie żeby była szczególnie rewelacyjna. Jest po prostu pouczająca, bo od intelektualistów typu Kundery roilo się niegdyś w „demoludach”, rzadziej natomiast spotykało się ludzi równie prawych i rozsądnych jak Havel. O co poszło nazajutrz po Praskiej Wiosnie? Trzeba najpierw przypomnieć, że w latach pięćdziesiątych Kundera należał do literackich beniaminków reżymu: zdarzały się czasem krótkie spięcia, ale rządzący cenili na ogół młodego pisarza, stawiali na niego, wyróżniali go i nagradzali. W redakcyjnym wprowadzeniu „Gullivera” porównuje się jego sytuację w Pradze do sytuacji Jewtuszenki w Moskwie. W tym samym czasie Havel uczestniczył co prawda w oficjalnym czeskim życiu literackim, wspomina jednak w *Przesłuchaniu na odległość* swoją *malaise* ilekroć dał się wciągnąć w organizacyjne tryby Związku Pisarzy.

Czeski los Kundery, napisany w grudniu 1968, jest pochwałą Praskiej Wiosny. Rzecz zupełnie naturalna, gdyby nie całkowity prawie brak odwołań w grudniowym tekście do wypadków sierpniowych. Kundera zdaje się sądzić, że mimo inwazji, proces podziwianej przez cały świat „odnowy socjalizmu” w Czechosłowacji trwa. Więcej: „Posunąłbym się nawet do twierdzenia, że waga czeskiej jesieni przewyższa być może wagę naszej wiosny”. Nie sposób zrozumieć dlaczego, jak nie sposób zrozumieć co skłaniało wtedy Kunderę do cierpkich słów pod adresem rodaków, którzy po sierpniu zdecydowali się wyjechać lub uciec z Czechosłowacji (Kundera poszedł w ich ślady dopiero w roku 1975...). Więc dlaczego? Znajduję jedno tylko wytłumaczenie: niewyczerpane były niegdyś złudzenia i rachuby niektórych „rewizjonistów”. *Czeski los* Kundery przypominał mi rozmowy z Kazimierzem Brandysem w Paryżu na przełomie 1970-1971. Dość harmonijne z początku, zmieniły się gwałtownie, gdy do „naprawy socjalizmu”, po masakrze na Wybrzeżu i po upadku Gomułki, zabrał się nowy „odnowiciel” Gierek.

odsłaniają cały blichtr intelektualny Kundery. Osobliwe zjawisko: kiedy ma się do czynienia z ludźmi pokroju Sacharowa czy Havla, odczuwa się pewne opory w cytowaniu ich uwag, tak dalece są oczywiste i – jak to się mówi – „wyjęte nam z ust”.

8 października

W serii „Podróże”, redagowanej przez Pawła Hertza, wydano dwutomowe *Wędrowki po Włoszech* Gregoroviusa. Dostałem je parę dni temu, rzuciłem się najpierw na rozdział Lucera. Dlaczego apulijskie miasto Lucera tak mnie fascynuje i zawsze fascynowało, odkąd zobaczyłem je przed laty i potem dwukrotnie odwiedziłem? Nawet nie miasto, ale Zamek za miastem, a właściwie mizerne resztki twierdzy, zbudowanej przez Fryderyka II w roku 1233, saraceńskiej warowni, która Hohenstaufom – Fryderykowi, Manfredowi, Korradynowi – miała zapewnić panowanie we Włoszech południowych, a Fryderyka pobudzała do marzeń o cesarstwie Wschodu i Zachodu. Gregorovius świetnie oddaje „magnetyzm historii” na Zamku pod Lucerą, chociaż „cała ta wielka budowla od czterech stuleci (pisane w roku 1874) służy jako zagroda dla owiec i kóz”. Dziś już nie służy, jest pusta, sterczy ku niebu ogromną wieżą jak przetrąconym kikutem, otoczona nisko przyziemi zębami muru warownego. Kiedyś, gdy stała się saraceńską twierdzą, gdy rojno w niej było od sycylijskich Arabów przesiedlonych tu z woli Fryderyka, meczety dla wojowników wznosiły się na placach wśród arsenałów i budynków koszarowych, a za murami rozsiadła się i rosła szybko arabska ludność cywilna. Manfreda, syna Fryderyka, papiescy i andegawenscy przeciwnicy nazywali sułtanem Lucery.

„Spoglądając z murów tego Zamku, wpatrując się w piękne krajobrazy Apulii, ma się przed sobą niezwykłą scenę wydarzeń, która niczym lustro, odzwierciedla dzieje Italii południowej. Rzymianie, Kartagińczycy, na nizinie bowiem widać w dali pole bitwy stoczonej przez Hannibala pod Kannami, Goci, Longobardowie, Saraceni, Bizantyńczycy i Normanowie, krzyżowcy, którzy początkowo wyruszyli z tych właśnie wybrzeży, Hohenstaufowie, Andagawenowie, Aragończycy, Hiszpanie i Francuzi, wszystkie te cienie przeciągają tu przed naszymi oczami”.

„Magnetyzm historii”, ale i jej śmiertelność, jej wysuszone i słońcem wyprażone martwość, ostra jak nigdzie chyba poza tym Zamkiem pod Lucerą świadomość, że konstrukcje historyczne i wywilizacje giną niemal bez śladu, dając życie pochodom cieni. Gdzież na świecie taki pochód cieni, gdzież tak nasyciona przeszłością próżnia, jak przy tym murze obok okrągłej wieży, z oczami utkwionymi w bezkresnej Pustyni Tatarskiej ni to trwania ni oczekiwania?

Tekst, którego pierwodruk ukazał się w „Kulturze” nr 12/1990 publikujemy za łaskawą zgodą Autora

TYGODNIK
LITERACKI 19

Czy te rozbieżności, które w roku 1990 miały się ujawnić wewnątrz obozu „Solidarności”, były widoczne? Myślę na przykład o konflikcie między Panem a braćmi Kaczyńskimi.

W bardzo małym stopniu. Przy „okrągłym stole” byliśmy niezwykle zdyscyplinowaną drużyną. Przed każdym spotkaniem ustalaliśmy scenariusz i umawialiśmy się, kto w jakiej sprawie będzie zabierał głos. Bardzo precyzyjnie i lojalnie realizowaliśmy te ustalenia. Nie sądzę, żeby wówczas można było mówić o istotnych rozbieżnościach wewnątrz naszej grupy negocjacyjnej.

I żaden z pojawiających się problemów nie wywołał kontrowersji?

Żaden, choć oczywiście były różne pomysły. Jarosław Kaczyński wspólnie z docentem Winczorkiem reprezentującym SD wysuwał na przykład pewne modyfikacje zmierzające w kierunku bardziej demokratycznej, czy też bardziej reprezentatywnej demograficznie, formuły powoływania Senatu. Ja te propozycje popierałem, bo uważałem je za słuszne, ale się przy nich nie upierałem. Wydawały mi się jednak drugorzędne wobec możliwości wynegocjowania całkowicie wolnej i demokratycznej ordynacji senackiej, a spodziewałem się, że władza takiego rozwiązania nie przyjmie.

Gdy zaakceptowaliśmy koncepcję wojewódzkich reprezentacji, powstała też kwestia naszej zgody na to, żeby wszystkie województwa otrzymały tę samą liczbę mandatów senatorskich. Niektórzy moi koledzy zwracali uwagę, że w takim układzie Partia może uzyskać przewagę w wielu okręgach nieurbanizowanych. Poważnie braliśmy tę okoliczność pod uwagę. Niewątpliwie po stronie partyjno-rządowej właśnie ona decydowała o obstawaniu przy równej liczbie mandatów dla wszystkich województw. Z trudem zdaliśmy wywalczyć po jednym dodatkowym mandacie dla Katowic i Warszawy. Niektórzy przedstawiciele tamtej strony mówili nam, że wedle ich sondaży w wyborach do Senatu my dostaniemy połowę mandatów, a drugą połowę oni. Proszę sobie teraz wyobrazić, jak dramatyczna była to sytuacja. Mówiłem: wyobraźmy sobie, że mają rację. Przecież wstyd pójść na całą Europę. Oto bowiem – może pierwszy raz w dziejach świata – komuniści ugruntowują swoją władzę w wolnych i demokratycznych wyborach. Byłaby to klęska nie tylko nasza! Zniweczyłaby ona wielkie europejskie nadzieje.

A nie było to takie nieprawdopodobne, wystarczy przywołać późniejsze doświadczenie bułgarskie.

Tak, musieliśmy poważnie brać taką sytuację pod uwagę.

Jak w tym czasie układała się współpraca między Panem a Wałęsą i Mazowieckim?

Mazowiecki koordynował, a także na bieżąco prowadził całość negocjacji. Codziennie mieliśmy przecież kontakty i rozmowy ze stroną rządową, którymi właśnie on się zajmował.

Myśli Pan o bieżących kontaktach z osobami nie biorącymi udziału w obradach?

Tak, bo po tamtej stronie odpowiednikiem Mazowieckiego był Stanisław Ciosek, który nie uczestniczył w żadnym zespole „okrągłego stołu”.

Więc stał jeszcze ponad Kiszczakiem?

Nie „ponad Kiszczakiem”. Ciosek i Kiszczak szli jednym frontem. Razem z Gdulą stanowili partyjny mózg całego „okrągłego stołu”.

W trakcie negocjacji Zespół Reform

Politycznych systematycznie zyskiwał na znaczeniu – ze względu na wrażliwość opinii publicznej i przede wszystkim chyba dlatego, że to, co miało być haraczem stawało się nadzieją na uruchomienie mechanizmów demokracji. Tadeusz Mazowiecki od początku był członkiem naszego zespołu, brał udział w jego posiedzeniach i wygłosił kilka ważnych przemówień, choć w drugim etapie negocjacji uczestniczył już tylko w pracach grupy zajmującej się środkami masowego przekazu. W procesie negocjacyjnym pełnił jednak rolę kluczową prowadząc dalej

zgodziła się na stworzenie tych protokołów. Ich spisanie było naszą wielką wygraną. Stało się to wbrew interesom Partii i wbrew jej zamiarom. Zdaniem władzy mieliśmy zmierzać do wspólnej deklaracji konsensusu społecznego czy też porozumienia narodowego. Aż dziwne wydaje mi się, iż zdołaliśmy ich przekonać, że nie można za pomocą słów zacierać zasadniczych różnic i mówić tylko o tym, co Polaków łączy, kiedy znacznie więcej nas dzieli. Trzeba było powiedzieć – i do tego też ich przekonaliśmy – że przy „okrągłym stole” zasiedli przeciwnicy, i ci prze-

Zdawali sobie sprawę, że przyczyną słabnięcia Partii jest jej alienacja, rozwój niezależnego życia społecznego. Rządzili, dysponowali jeszcze aparatem przymusu, ale znaleźli się już obok społeczeństwa. Świat władzy i świat narodu rozeszły się. Wiedzieli, że taki stan nie może trwać długo. Rozpaczliwie próbowali więc znaleźć środki, które pozwoliłyby im utrwalić swoje panowanie. Uznali, że jedyną prowadzącą do tego drogą jest podzielenie się władzą – nie zmiana systemu, lecz właśnie dokooptowanie środowisk niezależnych do sfery władzy. Dramat „okrągłego stołu”, z Magdalenkami i z nie kończącymi się debatami toczonymi w Pałacu Namiestnikowskim, polegał właśnie na tym, że my ich koncepcję podziału władzy chcieliśmy zastąpić mechanizmem zmieniającym system, dzięki któremu oni rzadzili Polską. Za zawarcie kontraktu mogliśmy zaś im ofiarować jedynie czas, a więc ewolucyjny charakter całego procesu.

Ale staraliście się o tym nie mówić.

Ja za rzecz istotną uważałem i uważam zasadę uczciwości politycznej, która zakłada, że nawet, jeżeli czasem nie można powiedzieć prawdy, to w każdym razie nie wolno kłamać. Nigdy więc nie powiedziałem, że zgadzamy się współuczestniczyć we władzy, i nigdy nie mówiłem, że pomożemy komunistom w politycznym przetrwaniu. Oczywiście nie mogłem też powiedzieć tego, co w trakcie rozmów stało się dla mnie jasne: że przedmiotem naszych pertraktacji jest droga, jaką partia komunistyczna ma zejść ze sceny politycznej. Wówczas nie udało się znaleźć partnerów gotowych do zawarcia kontraktu. Mówiłem jednak otwarcie, że ludzie władzy stoją przed pewną szansą i od nich zależy, czy zdołają ją wykorzystać.

A wierzył Pan, że mieli tę szansę?

Teraz też wierzę, że ją mieli, choć nigdy nie wierzyłem, że zdołają z niej skorzystać.

Zatem mieliby ją, gdyby nie byli sobą.

No właśnie, bo w naturze tamtej władzy i Partii leżała niemożność dokonania zasadniczej transformacji, co nie znaczy, że nie istniała szansa jej przeprowadzenia. To oni twierdzili, że chcą się stać normalną partią socjaldemokratyczną, co wydawało mi się tak samo proste jak zrobienie z zupy rybnej akwarium.

Panu udało się kiedyś z tej zupy wyrwać.

Tak i oni się do tego faktu odwoływali. Kiedy przystępowaliśmy do „okrągłego stołu”, miałem jednak za sobą nie tylko doświadczenie przynależności do partii komunistycznej, ale także dwa długie dziesięciolecia, które minęły od chwili, gdy z niej wystąpiłem. Dla mnie był to nie tylko okres gruntownej politycznej kwarentanny, ale także czas wystarczający, bym tamto doświadczenie zrozumiał mając już poczucie jego całkowitej obcości. Wstąpiłem przecież do Partii jako bardzo młody człowiek. Wstąpiłem nie dla kariery. Zajmowała mnie niepodzielnie historia średniowiecza, innych satysfakcji nie potrzebowałem, a najważniejszą moją funkcją partyjną było członkostwo komisji rewizyjnej w Polskiej Akademii Nauk. Wstąpiłem, bo uważałem, że istnieje zespół fundamentalnych wartości, które mnie z tą partią wiążą. Wystąpiłem gdy straciłem wiarę, że jest jakakolwiek szansa, żeby ta partia realizowała ideały, które głosi. Mogę więc powiedzieć, że opuściłem Partię z tych samych powodów, dla których do niej wstąpiłem. Ich przekonanie, że skoro byłem w Partii, łatwiej znajdą u mnie zrozumienie, okazało się więc całkowicie zawodne. Jeżeli z moją osobą wiązało się jakieś doświadczenie

Nadzieje i złudzenia

Publikujemy fragment książki *Rok 1989. Geremek odpowiada, Żakowski pyta*, która w tych dniach ukazała się nakładem wydawnictwa Tygodnika Literackiego PLEJADA

zespół pluralizmu związkowego i koordynując całość rozmów.

A jaki był Pański i Pańskiego zespołu zakres samodzielności?

Miałem pełną samodzielność i pełen mandat od Lecha Wałęsy, z którym byłem w kontakcie.

To znaczy, że podejmował Pan decyzje i referował je Wałęsie, czy też podejmowaliście je wspólnie, czy może przedstawiał Pan sytuację, a decyzje należały do Wałęsy?

W stałym kontakcie był z nim Mazowiecki. Ja bezpośrednio informowałem Wałęsę o postępach prac naszego zespołu. Podczas rozmów w Magdalence Wałęsa powiedział, że do prowadzenia negocjacji wyznacza trzech swoich pełnomocników. W kwestiach związkowych – Mazowieckiego, w kwestii polityki gospodarczej i społecznej – Trzeciakovskiego, w kwestii reform politycznych – mnie. Nie był to zatem tylko podział organizacyjny na trzy zespoły robocze, ale także podział kompetencji i osobistej odpowiedzialności. Znalazło to późnie odbicie w składzie delegacji, która towarzyszyła Wałęsie, gdy po zakończeniu „okrągłego stołu” jechał złożyć wizytę Ojcu Świętemu. Wiele osób, w tym i ja, uważało wówczas, że powinna mu towarzyszyć także delegacja Związku, który odzyskał prawo do legalnego istnienia. Wałęsa zdecydował jednak, że mają z nim jechać trzej jego najbliżsi współpracownicy przy „okrągłym stole”.

Czy z tego wynika, że Wałęsa ograniczał się w zasadzie do patronowania „okrągłemu stolowi”, resztę pozostawiając swoim współpracownikom?

Kluczowe decyzje zawsze zapadały z udziałem Wałęsy, ale ich realizacja miała miejsce w zespołach roboczych i na spotkaniach w węższym gronie. Mieliśmy wszelkie pełnomocnictwa do ostatecznego dokonywania ustaleń i formułowania protokołów rozbieżności.

Które ostatecznie okazały się dłuższe od katalogu ustaleń.

Nie mogło stać się inaczej. Naszym sukcesem było jednak to, że druga strona

ciwnicy, mimo różnic poglądów oraz postaw, zdołali dojść do pewnych wspólnych ustaleń. W ten sposób zamieniliśmy „okrągły stół” w „stół prostokątny”.

Mam wrażenie, że był to owoc złych doświadczeń związanych z Porozumieniami Gdańskimi, w których różnice zostały zatarte. W roku 1989 nikt już nie wspominał o rozmowie „jak Polak z Polakiem”.

Cóż, w roku 1989 nie wchodziło w grę zaprzysiężanie się z drugą stroną. Oczywiście kiedy się z kimś długo rozmawia, wytwarza się między rozmówcami osobista relacja. Ludziom władzy bardzo zależało na tym, żeby przelamać dzielącą nas barierę obcości. Pierwszy krok stanowiło skłonienie nas do rezygnacji z języka związku zawodowego i ruchu społecznego. Chcieli, żebyśmy zaczęli występować jako siła polityczna, partia, opozycja. To pozwoliłoby postawić nas na jednej płaszczyźnie z PZPR. Oto rozmawiałyby ze sobą dwie polityczne grupy, z których jedna ma władzę, a druga nie. Maksimum naszej tolerancji stanowiło jednak określenie „strona solidarnościowo-opozycyjna”. Nigdy natomiast nie zaakceptowaliśmy ich generalnej koncepcji polegającej na wciągnięciu nas w orbitę władzy. Nie chcieli nam przecież ofiarować legalizacji „Solidarności” jako ruchu społecznego, związku zawodowego. Nie chodziło im też o uruchomienie ewolucyjnych procesów, które mogłyby całkowicie zmienić polskie życie publiczne. Chcieli nam na srebrnej tacy podać uczestnictwo we władzy i nieustannie do tego wracali. Mówili: „Powiedzcie, ile chcecie stanowisk w rządzie, powiedzcie, ile chcecie miejsc w Sejmie, podzielimy się”. „Zróbmy Radę Gospodarczą – proponowali – i niech profesor Trzeciakovski będzie jej przewodniczącym”. Chcieli rządzić wspólnie z nami. Chcieli się z nami podzielić Polską. My nie chcieliśmy się dzielić i to nie dlatego, że woleliśmy mieć wszystko dla siebie. Uważaliśmy, że Polską się dzielić nie można, bo Polska musi być własnością wszystkich Polaków. To był nasz cel.

Ich prawdziwym celem było zdaje się oddzielenie od społeczeństwa tej niezależnej elity politycznej, której po pogromie stali-nowskim Polska znów zdołała się dorobić.

czenie ułatwiające wspólne poszukiwanie kompromisu, była nim raczej szkolna znajomość z Januszem Reykowskim. W rozmowach ze mną i w rozmowach o mnie ludzie tamtej strony mówili zresztą otwarcie, że uważają mnie za człowieka, który ich nienawidzi.

Casus renegata?

Sądzę, że to mogło być powodem dużo ostrzejszego traktowania mnie w latach konspiracji. Przy „okrągłym stole” przeskądzało im raczej to, że ani przez moment nie mogli znaleźć ze mną wspólnego języka – skarżyli się na to różnym rozmówcom. Nie jestem człowiekiem nienawiści, ze swojej natury i z przekonania szukam z innymi dialogu. Niezależnie od myślenia w kategoriach politycznych uważam jednak, że należy oceniać i dobro, i zło. Kiedy więc podczas dyskusji w Magdalence odmawiałem im racji moralnych, nie robiłem tego, żeby wzburzyć drugą stronę, ale dlatego, że za swoje prawo i obowiązki uważałem nazwanie rzeczywistości jej własnym imieniem.

Ale władza chciała rozmawiać o polityce, nie o moralności.

Tak, tu istniała bariera mentalności, której nie sposób było przełamać. Jeszcze siedząc w obozie internowania, miałem wrażenie, że Mieczysław Rakowski kontuuje nasz dialog rozpoczęty w 1981 roku. Tyle że ja już byłem uwięziony, a on stał na partyjnej trybunie, kiedy mówił, że racji moralnych nie można stosować w polityce. Powoływał się na autorytet Maxa Webera. Miałem wrażenie, że on wtedy także siebie samego przekonywał. Nawet Rakowski musiał mieć jakieś moralne niepokoje związane z 13 grudnia. Myślę zresztą, że upadek całego ruchu komunistycznego, zwłaszcza w Europie Wschodniej i Środkowej, gdzie komuniści doszli do władzy, wynikał właśnie z zajęcia przez nich stanowiska pragmatycznego. W świecie myślenia pragmatycznego nie mógł znaleźć racji istnienia ruch, który w życiu publicznym i w organizowaniu gospodarki proponował ludziom nienormalność i nieefektywność. Kiedy w 1982 roku Rakowski wołał, że polityka nie ma nic wspólnego z racjami moralnymi, przekreślał sens trwania przy komunizmie i podtrzymywania Partii przy życiu.

Wspominał Pan o zespole wartości, które przywiodły i odsunęły Pana od Partii. Co za wartości mogły intelektualistę takiego jak Pan łączyć z komunizmem?

Proszę sobie wyobrazić: jest rok 1948, młody chłopak z formacją Sodalicii Marianańskiej przychodzi z prowincjonalnego miasta do metropolii, jaką wydaje mu się Warszawa. Wchłania świat innych książek – innych, niż te, które czytywał w domu. W tych książkach znajduje sprzeciw wobec ludzkiej krzywdy. Dowiaduje się z nich o świecie, o Europie, poznaje ideę sprawiedliwości społecznej i krytykę zachodniej demokracji, czyta o nieuchronności pewnych kosztów, koniecznych gdy chce się na dużą skalę wprowadzać społeczną sprawiedliwość. Sądziłem wtedy, że komunizm jest młodością świata. W 1968 roku, w momencie inwazji na Czechosłowację, zamknąłem ten rozdział właśnie dlatego, że rozwiewała ona nadzieje rewizjonizmu na socjalizm z ludzką twarzą. To, co wydawało się ceną sprawiedliwości, okazało się istotą złą, które ze sprawiedliwości zrobiło sobie parawan. Moje odejście z Partii nie było wówczas aktem politycznym, lecz wyborem moralnym. Uważałem, że wycofuję się z polityki na zawsze. Widziałem siłę i żywotność komunizmu, jego struktur, jego władzy. Sądziłem, że w tej sytuacji jedyną możliwość uczestnictwa w życiu politycznym daje członkostwo Partii. Zamknąłem się więc w świecie nauki. Przez lata myślałem tylko o pisaniu książek i o historii średniowiecza. Szczęśliwie moja wcześniejsza pasja polityczna była wyłącznie pasją obserwacji. To ułatwiało mi pograżenie się w historii. Partia, którą opuściłem, była jednak nie tylko partią marca '68, antysemityzmu, inwazji prze-

ciw Praskiej Wiośnie. Była także partią systemu totalitarnego. Kiedy więc później wracałem do polityki, wracałem do niej z tego samego powodu, dla którego w 1950 roku wstąpiłem do Partii, a w 1968 z niej wystąpiłem. Uważałem nawet, że ciąży na mnie szczególnie obowiązek przeciwstawiania się totalitaryzmowi, komunizmowi, Partii – właśnie dlatego, że wcześniej do niej należałem. Czuję się zobowiązany do spłacenia długu, który ciążył na mnie ze względu na fakt, że blisko 20 lat tę legitymację nosiłem.

Miał Pan poczucie winy?

Miałem, ale nie myślałem o pokucie. Uważałem natomiast, że powinienem zrobić coś, co robić mogłem, żeby przeciwstawić się totalitarnej beznadziejności. Taki był motyw mojego zaangażowania w grupy seminaryjne powstające w latach siedemdziesiątych, w nielegalne Towarzystwo Kursów Naukowych, w różne niezależne działania przedsięwzięte. Uważałem to za naturalne i konieczne.

Nie obawiał się Pan, że przekreśli to Pańską karierę naukową?

Nie przekreśliło jej wystąpienie z Partii w 1968, więc i teraz nie miałem powodu

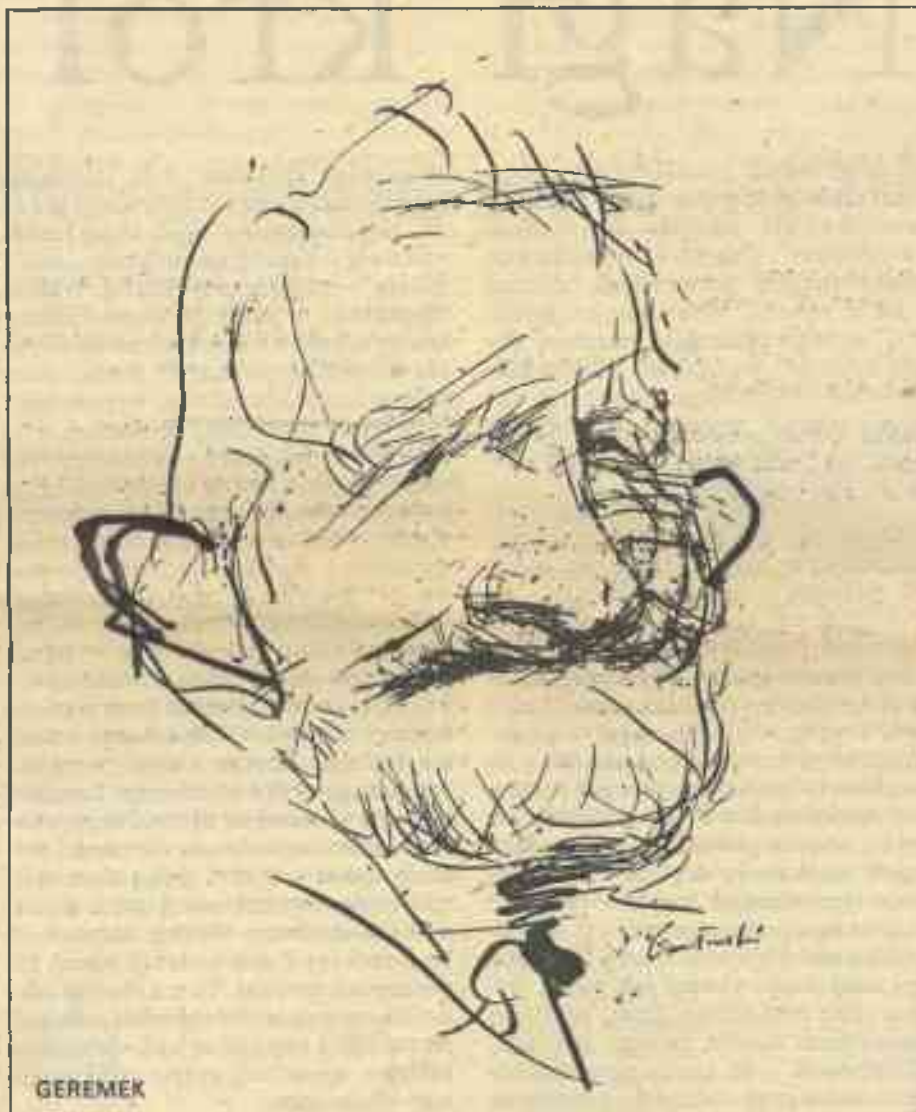
basadorem sprawy polskiej wobec Moskwy, czy ambasadorem Moskwy w Polsce. Ja aż tak prosto tego wówczas nie rozumiałem, ale niewątpliwie miałem poczucie nieuchronności rządów Partii. Gdyby była ona w stanie się zreformować, już wtedy pozbyć się cienia stalinizmu, byłoby możliwe przywrócenie realnego sensu pięknie brzmiącym słowom zawartym w jej programach. W taką możliwość wierzyłem właśnie do 1968 roku. To, co działo się w Czechosłowacji przed inwazją, potwierdzało zresztą moje nadzieje. Miałem tam wówczas wielu przyjaciół. Obserwowałem ich działania, czytałem artykuły i dzieliłem ich radość, że coś się tam udaje. Sukces Pragi stanowił przecież i dla nas perspektywę ludzkiego wymiaru realnego socjalizmu.

A Budapeszt 1956? Wtedy żadne wątpliwości w Panu się nie zrodziły?

To nie był dla mnie aż taki wstrząs.

Dlatego, że zrobili to sami Rosjanie?

Nie tylko. W 1956 roku byłem u mojej rodziny we Francji. I poznański Czerwiec, i Budapeszt oglądałem w Paryżu, a tam wydawało się to bardzo odległe. Dopiero po powrocie do Polski uczyłem



GEREMEK

JACEK GAWŁOWSKI

do specjalnych obaw. Byłem zresztą na bocznym torze, w Instytucie PAN, bez prawa nauczania i kontaktu z młodzieżą.

A w 1968 uszło Panu całkiem na sucho?

Niemal. Chcieli mi zrobić proces jako oficerowi rezerwy, ale jakoś się to rozmyło. Skończyło się na kilkunastoletnim pozbawieniu paszportu, co w mojej pracy miało pewne znaczenie, ale przecież dawało się przeżyć. Paznokci mi nie zrywały.

Czy to wszystko znaczy, że aż do 1968 roku wierzył Pan, że partia komunistyczna odgrywa w Polsce pozytywną rolę?

Wierzyłem, że jej istnienie i władza są nieuchronne, a także, iż może odegrać pozytywną rolę. Pamiętam opublikowany w „Tygodniku Powszechnym” artykuł Stanisława Stompy, który pisał, że partia komunistyczna jako partia rządząca w Polsce musi być rozliczana z tego, na ile potrafiła wykorzystać swoje atuty dla Polski – mówiąc inaczej, czy była am-

się tego, czym był 1956 rok. Zresztą pierwsze lata Gomułka dawały nadzieję – 1956, 1957, nawet początek 1958 to były lata nadziei. Rozbicie „Po prostu” też nie wydawało mi się jeszcze symptomem nieuchronnego powrotu do stalinizmu. Polska w dużym stopniu uwolniła się od rosyjskiej supremacji, od rosyjskiego modelu komunizmu, od kolektywizmu, od trzymającej za gardło cenzury. Wciąż żyliśmy znacznie swobodniej niż na początku lat pięćdziesiątych. Budapesztu nie odbierałem jako kłęski nadziei, ale jako fragment złego scenariusza. Oprócz węgierskiego był przecież także scenariusz polski, który wydawał się pozytywny. W 1968 roku tego pozytywnego scenariusza zabrakło. Dzień i noc słuchałem więc czeskiego radia – póki jeszcze było niezależne. Słuchałem rzecznika praskiego parlamentu, mojego przyjaciela, historyka Josefa Macka, gdy w ostatniej chwili zwracał się do opinii międzynarodowej. Nie słuchałem natomiast, bo nawet mi to do głowy nie przyszło, wystąpienia Imre Nagy'ego.

A to wszystko, co działo się jeszcze wcześniej – stalinizm, procesy, terror, socrealizm – czy przy Pańskiej sodalicyjnej formacji i inteligentnym wychowaniu było to dla Pana do zaakceptowania? Dawalo się to polknąć?

Dawalo się. Człowiek jest oczywiście odpowiadający i za swoją głupotę, i za swoje szaleństwa. W mojej akceptacji stalinizmu było coś z jednego i drugiego. Było w tym także coś z gwałtownego przejścia od mojej wojennej biografii, biografii dziecka, które przeżyło wojnę w najstraszniejszych warunkach. Ten okres zamknął w moim życiu czas, który nigdy nie jest czasem wspomnienia. Nigdy nie wracałem do moich dziecięcych doświadczeń, choć to one mnie formowały. Świat palił się na moich oczach. Palił się też mały świat rodzinnych kontynuacji, w którym jest ciągłość oczywistych wartości, zasad, reguł. W mojej dziecięcej biografii świat ciągle się rozpadał. To też nadawało kształt mojej późniejszej wrażliwości.

Schronieniem mojej egzystencji w okresie stalinizmu była historia. Kiedy szedłem na studia historyczne, sądziłem, że zajmę się historią dwudziestego wieku. Gdy jednak po pierwszym roku zapisałem się na seminarium dziejów najnowszych, natrafiłem na osobę reprezentującą najbardziej klasyczny stalinowski sposób historycznego myślenia. Po kilku posiedzeniach zrozumiałem, że się duszę. Uciekłem jak najdalej – tam, gdzie nie było prostych politycznych odniesień i obowiązujących instrukcji, gdzie można było w miarę swobodnie myśleć.

Byłem wówczas marksistą w tym sensie, że dostrzegałem w marksizmie inspiracje dla badań historycznych. Nadal sądzę, że dla historii i myślenia historycznego ta inspiracja była ogromna. Trucizną dla nauki były narzucane sądy, ale szkoła myślenia o historii okazała się niezwykle płodna, a w odniesieniu do dziejów średniowiecza niezależność historyka pozostawała bardzo duża. To była moja sfera wolności.

Chciałbym wrócić do tej części Pańskiej biografii, o której powiedział Pan, że nie jest czasem wspomnień. Przez lata pracowałem w redakcji katolickiego pisma, w której większość stanowili Polacy mający żydowskie korzenie. Przez te lata obserwowałem, jak bardzo różną rolę grają one w ich życiu, w kształtowaniu ich postaw, ich stosunku do świata. Dla niektórych była to kluczowa kategoria osobowości, dla innych sprawa peryferyjna, niemal ledwie uświadamiana. Jak Pan to czuje?

Dla mnie, w mojej dorosłej biografii, nigdy nie był to problem w tym sensie, że ta sprawa wiąże się z dzieciństwem, które zamknąłem w sobie. Powiadają, że im bardziej człowiek się starzeje, tym bardziej wraca do dzieciństwa, tym silniej odczuwa tę najwcześniejszą formację i pierwsze doświadczenia. Ja tego jeszcze nie odczuwam. Nie znaczy to jednak, że tej świadomości żydowskiej w sobie nie noszę. Noszę ją, ona pojawia się wtedy, gdy wylania się kwestia antysemityzmu, gdy staje wobec szowinizmu czy wręcz rasizmu. Na co dzień jest to jednak książka zamknięta na klucz. Jeden z tych kajetów mojej biografii, których nigdy nie otwierałem. Nie chciałem ich otwierać... wyciąga mnie pan na zwierzenia.

A Pan się broni.

Bo jestem człowiekiem, który nie lubi się uzewnętrzniać.

Jest chyba coś jeszcze w Pańskim stylu komunikowania się. Ma Pan sposób mówienia bardzo trudny w odbiorze. Unika Pan szczegółów. Każdy detal próbuje Pan omówić. Mówi Pan „pewien człowiek” albo „kiedys”. To wnosi walor uniwersalizujący konkretne doświadczenie, ale je również odrealnia.

Jest to kwestia dyskrecji, której nie lubię naruszać i nie lubię, gdy inni ją naruszają. Może czasem w tej lojalności posuwam się za daleko, ale wołam to od ryzyka naruszenia jej. Pomagam sobie brakami w pamięci. Nie wiem, czy tak bardzo źle czynię?

Adam Pomorski

Casus Tymińskiego z początku definiowano wyłącznie negatywnie, źródła triumfu tej postaci upatrując we frustracji społecznej, w niezrozumieniu polityki władz, w kontrrewolucyjnym spisku lub we wszystkich tych czynnikach razem wziętych. Mniejsza, że do takich argumentów, (skądinąd wiecznie prawdziwych) przez kilkadziesiąt lat przyzwyczaiły nas wszystkie przegrane ekipy. Istotniejsze, że Tymiński, bardzo fachowo szary człowiek, okazał się prawie niewidzialny dla naszych elit. Te zaś, nieprzygotowane do przeobrażenia polskiej problematyki społecznej, wbrew faktom nie dostrzegły w jego fenomenie nowej jakości.

Tło jej powstania można określić krótko: nieprzystawalność formy politycznej i struktury społecznej. Konsekwencje tego stanu rzeczy są bardziej widoczne niż jego przyczyna: dostrzega je Wałęsa, właściwym sobie językiem rozpaczliwie powtarzając, że „nie mamy przekazania” (w języku poprzedniej epoki nazywało się to „utrata więzi z masami”); dostrzegają politycy i komentatorzy mówiąc o niechęci elektoratu nie tylko do establishmentu, ale do polityki jako takiej; dostrzegają kazuiści, wmawiający wyborcom, że zwariowali (bo tak niepolitycznie głosują), bądź że reprezentują gatunek homo sovieticus, przeciwstawny rasie homo politicus.

Cóż to jednak miałyby znaczyć, że wielka grupa wyborców – pominawszy nawet tych, którzy wybory sobie zbrzydzą – głosuje na kogoś z niechęcią do polityki i do polityków w ogóle? Po pierwsze, oczywiście, oznaczałoby to zakwestionowanie prawomocności ładu politycznego. Istotnie, powtarzany w Polsce na przestrzeni ostatniego roku sondaż ukazywał nader przejrzyste trend gwałtownego spadku popularności wszystkich głównych instytucji politycznych, konstytutywnych dla tego ładu, czyli parlamentu, rządu, prezydenta, „Solidarności”, a także partii politycznych i Kościoła, jako sui generis autorytatywnego gwaranta owego ładu. W ostatnich przed wyborami badaniach poparcie dla tak reprezentowanego ustroju politycznego Rzeczypospolitej wyrażało zaledwie nieco ponad połowę pytań. Jakim cudem w obliczu tych danych rządzący liczyli na poparcie, pozostaje zagadką.

Po drugie, wszakże głosowanie „antypolityczne” oznacza niechęć do traktowania władzy politycznej jako przedmiotu podziału społecznego, który to podział miałyby konstytuować strukturę społecznego różnicowania. Innymi słowy owi wyborcy nie życzą sobie kształtowania elity czy też szerzej: klasy politycznej, wyróżnianej przez posiadanie władzy, niedostępnej innym grupom społecznym. Obawa przed zawłaszczeniem władzy przez pewną grupę społeczną (co prowadziłoby do utożsamienia władzy politycznej z panowaniem stanowym), popycha jednak tę część elektoratu do oporu również wobec krystalizowania się odrębnej warstwy profesjonalnych polityków. Tymczasem jedynie ukształtowanie takiej grupy profesjonalnej mogłoby znieść wspomnianą „feudalną” tożsamość władzy i panowania.

O ile opór wobec elitaryzmu to walka z owym feudalnym porządkiem, o tyle opór wobec politycznego profesjonalizmu porządek ten utrwala. Z punktu widzenia racjonalnej koncepcji instytucji politycznych jest to sprzeczność. Najwyraźniej jednak nie mamy tu do czynienia z racjonalnym rozumieniem polityki. Wszelka władza polityczna, owemu wyborczemu demosowi jawi się jako zagrożenie społeczne, bo w takiej właśnie

polityczno-społecznej tożsamości władzy (panowania) występuje. Antykomunistyczna inteligencja dostarczyła niegdyś klisz ideologicznych, które powielają ten schemat na poziomie retorycznym: mówiło się o opozycji społeczeństwa do państwa; określało przeciwnika jako „władzę”; „oni” byli synonimem wszelkich przedstawicieli władzy.

Tym ostatnim zaimkiem przy aplauzie licznej publiczności Stanisław Tymiński szermuje dziś pod adresem „solidarnościowej” elity władzy. Paradygmat zatem pozostaje w mocy, napełniając się nową treścią polityczną. Nośnikiem tej demotycznej, agresywnej niechęci wobec wszelkiej władzy okazał się masywny kon-

Nagi król

glomerat ludzki, żywiołowo anarchizująca część elektoratu, którą pokonani przedstawiciele naszych elit mianują „motloch”. Słowo to o znamienne średniowiecznej proveniencji, rzucane z jakże wysoka. Wyobrażenie „motlochu” pozwala elicie zająć przeciwny biegun w tymże „feudalnym” modelu ładu społeczno-politycznego. Instytucja demokratycznych wyborów w szokujący sposób dowiodła, że elita i motloch taki ład pospołu konstytuują.

Czy motloch jest jednak naprawdę motloch, czyli nieustrukturyzowaną, plazmatyczną masą ludzką? Nie sądzę. Po pierwsze, przeczy temu dający się socjologicznie sprecyzować charakter elektoratu Tymińskiego: młodzież, robotnicy, prowincjonalne drobniomieszczaństwo – wszyscy o średnim wykształceniu zawodowym. Po drugie, wszakże ów antypolityczny demos daje się określić w innej płaszczyźnie. O rzeczywistych podziałach społecznych w Polsce decyduje, jak sądzę, wypraktykowana od pół wieku reguła uzyskiwania dostępu do powszechnie niedostępnych zasobów (w sensie angielskiego pojęcia resources, tj. nie tylko dóbr materialnych). Dostęp taki Polacy „załatwiają” zawsze tak samo; poszczególne środowiska różnią się raczej charakterem zasobu, którego pożądamy. „Załatwianie” – nb. termin nieprzekładalny na żaden język zachodni – odbywa się przez „znajomości”: proszeni o pomoc przyjaciele i koledzy zwracają się z kolei z tą prośbą do swoich znajomych itd. aż do osiągnięcia osoby lub osób decydujących o przydzieleniu zasobu. Procedura ta może się wiązać z tzw. udzielaniem korzyści materialnych, zawsze jednak musi być przy tym zachowany pozór rytualnego społecznego daru: rytuał wymiany grzeczności, szacunku, celebrowanej wspólnej kawy, wódki itp. Ponadto każdy uczestnik takiej interakcji musi być gotów odwdziżyć się pomocnej osobie czy komuś z protegowanych przez nią spolegliwych znajomych – teraz lub w przyszłości. Łańcuch kontaktów towarzyskich możliwych wówczas do uruchomienia wyznacza granice środowiska – bo tak się w Polsce nazywa konstytuowane w tym procesie grupy społeczne. Te potencjalne środowiskowe znajomości wyznaczają życiowe milieu jednostki: w jego obrębie szuka się partnerów wspólnego spędzania czasu wolnego (współbiesiadnictwa i rozrywki); w jego też obrębie z reguły zawiera się małżeństwo. Podziały środowiskowe określają strukturę społeczeństwa polskiego*.

O charakterze podziałów społecznych decyduje zatem wpływ na alokację zasobów społecznych – od reputacji pisarza poczynając a na zdobyciu mieszkania czy zorganizowaniu towarowej kontrabandy kończąc. Wpływ, który określa społeczny monopol pewnej grupy na dostęp do zasobów, niedostępnych innym grupom. Z reguły, o ile mi wiadomo, o rozdziale literackich reputacji nie decydują handlarze-kontrabandziści, a o organizowaniu turecko-tajlandzkiego interesu – literaccy snobi.

Władza polityczna (to, kto decyduje, kto egzekwuje decyzje i kto jest za nie odpowiedzialny), nawet jeżeli niektórym grupom wydać się może pożądanym zasobem, jest destruktywna dla takiej struktury społecznej. Jeśli bowiem sama staje się narzędziem wpływu, zawłaszczona przez pewne środowisko (o co na przykład obwinia się komunistyczną nomenklaturę, lecz – co znamienne – w obecnym kryzysie również „solidarnościową” elitę), ogranicza swobodę alokacji innych zasobów w innych środowiskach, zakłóca

równowagę społeczną. Jeśli natomiast profesjonalizuje się i obiektywizuje prawnie, zagrażać może w ogóle samej środowiskowej – opartej na instytucji „załatwiania” – strukturze społecznej. Władza obiektywna w sensie prawnym miałaby szanse jedynie w warunkach zdominowania stosunków społecznych przez ekonomiczne stosunki rynkowe, wymuszające inną regułę stratyfikacji społecznej.

W Polsce jak dotąd – nie istnieją stosunki rynkowe, oparte na własności prywatnej w ekonomicznym, kapitałowym sensie – ani odpowiadająca im ranga społeczną i charakterem instytucja prawa. W tej sytuacji opozycja „władzy” i „społeczeństwa” jest nieunikniona. Poczynania ekipy Balcerowicza w trzech podstawowych dziedzinach: polityki fiskalnej, czynszów i kredytów, bynajmniej przecież w ramach indukowanej recesji nie budując od razu silnego, wyraźnie widocznego rynku prywatnego kapitału, uderzyły w podstawę materialnego trwania i społecznego statusu większości polskich rodzin – w tzw. drugą ekonomię, społecznie uwarunkowaną przez środowiskową strukturę. Według statystyk od lat przeciętny Polak wydawał więcej, niż nominalnie zarabiał. To mu obecnie odebrano, zamrażając jednocześnie nominalne zarobki i zagrażając jego – obojętnie której – społecznej grupie odniesienia, jego środowisku.

Żadne hasła racjonalnej reformy tu nie pomogą: pomijając aspekt ekonomiczny mamy tu do czynienia z doktrynerską utopią społeczną. Można się było liczyć z dwoma rodzajami reakcji społecznej: antyrewolucyjnym, którego jesteśmy świadkami, i paraliżującym. Ten ostatni mechanizm został dobrze wypraktykowany w komunizmie: w istocie tamtym systemem, co najmniej od upadku stalinizmu, rządził „teren”. Moce egzekucyjne władzy były paraliżowane przez bardzo silną oddolną presję społeczną, powodującą owej władzy segmentację. I tutaj sprawdza się „feudalny” paradygmat: egzekucja władzy centralnej, stopowanej przez partyjnych „baronów” i ich lokalne, nomenklaturowe środowiska, byłaby możliwa chyba tylko za cenę masowego terroru – nieaktualnego już w epoce postalinowskiej. Przykład Iwana Groźnego umarł wraz ze Stalinem.

Z tego rodzaju paraliżem nieefektywności władzy Balcerowicz radzi sobie znakomicie – poczynając od środków ekonomicznych a kończąc na administracyjnych: na odebraniu samorządom finansów. Z punktu widzenia interesów państw-

wa jest to być może racjonalne, ale ze społecznego punktu widzenia popycha właśnie do antyrewolucji.

Zarysowany tu bardzo pobieżnie wizerunek polskiej struktury społecznej koresponduje z koncepcją stanów społecznych Maxa Webera. Nie tu miejsce na rozwijanie tej analogii, zastrzec się jednak wypada, że „feudalna” metafora wynika z przyjętego założenia o stanowym charakterze współczesnego, nadal przecież niekapitalistycznego, społeczeństwa polskiego. Polskie „środowiska” wypełniają paradygmat Weberowskich stanów, bynajmniej nie tylko, lecz także w dziedzinie walki o społeczny prestiż, o zawłaszczenie przywileju społecznej godności (Ehre). Już Boy pisał przed wojną w nader interesującym felietonie „Burżuazyjne szlachectwo” o imitacji szlachectwa, do której dąży inteligencja usiłując cenzus pochodzenia zastąpić cenzusem wykształcenia (aż do odpowiedniej modyfikacji w kodeksie Bozewicza, nakazującym za osoby honoru uznawać wszystkich abiturientów szkół średnich – dziś zapewne wyższych). Dziś na łamach głównego dziennika rządowego czyta się wywody na temat inteligencji, która powinna wrócić do roli „elity Słowa” i sięgnąć po „rząd dusz”, a pisarz-senator tłumaczy telewidzom, iż jako pisarz reprezentuje w swej osobie Prawdę, podczas gdy jego udział we władzy wynika ze społecznikowskiego temperamentu...

Mamy tu najwyraźniej do czynienia z nawrotem do paradygmatu ideologii inteligentkiej w wersji, w jakiej już w drugiej połowie XVIII wieku ukształtowała się ona w Rosji i w Polsce. Poczęta w konstatacji braku konstytucyjnej gwarancji wolności osobistej (poddanie) i, by tak rzec, społecznej (brak prawnej sankcji ekonomicznej własności prywatnej uniezależniającej politycznie od państwa) – zwłaszcza w Rosji, – w Polsce w warunkach zaborów przybrała postać paradoksalną: wymierzonej w despotyzm polityczny i w zniewolenie społeczne feudalnej ideologii społeczeństwa obywatelskiego – nie burżuazyjnej, jak na Zachodzie. Obywatelstwo w tej ideologii przysługiwało wszystkim mieszkańcom kraju, ale przybierać miało kształt feudalnej hierarchii stanów – o nierównym dostępie do władzy politycznej, w pełni osiągalnej tylko dla najwyższej, najbardziej odpowiedzialnej elity, z uwagi na swą pozycję i prestiż winnej największe obowiązki całemu społeczeństwu. Istotna jest w tej ideologii wizja instytucji społeczeństwa obywatelskiego podporządkowana wizji społeczeństwa jako jednolitej piramidy stanowej. W potocznej ideologii dzisiejszej polskiej inteligencji (środowiska!) odnajdujemy również elementy hierarchiczno-stanowej wizji społeczeństwa obywatelskiego. Drobnym tego przykładem były wyniki badań, przeprowadzonych w połowie lat osiemdziesiątych przez P. Pacewicza, Z. Rykowskiego i P. Szwajcera w środowisku opozycyjnego podziemia. Konspiratorzy, dziś elita władzy, wbrew oczekiwaniom, swego przeciwnika upatrywali nie w „komunie”, już dla nich nieistotnej myślowo, lecz w „społeczeństwie”, „z bolszewizowanym”, „zrosietyzowanym” (vide ks. Tischner), „rozmemianym” społeczeństwie „kapciarzy” – jak na dobitkę dziś się dowiadujemy: kapciarzy ogłupiały i chorych psychicznie.

Ideologia rodzi kontrideologię: na przeciwnym do owej elity biegunie, ostrzegającym przez nią jako negatywnie uprzywilejowany dół piramidy społecznej, czyli zależnie od okoliczności jako „lud” lub jako „motloch”, omawiana wyżej awersja do wszelkiej władzy wydaje się być funkcją społecznej agresji, jaką budzi wszelka hierarchia. Co więcej, o ile spójność środowiska elity inteligentkiej zapewnia życie towarzyskie na równi z ideologicznymi pseudoracjonalizacjami, o tyle spójność środowiskowa owych „dołów” wyraża się przede wszystkim w ich antyhierarchizmie. Tu właśnie rodzi się masowy, heretycki, plebejski egalita-

Towarzystwo pod choinką

Co to jest tradycja? Jest to obyczaj przodków, przekazywany z pokolenia na pokolenie. Ale z żywymi trzeba naprzód iść, po wzory sięgać nowe, więc – tworzymy nową tradycję. Właśnie takich narodzin byłam świadkiem 17 listopada, a akuszerem została firma Multi Investment International Marketing. Chodziło o tradycję pozornie starą, o choinkę. Wszyscy lubią to zielone drzewko, symbolizujące wieczne życie bez zimowego snu, życie bez przerwy i ustanku. Przybyła z Niemiec w wieku XIX (widocznie Niemiec nie tylko pluł nam w twarz; po podpisaniu aktu z ministrem Genscherem możemy już powiedzieć naszym dzieciom, jak będzie je przyjemnie germanii).

Teraz choinkę zapalono w listopadzie, inaugurując początek sezonu świątecznego. Znaczący to w praktyce tyle, że już wolno dokonywać świątecznych zakupów. Zakup dokonany przed 17 XI będzie traktowany jako nieważny. Pokątny obrót przedwczesnymi prezentami będzie ścigany przez policję prezydencką.

Listopad to dla Polaków niebezpieczna pora. Jak wyżej wspomniano: i początek Bożego Narodzenia, i rocznica Rewolucji Październikowej, w dodatku – rocznica odzyskania niepodległości. Choć nie ma zgody, czy ta ostatnia nastąpiła 11 listopada czy dopiero nastąpi.

W wieku dziecięcym przekonałam się, że ważna jest nie tyle choinka, ile to, co pod choinką. A pod dwudziestometrową choinką na tle Zamku Królewskiego w stolicy mokli lepsi i gorsi, równi i równiejsi. Kompania upaństwowionej obywatelskiej policji ustawiła zaporę z barierki. W instrukcji służbowej policjanta te metalowe opłotki mają dawać odpór rozszalałym tłumom, pragnącym je forsować. Tłumów owych nie było, bo zmył je deszcz. Nie miała ta impreza szczęścia do pogody. Dach, który próbowano ad hoc montować z parasoli okazał się nieszczerly. Nie każdy lubi moknąć, nawet gdy za cenę kataru może być świadkiem narodzin tradycji. I jeśli frekwencja jako tako dopisywała zawdzięczaliśmy to snobizmowi.

Snobizm jest potęgą. Ona to – ta potęga – trzymała ludzi w obrębie barie-

rek w strugach dżdżu, bo skoro goł m okiem było widać, że są lepsi, to wiadomo było, że takiej okazji nie przepuszczą i do domu nie pójdą. Ludziom z gorszych miejsc konferansjer obiecał, że taka sama choinka zapłonie przed Rockefeller (vel Lincoln, były dopuszczane dwie wersje) Center, więc z każdą kroplą deszczu są bliżej nie tylko Europy, ale i Świata. Ameryką powiało wtedy zwłaszcza, gdy na estradę weszły dzieci z chóru „Lutnia”. Jako aniołki, które na piersiach zamiast numerów sfer, chórów i tronów wymalowane miały nazwy: Gerber, Fisher Price, Remington. Tomasz z Akwinu, który uchodzi za największego znawcę w dziedzinie angelologii, rozpatrywał problem, ile aniołów zmieści się na lebkę szpilki. Problem, ile reklam zmieści się na jednym aniele, pozostał, jak dotąd, nie rozwiązany.

Tworzenie tradycji może być albo respektowaniem norm przeszłości, albo musi podierać się autorytetami dnia dzisiejszego. Pewnie z tego powodu do choinki przystąpili ksiądz Niewęglowski w służbowej kamizelce, senator Łapicki oraz ambasador zaprzyjaźnionego mocarstwa, którego hymnem jest „Gwiazdzysta sztandar”. Choinka zapłonęła. Pamiętajmy stale, że jeśli ktoś dokonał zakupu prezentu dla cici przed godziną 17⁰⁰, 17 XI, to, wedle wszelkich kanonów sztuki, będzie uchodził za kłusownika. Sezon nie rozpoczęty, towar nie wzięty.

Wziętym towarem, a wręcz wniebowziętym, były natomiast uskrzydłone anioły na wózkach hydraulicznych podnośników. Podnosiły się coraz to wyżej, rozwiewając dymy, które raczej by do piekieł pasowały. Siarka, jak mnie uczono, nie jest atrybutem niebiańskim, lecz infernalnym. Z teologicznego więc punktu widzenia było bardzo źle. Z dramaty-cznego zaś – bardzo dobrze. Obecni na miejscu znawcy teatru jednogłośnie orzekli, że było to opus magnum reżysera Grzebińskiego. Wreszcie chór „Lutnia” wykonał pastorałki pod nieszablony akompaniament ogni sztucznych.

Po części oficjalnej zgodnie z zupełnie inną tradycją nastąpiła część artystyczna. Miała miejsce w salonych recepcyjnych Prezydenta Miasta, w dodatku pod nieo-

becność gospodarza. Około 200 szczęśliwych posiadaczy zaproszeń kłębiło się to w gabinecie, to w sekretariacie, i, jakby tego było mało, w poręcznej sali konferencyjnej. O wystrój wnętrz zadbał chana Buchary w koprodukcji z przedsiębiorstwem Kowary, a o Art Decor – firma pod tą nazwą, słynna zdobieniem spektakli „Tamary”. Zgromadzony tłum przez dwie godziny wypełniał gabiny, tylko wtedy tętniące życiem. Życie to miało swoje wznosy i upadki. Apogea osiągało, gdy kelner roznosił kieliszki z szampanem, ku upadkom szło, gdy zbierał puste szkło.

Ludzie, wiadomo, zrobieni są z ciała. A to, co ich od innych odróżnia, zrobione jest z materiału. Materiał ten na głównej sponsorce, Joli Tourel, przybrał kształt stroju à la lata trzydzieste (spodnie i góra, coś między Art Decor a op-art). Dało się też widzieć damy wystylizowane na modną ongiś pieśniarkę, drapieżne jak pantera co w złotej klatce spi. Wśród panów stylową urodą zalecał się jegomość który zapuścił sobie autentyczne bakenbardy. Wyglądał jak ś.p. cesarz Franz Joseph, a gdy pewnym ruchem ulokował pod wąsem cygaro. złudzenie bycia w Galicji było pełne. W sprawie fryzury decydujące słowo miała artystka Agnieszka Fatyga.

Po salach pałacu Branickich krążyli też ludzie o urodzie, która przed laty trzydziestu predysponowałaby ich do ról pozytywnych bohaterów w filmie polskim. Domniemywać można, że są pracownikami Urzędu Miasta. Byli też inni ludzie, nierzadko kobiety, dobrze ubrane i mówiące obcymi językami, choć nie zawsze do sensu. Dało się też obserwować przedstawicieli piątej trzeciej – czyli dzieci, i nawet czwartej.

Nowe idzie, nowe obyczaje, nowa obywatelstwo. Tydzień wcześniej były to fajerwerki w Dniu Zwycięstwa. Pamiętam, jak bohater filmu Barei i Tyma – „Miś” nadał świeżo narodzonej córeczce imię Tradycja. Dzielimy tę szlachetną fascynację narodzinami nowej, świeckiej tradycji, w postaci najwyższej w kraju choinki przez księdza wszakże poświęconej.

SNOB-KA

ryzm demosu, pospólstwa w średniowiecznym sensie. O ile dla elity ideologiczna utopia przybiera postać hierarchicznej piramidy stanów, o tyle ideałem pospólstwa jest maksymalne spłaszczenie tej struktury: w imię obrony tego ideału „doły” gotowe są przywołać autorytet – wodza czy władcę, emanację owego „ludu”, postawionego na straży jego społecznych interesów, a przede wszystkim równości.

Środowiskowy, arystokratyczny antykomunizm inteligencji nie wiąże się już z antyhierarchizmem (bądź co bądź również antyelitarnym) większości środowisk społecznych. Inteligencja, aczkolwiek to smutne, wydaje się dzielić los władzy komunistycznej. W swojej znakomicie skalkulowanej propagandzie Stanisław Tymiński umiejętnie dyskultuje ten fakt. Bo to przecież ten mały szary człowiek, postać bez wyrazu, a nie Lech Wałęsa, do którego podejrzenie o peronizm pasowało jak do wydry pana Paska, stał się antyhierarchiczną emanacją ludu.

Nie sądzę, by o rozłam w „Solidarności” można było zacząć winić jedną ze stron konfliktu. Wałęsa i ROAD patrzyli na siebie z dwóch społecznych biegunów. Natomiast retoryka Wałęsy i samobronna retoryczna reakcja inteligencji zdążyły od wiosny wzmocnić trend antyinteligencji – i antypolityczny – „plebejskiej” części społeczeństwa. Pojawiające się w retoryce inteligentnej elity ideologiczne refutacje instytucji awansu społecznego nalażyły się na faktyczne zniszczenie tej instytucji, spowodowane recesją polityką rządu.

Cóż pozostało? Po pierwsze upadek prawomocności ładu politycznego: faktycznie po tej kampanii prezydenckiej nie ocalał prestiż żadnej instytucji władzy. Upadek autorytetu zbiorowego elity intelektualnej i autorytetu Wałęsy – który wspólnym wysiłkiem własnym, ROAD i Stanisława Tymińskiego zyskał teraz image Marchołta grubego a sprośnego. Po drugie pozostał ruch społeczny elektoratu Tymińskiego: skądinąd klienteli typowej dla grup faszystowskich. Gdyby na trwałe miał on pozostać, oznaczałoby to, że niesłusznie oczekiwano tego rodzaju zagrożenia ze strony ugrupowań politycznych, ideologicznych – rak pojawił się w strukturze społecznej. Konflikt polityczny został usunięty w cień przez bardzo chyba ostry konflikt społeczny.

Król jest nagi: w dosłownym sensie pozostała nam goła władza, ktokolwiek ją weźmie.

1 grudnia 1990

* Koncepcję środowiskowego układu społecznego w Polsce dyskutowałem z amerykańskim antropologiem społecznym, panią Janine Wedel.

artykuł polityczny

Prywatyzacja

Leży przede mną na biurku książka o odpustach. Nie znam nawet jej imienia, bo kartę tytułową, okładkę, a i co poniektóre kartki pochłonął czas. Książka była czytana, to niewątpliwie, na rogach stron pozostał osad wiary i prochu, śliny i nadziei. Jej niegdysiejszy właściciel – pod modlitwą za monarchę Aleksandra II wpisano wyblakłym atramentem „Ludwik Komendant” – pewnie brał sobie do przesłania: „Odprawuj rozmyślanie codziennie przez godzinę

przed obiadem lub rano; ponieważ umysł twój mniej będzie wówczas skłopotany i po nocnym wypoczynku czerstwym. Nie rozmyślaj dłużej niż godzinę, kiedy twój spowiednik wyraźnie rozmyślać nie zaleci”.

Książka pochodzi z drugiej połowy XIX wieku, najpóźniejsze odpusty powstały w latach pięćdziesiątych, modlitwa za monarchę rozwiewa wątpliwości. Zastanawia mnie w tym dziele kapitalistyczny stosunek do odpustów. Oczywiście nie w sensie średniowiecznym, książkę przenika duch

potrydencki; jej osobliwy kapitalizm polega na tym, że stanowi wykład Boskiej ekonomii, gdzie rubryki *debit* i *credit* muszą się zgadzać.

Istnienie odpustów tej ekonomii przeczy. Autor tłumaczy to sobie tak: „Skutek właściwy odpustów polega na przebaczeniu kary doczesnej, odpowiadającej grzechom już odpuszczonym, i żeby należycie wyrozumieć, trzeba, mówi X. Bourdaloue, rozróżnić dwie w każdym grzechu rzeczy: co zwiemy winą i co zwiemy karą. Krzywdę Bogu wyrządzoną mianujemy winą, czyli obrazą; karą zaś poczytujemy owo prawo, które Bóg sobie zawarował po przebaczeniu winy nawet, przeznaczyć grzesznikowi karę doczesną, zamiast tego, gdy za swój grzech, kiedy on byłby śmiertelnym, zasłużyłby na wieczną karę”. Inaczej mówiąc: Bóg jest sędzią sprawiedliwym. Zgrzeszyłeś – choć odpuszczono ci winę i Bóg już się nie gniewa, kara i tak cię nie minie. Inaczej nie zgadzałyby się rachunki. Z tego punktu widzenia odpusty są absurdalne, bo skąd Bóg ma brać dodatkowy kapitał, aby latać dziury w budżecie?

Otóż rzecz opiera się na zasadzie fundacji: „Dobre uczynki Świętych mają spolem dwie własności,

a temi są: zasługa i zadośćuczynienie. Zasługa cała do nich należy zupełnie, a za nią utrzymują w niebie nagrodę; lecz ich zadośćuczynienia, kiedy nie mają sami ani grzechów, ani zasłużyli na karę doczesną dla ich zgładzenia, do skarbu kościelnego należą i mogą się przełać na innych”.

W ten sposób ekonomiczna zasada została ocalona i w buchalteryjnej księdze Najwyższej Opatrzności wszystko się zgadza. Doprawdy, trudno się dziwić pierwszym socjalistom – strasznie to musiały być czasy, gdy nawet Boga pozbawiono odrobiny poezji – miłosierdzia.

Ale taki jest Kościół, jakie społeczeństwo, o którego rząd dusz się ubiega. W drugiej turze wyborów prezydenckich Prymas postawił na szali swój autorytet, aby polskie reformy ocalić. Doceniam ten gest i piszę o nim bez odrobiny ironii. Tym bardziej, że idą czasy dla Kościoła trudne. Prywatyzacja, przez w wielu traktowana jako uniwersalny lek na polskie bolączki, nie ma nic wspólnego z biblijną mądrością z nieba.

Lektura podstawowego dzieła Maxa Webera – *Die protestantische Ethik und der Geist des Kapitalismus* – ciągle jeszcze przed nami.

Tadeusz Komendant

TYGODNIK LITERACKI

niezależne pismo poświęcone sprawom kultury

AREOPAG: Jan Błoński, Gustaw Herling-Grudziński, Artur Międzyrzecki, Ryszard Przybylski, Jan Józef Szczepański.
ZESPÓŁ: Hanna Baltyn, Marta Bratkowska, Waldemar Cholewicki, Melania Dziadoszyczka, Waldemar Gasper (zastępca redaktora naczelnego), Rafal Grupiński, Dorota Jarecka, Rajmund Kalicki, Marek Karpiński, Tadeusz Komendant, Jacek Królak, Tomasz Królak (sekretarz redakcji), Jacek Łukasiewicz, Janusz Maciejewski (redaktor naczelny), Lukasz Malachowski (sekretarz redakcji), Piotr Matywiecki (zastępca redaktora naczelnego), Grzegorz Musiał, Agnieszka Piwowarska, Paweł Rodak, Iwona Smolka, Piotr Sommer, Jan Stachowski, Marian Stala, Robert Tekieli (zastępca redaktora naczelnego), Wojciech Tomczyk, Małgorzata Wierzbicka, Wanda Zwinogrodzka.
WSPÓŁPRACOWNICY: Marcin Baran, Bogumiła Berdychowska, Marek Bieńczyk, Krystyna Cholewicka, Agnieszka Dybek, Grzegorz Filip, Tomasz Jastrun, Krzysztof Koehler, Małgorzata Kruszewska, Marta Makowiecka, Tadeusz Nyczek, Agnieszka Pawłowska, Brygida Pütz, Bożena Szymula, Jacek Rujna, Krzysztof Rutkowski, Konrad Tatarowski.
Przegląd Archeologiczny Metafizyki Społecznej „Śmigło” redaguje Zbigniew Sajnog.
Redaktor graficzny: Donat Chruściński, Marzenna Włodarczyk. Korekta: Łucja Andrzejczak, Krystyna Okoniewska, Wojciech Sempka.
Wydawca: FUNDACJA NA RZECZ WYDAWANIA TYGODNIKA LITERACKIEGO.
Skład: „PRINT”, Warszawa, ul. Kutnowska 10. Druk ZG „Dom Słowa Polakiego” Warszawa.
Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Adres redakcji: 00-538 Warszawa, ul. Wilcza 1/21, tel. 21-12-79

Demokracja i brzydota

Jak długo trwa zagrożenie, ma się do czynienia tylko z przeciwnikami, których można pokonać, a po zwycięstwie zaczyna się mieć do czynienia z samym sobą, ze swoją gnuśnością, ze swoją pychą, z zawodnym poczuciem pewności, jakie daje zwycięstwo, a wtedy łatwo o klęskę." Te słowa napisał Alexis de Toqueville po wybuchu czerwowym w Paryżu w 1849 roku, kiedy to Ludwik Napoleon, zwany później Napoleonem III, szykował się już do zamachu stanu. Napisał je najlepszy znawca demokracji i nader wytrwały obserwator polityki.

Demokracja jest tożsama z jawnością życia. Wszystko, co do tej pory było skryte, niejawne, przebrane w oficjalne maski, wychodzi na powierzchnię. Staje się widoczne i tym samym nabiera nowego życia. Czekając na demokrację, która przyszła niespodziewanie i dość łatwo, liczyliśmy przede wszystkim na to, że w centrum znajdą się właśnie ci szlachetni, ci piękni, którzy uparcie walczyli, wierzyliśmy, że to piękno które zrodziło cierpienie i upór walki uzyska automatycznie pierwszeństwo. Tymczasem lekcja, jaką dał nam ostatni rok jest o wiele bardziej bolesna, jest lekcją, z którą trudno się pogodzić i którą trudno uznać. Razem z jawnością życia na powierzchnię wyszły wszystkie najgorsze cechy narodowe. I one zdają się dominować.

Okazało się, że rok 1968 za swoją antysemitką i antyinteligentką kampanią nie był li tylko tworem władzy. Znalazła dobry grunt, pojętych słuchaczy. Nie wiadomo dlaczego w kraju, w którym faktycznie Żydów już nie ma, epitet „Żyd” jest nośny.

Na witrynie księgarni powieszony został plakat z Mazowieckim. Za chwilę pojawił się Polak z kamieniem w ręku dając propozycję nie do odrzucenia: albo zdejmiecie z okien tego Żyda, albo wybije szybę. Ksiądz z żoliborskiej parafii odmawia mszy za premiera, bo nie ma czasu, a w ogóle to on Żydów nie cierpi i takiej mszy odprawiać nie będzie. Rozpędzanej przez Polki grupce antywałęsowskiej młodzieży towarzyszył histeryczny wrzask: żydo-komuna, pacholki Dajana (to nazwisko zapamiętano z 1968 roku). Przywódca partii nacjonalistycznej udziela oficjalnie poparcia Irakowi w walce z żydowskim spiskiem. Takich wydarzeń jest tysiące. Przy wielkiej radości zebranych chłop z zamoyskiego

pyta kandydata na prezydenta czy wyrzuci tych Żydków z rządu. Milczy Episkopat, milczy prasa, milczy rząd bojąc się pewnie jeszcze bardziej narazić swoim antagonistom. Milczą władze szkolne, mimo, że coraz więcej nauczycieli otwarcie wzywa do oczyszczenia Polski z obcych elementów.

Sądzę, że ten akurat antysemityzm uzyskał swoją siłę nie tylko dlatego, że tzw. autorytety moralne i polityczne chowają głowę w piasek, ale co gorsza, dlatego, że często autorytety same swoją niezręcznością czy po prostu ślepotą sięgają po antysemitckie frazesy i tym samym język antysemitcki zyskuje na znaczeniu i powadze. Afera wokół klasztoru w Oświęcimiu otworzyła wrota szowinizmowi, bo nikt spośród ważnych osób nie miał ochoty zrozumieć o co chodzi Żydom i dlaczego dla nich ta sprawa jest taka ważna. Podobnie z manipulacją (znów rok 1968) liczbami ofiar wojny. Potem kandydat na prezydenta wygłosił mowę na temat Żydów, którzy nie chcą się przyznać do swojego, skądinąd przecież sympatycznego, narodu. Wszystko to dzieje się w gorącej atmosferze wyborów, gdy mija miodowy okres demokracji i gdy obecnie ustalanie jej formy – okaza się prawdopodobnie trwałe na lata.

Demokracja, czyli masowe uczestnictwo w wielkiej debacie prezydenckiej ukazały, jak wielkie są pokłady niemyślenia i niezdolności do prostego czy choćby zdroworozsądkowego widzenia rzeczy. Sprzęgło się tu kilka czynników: brak doświadczenia politycznego, załamanie dawnego porządku i pusta gadanina kandydatów pełna obietnic i zbyt łatwych propozycji. Za Orwellem można tylko powtórzyć: ci sami ludzie, którzy wierzą w tabliczkę mnożenia, a w swoim domu potrafią trzymać się faktów, uznali, że w sferze polityki nie obowiązuje zasada związków przyczynowo-skutkowych i że rządzą nią magiczne i cudowne zarazem siły.

Demokracja odsłoniła pokłady nienawiści, insynuacji, wzajemnej niechęci i co przykre – uruchomiła siły nacjonalizmu często połączone z agresywnym klerykalizmem. Myślenie magiczne zastąpiło myślenie polityczne, podejmowane z myślą o konkretnych sprawach.

Demokracja odsłoniła całą naszą brzydotę. I nie jest już łatwo tłumaczyć wszystko latami komuniz-

mu, indokrynacją, szukać winnych spośród ciemnych sił spiskujących przeciw naszej anielskiej i sielskiej duszy. Trzeba, jak w wypadku leczenia alkoholików, najpierw powiedzieć sobie: zwycięstwo postawiło nas wobec naszej gnuśności, pychy, zakłamania. Usprawiedliwienia i wyjaśnienia zostawić na razie na boku. Zwycięstwo, stawiając nas wobec siebie samych, każe mówić o sobie z całą stanowczością. Każe wreszcie myśleć o odpowiedzialności. Wypluł nas wielki boa dusiciel. Zostaliśmy tylko sami ze sobą. I to, jacy będziemy, zależy przede wszystkim od nas samych.

Demokracja odsłoniła naszą szpetotę. Jawność życia niesie wszelako wielką nadzieję: te wszystkie okropieństwa, których jesteśmy świadkami nie zamykają się w kręgu domu. Są sprawą publiczną, tedy publicznej wymagają oceny.

Chyba, że chcemy powiedzieć: to jeszcze nie jest demokracja z prawdziwego zdarzenia, a tylko atrapa, hasło. Bo przecież to, co za system demokratyczny uznać należy, nie składa się tylko ze swobody słowa pojętej jako wolność krytykowania, ani też z wolnej gry kilku kandydatów na pierwszego urzędnika. Demokracja to za Toquevillem, w swej rozwiniętej i ładnej formie, gęsta tkanka stowarzyszeń, szacunek dla prawa, rzeczywisty pluralizm prasy, zdolność do samoorganizowania, sądy przysięgłych. Demokracja to przestrzeń publicznego pojawiania się polityków i obywateli, dzięki czemu czują oni mogą, że mają realny wpływ na swoje otoczenie a rząd nie jest jedyną siłą i sprawcą instytucją w państwie. Ale tak czy inaczej, po zwycięstwie zostajemy sami ze sobą, świadomi swych słabości.

1 XII 1990

Paweł Śpiewak

Ci, którzy wiedzą...

Prostronemu obserwatorowi kampanii wyborczej uprawianej przez intelektualistów, nietrudno było zauważyć, że najbardziej zależało im na tym, aby utwierdzić się we własnych przekonaniach, aniżeli pozyskać głosy niezdecydowanych, bądź z przeciwnego obozu. Profesor Geremek, Adam Michnik, Andrzej Szczypiorski i inni, mówili tak, jakby chcieli sobie i swoim znajomym sprawić przyjemność, zawiadamiając jednocześnie Jacka Maziarzkiego i redakcję „Tygodnika Solidarność” o tym, że „nie ma zgody”... Karykaturalną formą tego sposobu politykowania były transmitowane przez telewizję spotkania dziennikarzy na Foksal: samozadowolenie ludzi przeświadczonego o swoim oczywistym prawie do sprawowania rządu dusz, spełniało się w tetralnym przedstawieniu odgrywanym dla samych siebie.

W tym wszystkim, ludzie z zewnątrz nie bardzo potrafili się odnaleźć.

Czy działo się to z powodu nieudolności, braku politycznej mądrości, albo zwyczajnej próżności ludzi z naszej „klasy politycznej”? To, co się stało jest dobrą okazją, by zastanowić się nad miejscem i przydatnością intelektualistów w życiu publicznym, a politycznym w szczególności.

Z pozoru sprawa wydaje się oczywista: ktoś lepiej jak nie oni potrafili sprawnie i gładko wyłożyć racje, przekonać do programu, uwieść słowami. Są wykształceni i zaprawieni w dysputach nad naturą i zagrożeniami dobra wspólnego, a więc, zdawałoby się, będą jego najlepszymi

orędownikami i strażnikami. Ale tutaj zaczynają się wątpliwości.

W państwie demokratycznym, a więc w państwie ku któremu zmierzamy i które pragniemy budować, istotne są regulacje prawne, ważne są obwarowane ustawami kompetencje urzędu – najmniej człowiek. Tymczasem intelektualiści skłonni są eksponować własne „ja”, sprawując demokratyczny urząd lub rozprawiając o naturze demokratycznego urzędu, zachowują się jak arystokraci ducha.

Spod demokratycznej charakterystyki przeziara poczucie wyższości „tych, którzy wiedzą”, wobec niewykształconych a krnąbrnych zjadaczy kartofli. Występując publicznie nie mogą przestać być sobą, a tutaj jako intelektualiści (a często i jednocześnie artyści) są napiętnowani. Co to jest talent? – zastanawiał się Orwell. I odpowiadał: „Talent to najwyraźniej umiejętność przejmowania się, wiary we własne poglądy, obojętnie czy są prawdziwe czy fałszywe”. Intelektualiści (o artystach nie wspominając) są niewolnikami nie tylko swego politycznego, prawdziwego bądź domniemanego, talentu. Przysparza im to kłopotów i dostarcza powodów do nieustannego poddawania swojej roli w wątpliwość – co jakiś czas bowiem odkrywają, że przejęci i powodowani ową wiarą, wbrew standardom przypisywanym do roli intelektualisty, dokonują wysiłku niewidzenia, niesłyszania i niereagowania na pewne rzeczy, aby z kolei widzieć, słyszeć i reagować na inne rzeczy przesadnie. W prak-



MAREK SAPPETTO

tyce często oznacza to wyniosłość i arogancję, a najczęściej estetyzację rzeczywistości politycznej. Racje intelektualne i moralne leżą u podstaw mojego poglądu politycznego, skłonny jestem więc nie zważać istnienia rozdziału między tym, co jest moim prywatnym światem, a tym co stanowi scenę publiczną. Mój świat może być tylko równie rzeczywisty, ale za to na pewno piękniejszy i bogatszy niż wasz, i przekonam was o tym nie sięgając jedynie po rzeczowe i racjonalne argumenty, ale skorzystam z daru mojego talentu i siły mojej osobowości. Bo dopiero wtedy ów świat zyskuje swe prawdziwe kontury, dopiero wtedy odsłania się cała prawda.

Intelektualiści, dostrzegając rywalizujące ze sobą stanowiska i argumenty polityczne – nie poprzestają na nich. W obronie swojej prawdy na szalę rzucają racje moralne i estetyczne. Chcą żyć w demokracji, ale nie chcą cierpieć jej brzydoty i banalności. Zapominają o tym – o czym przypo-

minal niedawno Timothy Garton Ash komentując rozwój wydarzeń na polskiej, czeskiej i węgierskiej scenie – że w demokracji parlamentarnej wielu rzeczy oczekujemy od polityków, ale „życie w prawdzie” nie jest jedną z nich. Zasady demokratycznej polityki, powiada Ash, jest raczej operowanie półprawdą. Parlamentarna demokracja jest bowiem systemem kontrolowanej wrogości wobec przeciwników politycznych, ustrojem, w którym każda partia (i każdy polityk) usiłuje przedstawić część prawdy tak, jakby to była cała prawda. I wszyscy się do tego przyzwyczaili, a choć niektórzy pomstują albo rzucają moralne gromy, to przecież ustrój ów jakoś się sprawdza, dzięki systemowi prawnych i politycznych zabezpieczeń.

Na publicznej scenie, na pewno warto zdawać sobie sprawę z jakiego jej miejsca, w czym imieniu i do kogo się mówi.

Marek Zaleski